

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/113

1957



• *«La Culture»* • *Revue mensuelle* •

J. KORNACKI :

PRÓBA DIALEKTYKI

Cz. MIŁOSZ :

“PAX” ODSŁONIĘTY

P. HOSTOWIEC

CZYTAJĄC TUKIDIDESA

POMÓŻMY “ BIBLIOTECIE NARODOWEJ ”

SPIS RZECZY

—	<i>Pomóżmy „Bibliotece Narodowej” ..</i>	3
Paweł Hostowiec :	<i>Czytając Tukididesa</i>	7
Jerzy Kornacki :	<i>Próba dialektyki</i>	19
Witold Gombrowicz :	<i>Fragmenty z dziennika</i>	43

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski :	<i>Analiza widma</i>	53
Berlińczyk :	<i>List z Berlina (Antypolska ofensywa stalinizmu)</i>	59
Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	61
a.n. :	<i>Erenburg i poeci żydowscy</i>	67

KRAJ

Janina Miedzińska :	<i>Trudne początki samorządu robotni- czego</i>	69
Juliusz Poniatowski :	<i>Statystyczne manowce</i>	85
Czesław Miłosz :	<i>„Pax” odsłonięty</i>	92

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Al. Kawalkowski :	<i>Historia Dwudziestolecia</i>	101
-------------------	---------------------------------------	-----

SPRAWY I TROSKI

Benedykt Heydenkorn :	<i>Polonica na uniwersytetach kanadyj- skich</i>	111
-----------------------	--	-----

KRONIKA KULTURALNA

—	<i>Przekształcamy Nagrodę Literacką „Kultury”</i>	116
—	<i>Wyróżniony obraz Z. Turkiewicza</i>	118
K.A. Jeleński :	<i>Ostatni polski encyklopedysta</i>	118
Czesław Miłosz :	<i>Manfred Kridl</i>	125
	<i>Fotografia obrazu Z. Turkiewicza</i>	

KSIĄŻKI

Marian Pankowski :	<i>Od sloganu do brzozy</i>	127
Zbigniew Jordan :	<i>Biblioteczka „Po Prostu”</i>	134
Henryk Schoenfeld :	<i>Druga strona księżycy</i>	140
B.N. :	<i>Listy z Bliskiego Wschodu</i>	143
i.j.	<i>Strzępy bezpośrednich kontaktów ..</i>	144
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	145



M. Kukiel, A. Bregman, B. Ta- borski, J.S. Sito, W. Czapska, A. Manteuffel, J. Kowalik, H. Vogler, „B”, J. Krzeczunowicz, W. Gombrowicz, St. Korboński, J.B. Rudnycki, T. Felsztyn, J. Krupiński, M. Orzeszkowska :	<i>Listy do Redakcji</i>	147
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Marzec-Mars

1957

INSTYTUT



LITERACKI

DALSZE WPLATY NA DOM "KULTURY"

W.A. Zbyszewski, Monachium (Niemcy), po raz trzeci	5.000 fr.
M. Orzeszkowska, Buenos Aires (Argentyna)	2.000 "
K. Bezubik, Woodville-North (Australia)	1.000 "
J. Swieczyc, Wiland, Toronto (Kanada), ponownie	1.100 "

DZIEKUJEMY



NA NAGROBEK DLA OLECHOWSKIEGO

M. Kosiewicz, Londyn	500 fr.
Hanna Chylińska, Toronto, Ont. (Kanada)	1.800 "
Wanda Hajduga, Edmonton, Alta (Kanada)	3.600 "
Karol Hirsberg, Warszawa	2.000 "
Józef A. Zielicki, Londyn (Anglia)	2.000 "



NOTA BIOGRAFICZNA

Jerzy KORNACKI. Założyciel Zespołu Literackiego „Przedmieście”. Tomy zbiorowe: „Przedmieście” i „Pierwszy maja”. Powieści pisane razem z Heleną Boguszewską: „Jadą wozy z cegłą”, „Wisła” i cykl „Polonez”. W okresie okupacji niemieckiej członek konspiracyjnej Krajowej Rady Narodowej. Po wojnie, w Lublinie, pracuje w P.K.W.N., zakłada tam Instytut Pamięci Narodowej i zostaje jego dyrektorem, później w Warszawie, w Prezydium Rady Ministrów. W maju 1946 podaje się do dymisji ze stanowiska dyrektora Instytutu na znak protestu przeciw usunięciu z Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie tablic pamiątkowych, dotyczących bojów z lat 1918-1920. Jest dyrektorem Funduszu Kultury Narodowej przy Prezydium Rady Ministrów, które to stanowisko opuszcza w 1947.

W latach 1945-1955 wydał dwie książki pisane z H. Boguszewską: „Ludzie wśród ludzi” i „Las” oraz własną powieść „Rozsada”. Napisał ponadto powieść „Kręgle i Kule” nieprzyjętą w Książce i Wiedzy i Czytelniku. Obecnie pracuje wspólnie z H. Boguszewską nad cyklem powieściowym „Przebiegi”, nad „Księgą Rozmów” oraz nad zbiorem essayów „Imponderabilia”. W lipcu 1956 roku odznaczony został Komandorią Orderu Odrodzenia Polski — odznaczenia tego nie przyjął.

Pomóżmy „Bibliotece Narodowej”

APEL DO EMIGRACJI I PRZYJACIOŁ POLSKI NA ZACHODZIE

Biblioteka Narodowa w Warszawie potrzebuje pomocy. Jej księgozbiór jest poważnie zagrożony przez brak urządzeń do konserwacji starych druków. Zważywszy, że większość bibliotek warszawskich i archiwów została spalona w czasie wojny — ocalałe zbiory mają wartość bezcenną i powinno się zrobić wszystko, aby zostały zachowane dla następnych pokoleń. Biblioteki na całym świecie rozporządzają aparatami, które służą do laminacji papieru — to jest pozwalają uchronić papier starych księżek od rozpadu. Rozporządzają też aparatami do fotokopii dzięki czemu szczególnie drogocenne zabytki mogą być udostępniane badaczom w kopii, nie w oryginale. Poza tym jest rzeczą trudną do pomyślenia, aby unikały, ze zniszczeniem których dzieło, a nieraz cały okres historii przepada na zawsze, nie były utrwalone w mikrofilmach, na wypadek pożaru. Biblioteka Narodowa nie ma takich urządzeń, z wyjątkiem aparatów przestarzałych, nieodpowiadających potrzebom.

Nie idzie tu zresztą tylko o zbiory Biblioteki Narodowej, ale zabezpieczenie czy utrwalenie bibliotek i archiwów na prowincji, specjalnie w klasztorach.

Nowoczesne aparaty mogłaby Biblioteka Narodowa zakupić tylko zagranicą. Jednak nie może zdobyć potrzebnych na to dewiz. Szereg uczonych i specjalistów z kraju zwraca się więc do nas z prośbą o pomoc, nie kryjąc, że według ich oceny sytuacja jest krytyczna.

Postanowiliśmy odpowiedzieć na to wezwanie. Nie potrafiliśmy przyczynić się do odbudowy gmachów bibliotecznych,

co ciągle jest jeszcze w stadium obietnic ze strony władz, gdyż to przekraczałoby nasze możliwości. Natomiast w tym wypadku kiedy chodzi o zakup środków technicznych, oceniamy udział Polaków z zagranicy w ratowaniu zbiorów Biblioteki, jako możliwy. Potrzebna suma, jak widać z poniższego kosztorysu nie jest tak wysoka, aby przy dobrej woli i ofiarności ze strony emigracji nie mogła być zebrana. Dlatego z kolei zwracamy się do naszych przyjaciół i czytelników z apelem o kierowanie na adres „Kultury”, lub jej przedstawicieli, sum w dowolnej wysokości na zakup :

- 1) aparatu do laminacji papieru;
- 2) dwóch aparatów mikrofilmowych;
- 3) aparatu do fotokopii optycznej;
- 4) obiektywu kwarcowego.

Zostaną one przesłane Bibliotece Narodowej jako dar czytelników „Kultury”. Gdyby ktoś chciał ponadto złożyć jeden z wymienionych poniżej przyrządów jako dar w swoim imieniu — będziemy radzi mogąc służyć jako pośrednicy.

NAJPILNIEJSZE POTRZEBY BIBLIOTEKI NARODOWEJ W WARSZAWIE

	Cena w \$ w przybliżeniu
I. — <i>Restauracja papieru :</i>	
1) Aparat do laminacji pap. Barrow Laminator (Richmond, Virginia)	2.000
2) Zapas papieru włóknistego do laminacji (20×500 arkuszy)	340
II. — <i>Zabezpieczanie mikrofilmowe (tworzenie zbiorów bezpieczeństwa):</i>	
1) 2 aparaty mikrofilmowe Kodagraph (Kodak, Rochester, N.Y.)	2.000
2) Części zapasowe: a) 80 żarówek Reflectoflood (naświetlających)	100
b) 20 żarówek projekcyjnych (typ samochodowy)	10
c) 10 przelączników oświetlenia i projekcji	20
III. — <i>Zabezpieczenie przy pomocy fotokopii (udostępnianie fotokopii zamiast oryginałów):</i>	
1) Aparat do fotokopii optycznej typu Photostat (USA lub Niemcy Zachodnie) na papier w rolach i cięty	2.000
2) 2 komplety żarówek zapasowych do j/w.	100
3) Zapas papieru dokumentowego do w/w aparatu, circa 1.500 m ² , w rolach różnych szerokości	500
IV. — <i>Odtwarzanie tekstów zniszczonych :</i>	
1) Obiektyw kwarcowy o ogniskowej typu 10,5 lub 13,5 cm. do wyfotografowywania zniszczonych tekstów w ultrafiolecie	200

NAJWAŻNIEJSZE POTRZEBY BIBLIOTEK I ARCHIWÓW POLSKICH

I. — <i>Restauracja papieru (laminacja):</i>	<i>Cena w \$ w przybliżeniu</i>
1) Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie, laminator Barrow (Richmond, Virginia), z zapasem papieru do laminowania (20×500 ark.)	2.350
II. — <i>Mikrofilmowanie zabezpieczające (stałe):</i>	
1) Archiwum Główne A.D., 1 aparat Kodagraph, 11 kopiarka mikrofilmowa Dupuy	4.000
2) Biblioteka Jagiellońska w Krakowie, 1 aparat Kodagraph	1.000
3) Biblioteka Uniwersytecka we Wrocławiu, 1 aparat Kodagraph ..	1.000
4) Archiwum wojewódzkie w Poznaniu, 1 aparat Kodagraph	1.000
5) Biblioteka Narodowa w Warszawie (niezależnie od wymienionych powyżej w „potrzebach Bibl. Nar.”, 1 aparat Kodagraph	1.000
6) Archiwum Państwowe w Gdańsku, 1 aparat Kodagraph	1.000
7) Biblioteka Uniwersytecka w Poznaniu, 1 aparat Kodagraph	1.000
8) Części zapasowe do wyżej wymienionych aparatów :	
a) 140 żarówek Reflectorflood	170
b) 70 żarówek projekcyjnych do w/w aparatów	35
c) Przelączniki oświetlenia i projekcji, 25 sztuk	50
9) Urządzenia do wywoływania (w odcinkach taśmy 30 mb) do małych laboratoriów (np. korekasy 30 mb), 5 sztuk	1.000
III. — <i>Laboratorium mikrofilmowe ruchowe (w ramach Biblioteki Narodowej) do prac w terenie</i>	3.500
1) 1 aparat mikrofilmowy Kodagraph typ składany (przenośny);	
2) 1 wywołaczka na 30 mb taśmy (przenośna);	
3) prądniczka benzynowa do wyż. wym. urządzeń o mocy 1,5 KW.;	
4) Samochód do wyjazdów w teren z w/w laboratorium (mieszczący urządzenia oraz 3-4 osoby obsługi), typ „station-wagon”.	

Po ogromnym sukcesie, jakim wciąż jeszcze cieszy się „Baśka i Barbara” Zofii Romanowiczowej, wydaliśmy nową powieść jednego z najlepszych młodych pisarzy emigracyjnych:

TADEUSZ NOWAKOWSKI

OBÓZ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

P O W I E Ś Ć

Przeszło 400 stron druku. Cena fr. 850, sh. 17/., dol. 2.50.

Zamówienia prosimy kierować:

„LIBELLA” – Składnica Książek Polskich

12, rue Saint-Louis-en-l’Île, Paris 4. (France)

WARUNKI SPRZEDAŻY:

Jeżeli ktoś mieszka we: Francji, Belgii, Holandii, Szwajcarii, Szwecji, Austrii, Niemczech, Luksemburgu lub we Włoszech, książkę możemy wysłać za zaliczeniem pocztowym, płatną przy odbiorze listonoszowi.

Jeżeli ktoś mieszka w Stanach Zjednoczonych należność może nam przesłać czekiem swego banku wystawionym w dolarach na „Libella” lub też może przekazać bez trudu za pośrednictwem poczty „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w: Kanadzie, Australii lub Nowej Zelandii należność może nam przekazać za pośrednictwem poczty — „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w innych krajach jak: Brazylia, Venezuela, Congo belgijskie itp. należność może przekazać nam, za pośrednictwem banku.

Jeżeli ktoś mieszka w Polsce, może poprosić swego krewnego lub znajomego mieszkającego zagranicą, aby książkę u nas zakupił i mu wysłał.

Książkę można również zamawiać we wszystkich polskich księgarniach.



**POMOC RODZINIE W KRAJU
I ZA LINIĄ CURZONA**

Przodująca polska firma wysyłkowa

LAMPERT & POLIMEX Co

45, Cromwell Rd., London, S.W.7, England

Czytając Tukididesa

Wielki teatr świata ma nieliczny personel. W kostiumach historycznych, z językiem różnych epok na ustach, występują w nim wciąż te same postacie, grając w paru odwiecznych konfliktach.

Ernst Jünger.

HISTORYCY I MEMORIALIŚCI

Już w czasach Renesansu dostrzeżono różnicę dzielącą historyków na uczonych i memorialistów, którzy sami brali udział w wypadkach i opisali potem znany im ycynek dziejów lub bawili się refleksjami na tematy historyczne.

U czytelników memorialiści posiadali zawsze pewną przewagę nad uczonymi. Dzieła Tukididesa, Juliusza Cezara, Tacyty, Machiavellego i Bolingbroka, przepisywane i drukowane przez niezliczone pokolenia skrybów i typografów, czytane były przez długie wieki z niesłabnącym zainteresowaniem. Dzieła historyków uczonych — przedstawiających te same wypadki zazwyczaj w sposób bardziej wszechstronny i systematyczny — nie cieszą się równym powodzeniem. Czytane są przeważnie tak długo, dopóki bibliografia na końcu książki nie postarzeje się. Nieliczne tylko ukazują się w więcej niż jednym wydaniu.

Przyczyna tej przewagi memorialistów nie jest całkowicie jasna. Uczestnicy wypadków górują często nad uczonymi swym autorytetem postaci historycznych, sławnych monarchów i wojowników. Okoliczność ta może mieć pewne znaczenie, gdy chodzi o zapiski wojenne Cezara, *Testament* Karola V lub *Le*

Mémorial de Sainte-Hélène, ale nie objaśnia wcale sławy Tukididesa, Machiavellego i Bolingbroka, najwybitniejszych pisarzy tej grupy. Tukidides był mniej znanym admirałem ateńskim, w wyniku niepowodzeń wojennych pozbawionym przez sąd ludowy dowództwa i skazanym na banicję. Machiavelli był dyplomata florenckim w stanie spoczynku. Bolingbroke wreszcie był angielskim ministrem oskarżonym o zdradę stanu i usuniętym niesławnie z życia politycznego. Ranga ich jako postaci historycznych jest skromna i nie objaśnia ich sławy u czytelników.

Wątpliwe jest również, aby relacje uczestników budziły u czytających większe zaufanie niż prace uczonych. Większe kompleksy wypadków nie mieszczą się w wspomnieniach żadnego świadka naocznego. Zresztą u Tukididesa, Machiavellego czy Bolingbroka brak niemal zupełnie tego, co można by określić słowem „relacja naocznego świadka”. Doświadczenie osobiste znajduje w ich dziełach inny wyraz.

Przewaga memorialistów zdaje się mieć źródło w strukturze samej tkaniny ich opowiadania.

Historyk ma przed sobą zastygły w swej nieodwracalności potok faktów dokonanych. Różne mogą być jego zainteresowania, metody i wizje przeszłości, różna natura dokumentacji, tworzywo pozostaje to samo. Widząc fakty dokonane z pewnego oddalenia, w przeszłości, historyk dostrzega je ustawione niejako w jednym kierunku, oświetlone z jednej strony.

Inną strukturę posiada tworzywo historii opowiedzianej przez uczestników wypadków. Ci ostatni widzieli jak każdy z opisanych przez nich faktów historycznych zbliżał się, dopełniał i przechodził do przeszłości. Widzieli je zrazu w postaci warunkowej, zanim decyzje i zdolności wykonawcze współczesnych nadały im formę nieodwracalnych faktów dokonanych, badanych później przez historyków. Fakty nadchodzące i dopełniające się ukazywały się im zależne od decyzji, od wyboru drogi: na lewo do Dawidgródka, na prawo do Kożuszków.

Odmienność doświadczenia sprawia, że powiązanie faktów u memorialistów i historyków jest różne. Memorialista spisuje protokół eksperymentu, którego wynik nie odpowiedział całkowicie przewidywaniom. W jego powiązaniu faktów na pierwszy plan wysuwają się motywy indywidualnego i zbiorowego działania, będące ważną częścią składową zjawisk znajdujących się w jego polu widzenia. Dla historyka, stojącego wobec wypadków zaprzyszłych, nieodwracalnie dokonanych, motywy działania znajdują się na drugim planie, są raczej elementem literackim opowiadania. Postacie i zbiorowości historyczne zachowały się dlań w ten czy inny sposób, nie mogąc widocznie zachować się inaczej; ich inne możliwe decyzje i sposoby postępowania nie wchodziły w zakres jego percepcji.

Historyk przedstawia zatem przeszłość w jej aspektach niepowtarzalnych, memorialista natomiast zwraca uwagę na elementy powtarzalne historii, zawarte przede wszystkim w motywach działania i zdolności przewidywania jego skutków. Ilekroć

szukamy poprawnego stwierdzenia faktów minionych, bierzemy do ręki dzieła historyków uczonych; gdy chcemy poznać mechanizm zjawisk zbiorowych, gdy szukamy w przeszłości materiału do porównań mogących oświetlić zjawiska teraźniejsze — zwracamy się do memorialistów.

WOJNA PELOPONESKA

Tukidides nie jest czytany w szkołach, i znajomość jego nie wchodzi dziś do tak zwanego zakresu wykształcenia ogólnego. Powiemy więc krótko, że napisał historię wojny peloponeskiej (431-404 przed Chrystusem). Wojna ta położyła koniec zamożności i znaczeniu politycznemu Grecji starożytnej, okupowanej później przez Macedończyków i Rzymian. Obywatel ateński, Tukidides ocenił od razu doniosłość nadchodzących wypadków i natychmiast po wybuchu wojny zaczął spisywać jej historię. Skazany w ósmym roku wojny na banicję przez sąd ludowy ateński, spędził dwadzieścia lat na wygnaniu, pisząc dalej historię toczącej się wciąż wojny. Po ostatecznej klęsce Aten, amnestia ogólna pozwoliła mu wrócić do rodzinnego miasta, gdzie wkrótce potem umarł lub został zamordowany. Historia jego, niezakończona, obejmuje dwadzieścia jeden pierwszych lat wojny. Najbardziej uderzającym jej rysem jest ambicja bezstronności. W mowach wkładanych w usta polityków i dyplomatów Tukidides streszcza argumenty każdorazowych przeciwników.

W pierwszych już rozdziałach Tukididesa widzimy znany nam dobrze z późniejszych doświadczeń obraz wzrastającego antagonizmu między dwoma silnymi państwami — powiedzielibyśmy dziś mocarstwami — z których każde otoczone jest grupą słabszych aliantów i satelitów. Antagonizm ten rozwija się równolegle w kilku płaszczyznach. W płaszczyźnie plemiennej — jak byśmy powiedzieli dziś narodowej — dokoła Aten grupują się szczepy jońskie, dokoła Sparty — doryckie. W płaszczyźnie politycznej, ściślej ideologicznej, Ateny posiadają ustroj demokratyczny i w zasięgu swych wpływów popierają wszędzie ludowładztwo, Sparta natomiast rządzona jest przez liczebnie mniejszą warstwę „oligarchów” i w granicach swych wpływów popiera rządy tego typu.

Oba państwa dzieli nadto dążenie do hegemonii świata helleńskiego przy rozbieżnym rozwoju środków techniczno-wojskowych. Ateny posiadają silniejszą flotę, Sparta silniejszą armię lądową. Miasto i port Aten są niezdobytą fortecą otoczoną „długimi murami”, lecz siły lądowe Aten nie wystarczają na obronę otaczającego stolicę kraju, pustoszonego corocznie w okresie zniw przez wojska lacedemońskie, poruszające się swobodnie po całym lądzie stałym. Ateńczycy panują natomiast na morzu; mogą lądować niespodzianie na wybrzeżach przeciwnika, fortyfikować tam łatwiejsze do obrony punkty, niepokoić go i prowadzić na jego własnym terytorium wojnę ideologiczną.

Wszystkie prawie wyspy należące do bloku spartańskiego wpadają prędzej lub później w ręce Aten. Sparta i Ateny nie mogą się jednak nigdzie zmierzyć wręcz, stoczyć bitwy rozstrzygającej o losach wojny. Do samego końca nie wiadomo czy posiadanie silniejszej floty czy też silniejszej armii lądowej prowadzi do zwycięstwa. Każde niepowodzenie podaje w wątpliwość wartość ogólnej koncepcji strategicznej, każda omyłka w przewidywaniach urasta do rozmiaru zbrodni stanu. Nieszczęśliwi wodzowie skazywani są na banicję lub uciekają przed gniewem ludu do nieprzyjaciela. Kilkakrotnie zwycięstwo wydaje się obu stronom nieosiągalne i zwolennicy koegzystencji biorą górę. Pokój zostaje podpisany, lecz poczucie wzajemnego zagrożenia trwa, przygotowania wojenne nie ustają, i po krótkim czasie wojna zaczyna się na nowo.

W chwili wybuchu wojny Grecja jest wolna od tyranów. Wszystkie miasta mają ustrój mniej lub więcej demokratyczny. Decyzje zapadają przy udziale całego ludu wolnego czy też rządzących wspólnie „oligarchów”. Wojna peloponeska ma charakter ludowy, wciąga wszystkich w wir działań, obciąża wspólną odpowiedzialnością, ludzi nadzieją zwycięstwa i obawą klęski; nikomu nie pozwala pozostać z dala od wypadków. Stąd jej bezwzględność i bezkompromisowość.

W paru głośnych niegdyś książkach historyk włoski Guglielmo Ferrero wyjaśnił, dlaczego wojny ludowe nowożytne, zaczynając od Rewolucji Francuskiej, noszą charakter bezwzględny i niszczący, jakiego nie miały wojny prowadzone przez monarchów absolutnych. Rozważania Ferrera przychodzą często na myśl przy lekturze Tukididesa.

LOSY ALIANTÓW I SATELITÓW

Nie mogąc zmierzyć się z siłami głównego przeciwnika, Ateńczycy i Spartanie prowadzą przez długi czas wojnę kosztem sprzymierzeńców.

Rola słabszego sprzymierzeńca nigdy nie budziła zazdrości. W starych traktatach o sztuce wojennej znajdujemy wskazówkę, że mając przed sobą dwóch sprzymierzonych przeciwników, należy naprzód atakować słabszego, bo silniejszy może zawsze znaleźć mnóstwo powodów, aby nie przyjść mu z pomocą. Machiavelli odradza w ogóle sprzymierzanie się z silniejszym partnerem, bo — jakkolwiek byłby ogólny wynik wojny — słabszy wyjdzie na niej zawsze źle. W razie przegranej silniejszy będzie się starał zawrzeć pokój kosztem słabszego sprzymierzeńca; w razie przegranej ten ostatni znajdzie się sam na sam ze zwycięzcą, bez możliwości manewrowania, zdany praktycznie na jego łaskę i niełaskę. Dawniejsi autorzy zdają się zawdzięczać te prawdy lekturze Tukididesa. Od czasów greckich zastanawiano się nad tym, na co — na podstawie poprzednich doświadczeń — liczyć można sprzymierzając się z silniejszym partnerem. Dziwić się tylko wy-

pada, że tak pilny czytelnik Machiavellego jak Mussolini — a także wielu innych — nie dostrzegli u florentyńskiego mistrza nauk dla siebie napisanych.

Wojnę przeciw aliantom przeciwnika Ateny i Sparta prowadzi różnymi środkami: siłą i terrorem, burząc miasta i mordując lub uprowadzając w niewolę ludność, a także środkami wojny ideologicznej. Przedtem już Ateńczycy, przeniosłszy z Delos do Aten skarb związkowy zasilany przez opłaty lub raczej kontrybucje sprzymierzeńców, zaczęli sobie z tymi ostatnimi postępować bez ceremonii, nie pytając ich o zdanie w sprawie dysponowania wspólnym funduszem, ani w sprawach polityki ogólnej. Spartanie więc obierają taktykę przeciwną: zwołują swych sprzymierzeńców na naradę, na której wojna uchwalona zostaje większością głosów. Odtąd prowadzić będą wojnę o wyzwolenie republik greckich spod jarzma ateńskiego. Taktyka ta przynosi im znaczne powodzenie. Ze swej strony Ateńczycy usiłują zapalić na nowo w Sparcie bunt Helotów i okupują w tym celu parę punktów spartańskiego wybrzeża. Spartanie odpowiadają na to powołując część Helotów do wojska i obiecując wolność obrońcom ojczyzny. Rzymianie poszli potem za ich przykładem, zbrojąc niewolników i obiecując im wolność podczas najazdu Hannibala. Posunięcia te dają miarę przemian społecznych, jakie pociągają za sobą wojny ludowe. Niby potworna fabryka, wojna peloponeska męła z jednej strony tysiącami dawne elity republikańskie, zmieniając je na niewolników, z drugiej zaś strony przynosiła wolność tym, którzy dotąd nie potrafili jej zdobyć własnymi siłami.

Już w latach poprzedzających wojnę każdy przejaw życia wewnętrznego mniejszych republik rozważany był w Atenach i Sparcie z punktu widzenia jego użyteczności dla hegemonicznych planów tych państw, gotowych do interwencji zbrojnej w razie domniemanego naruszenia istniejącej proporcji sił. Wojna ogólna zaczęła się od jednej z takich interwencji na odległym wybrzeżu dzisiejszej Albanii. Korynt i Korkira, republiki należące zresztą obie do grupy doryckiej, walczyły tam o wpływy w mieście Epidamnos. W konflikcie zbrojnym Korkira odniosła zwycięstwo, po którym Korynt zaczął przygotowywać się do odwetu. Zaniepokojeni tymi przygotowaniem Korkiryjczycy udali się o pomoc do Aten. Wysłuchawszy posłów Korkiry i Koryntu i przedyskutowawszy sprawę na dwóch zgromadzeniach ludowych, Ateńczycy postanowili zawrzeć przymierze z Korkirą i udzielić jej ograniczonej pomocy w celu przedłużenia konfliktu. Wśród państw należących do bloku lacedemońskiego Korkira i Korynt posiadały największą flotę, i neutralizacja tych dwóch flot w długotrwałym konflikcie wydała się Ateńczykom zresztą użyteczną.

W tym pierwszym, lokalnym jeszcze starciu zbrojnym występuje szczególnie powtarzający się odtąd wciąż aż do końca wojny: po odniesieniu zwycięstwa nad flotą korynecką, Korkiryjezy-

cy wymordowali wszystkich jeńców prócz obywateli korynckich, których zakuli w kajdany.

Mylibilibyśmy się zapewne bardzo, zbywając lekko ten szczegół jako przejaw barbarzyństwa właściwego światowi starożytnemu. Masakry jeńców i obywateli zdobytych miast nie były nieopanowanym odruchem lecz posunięciem najczęściej przemyślanym, wynikiem racjonalizmu greckiego, przenikającego w czasach Peryklesa w dziedzinę polityki i strategii. W *Discorso Machiavellego*, niezrównanego przewodnika po posępnej otchłani zracjonalizowanej gry przemocy, znajduje się krótki rozdział traktujący o najskuteczniejszych receptach na uniemożliwienie pokoju. Aby odebrać ludowi lub księciu ochotę do poszukiwania kompromisu — pisze Florentyńczyk — nie ma pewniejszego sposobu nad obrażenie strony przeciwnej przez jakieś straszliwe okrucieństwo. Mistrz przytacza następnie parę przykładów objaśniających, jakie motywy mogą kierować ludźmi uciekającymi się do takich sposobów. Jeden z nich jest szczególnie pouczający. Dwie kolonie rzymskie — Velitrae i Circoei — zbuntowały się licząc na poparcie innych ludów Latium, ale klęska tych ostatnich pokrzyżowała ich plany. Część obywateli postanowiła wówczas wysłać do Rzymu posłów do traktowania o pokój. Przywódcy buntu natomiast, w obawie że cała wina zostanie złożona na nich i że nie unikną straszliwej kary, postanowili udaremnić pertraktacje przez jakiś akt okrucieństwa na terytorium rzymskim.

Rywalizacja między Atenami i Spartą utrzymywała we wszystkich mniejszych republikach stan latentnej lub otwartej wojny cywilnej. W każdej z nich stali naprzeciw siebie zwolennicy ludowładztwa liczący na pomoc Aten i oligarchiści liczący na pomoc Sparty. Stronnictwo stojące u władzy, jeżeli nieprzeznacznie wszczęło jakąś wojnę zewnętrzną, musiało ją prowadzić chociażby do najgorszego końca, bo przyznanie się do niepowodzenia, próba zawarcia pokoju i każdy w ogóle gest mogący osłabić napięcie psychozy obłożonego miasta groził przyjściem do władzy przeciwników wewnętrznych, z którymi nie można było liczyć na układy. Dalsze losy Korkiry świadczą, że przewidywania tego rodzaju były często słuszne. Sprawującym w tych warunkach władzę pertraktacje pokojowe wydawały się nieraz niebezpieczniejsze od dalszego prowadzenia wojny, i recepta Machiavellego na udaremnienie pokoju przychodziła im na myśl jako jedyny logiczny wniosek z tego stanu rzeczy.

Masakry ludności wolnej i czyny okropne towarzyszące przez cały czas wojnie peloponeskiej miały także inne motywy, równie logicznie wynikające z położenia i strategii Aten. Przemawiając na zgromadzeniu ludowym za wypowiedzeniem wojny Sparcie, Perykles w sposób następujący ujął położenie republik, znajdujących się wówczas na szczycie potęgi, i wynikającą z tego położenia strategię. Siła Aten — mówił — leży w jej flocie; Ateńczycy mogą spokojnie patrzeć na Spartanów pustoszących najbliższe okolice miasta, bo dla wyniku wojny nie ma to żad-

nego znaczenia. Dopóki panują na morzu, Ateńczycy mogą trzymać w posłuszeństwie swych aliantów, dostarczających im środków do dalszego prowadzenia wojny. Wszelki natomiast kompromis z Spartanami, upominającymi się o prawa paru miast okupowanych przez Ateńczyków, mógłby prowadzić tylko do zachwiania władzy tych ostatnich nad sprzymierzeńcami i do upadku republiki. W tych warunkach, zdaniem Peryklesa, Ateny nie mają innego wyboru jak wojna.

Dla obleżonego od strony lądu miasta trzymanie w posłuszeństwie aliantów dostarczających pieniędzy, żywności i drzewa dla budowy okrętów zdawało się być alfą i omegą, kluczem nie tylko do zwycięstwa, lecz do nagiego utrzymania się przy życiu. Wybierając raczej wojnę niż najłżejsze uszczuplenie ich autorytetu wobec sprzymierzeńców, Ateńczycy, jeżeli chcieli być konsekwentni, nie mogli tolerować u tych ostatnich żadnych tendencji do samodzielności. Panowanie ich stawało się coraz twardsze, coraz bezwzględniejsze.

W mowie wypowiedzianej po pierwszych niepowodzeniach wojennych Perykles, wzywając do dalszych wysiłków i ofiar, zwraca uwagę ludu ateńskiego na niebezpieczeństwo, jakim grozi mu w razie klęski nienawiść wywołana przez długie sprawowanie władzy; lud bowiem ateński posiadał władzę stawiającą go w położenie tyrana: wykonywanie jej jest być może niesprawiedliwe, rzeczenie się jej byłoby na pewno niebezpieczne.

Argumenty Peryklesa, będące wzorem tylu późniejszych dyskursów brzęczących jeszcze w naszych uszach, pozwalają rozpoznać etapy dramatycznego rozwoju stosunków między mocarstwem i jego małymi sprzymierzeńcami.

Etap pierwszy. Dla zdobycia hegemonii, a nawet dla utrzymania naszej pozycji wobec potężnego rywała, posiadanie aliantów, satelitów i kolonii jest nieodzowne. Nie rozstaniemy się z nimi w żadnym wypadku, za żadną cenę; nie mamy więc z nimi o czym mówić.

Etap drugi. Alianci, satelici i kolonie mają nas dość, nienawidzą nas. Jeżeli wypuścimy ich z rąk, powiększą szeregi nieprzyjaciela; ich nieprzejednana wrogość utrudni porozumienie się z tym ostatnim, obniży szanse koegzystencji. Musimy więc za wszelką cenę utrzymać ich w posłuszeństwie, nie cofając się przed żadnymi środkami.

Etap trzeci. Nasi alianci, satelici itd. zbuntowali się, stawiają zbrojny opór. Jeżeli wyłamią się, powiększą siły nieprzyjaciela; ale i uśmierzenie ich buntu będzie wymagało długiej walki i związania części naszych sił. Najlepszym wyjściem byłoby wymordować ich całkowicie.

Perykles widział dwa pierwsze etapy, ale oto i trzeci.

W czwartym roku wojny Mitylena i inne miasta wyspy Lesbos, sprzymierzone dotąd z Atenami, zaczęły przygotowywać się do odparcia. Na wyspie Ateńczycy mieli pewną ilość zwolenników, którzy donieśli o tych przygotowaniach. Miasta wyspy nie były jeszcze dostatecznie umocnione dla stawiania dłuższego

oporu, Mitylena wysłała więc do Aten posłów w celu pokojowego załatwienia sprawy. Obawiając się jednak niepowodzenia układów, Mityleńczycy wysłali jednocześnie innych posłów do Sparty, aby zapewnić sobie ewentualną pomoc z tej strony. Z przybyłym tymczasem admirałem ateńskim podpisano układ, w myśl którego — aż do wiadomości z Aten — admirał miał powstrzymać się od wszelkich represji.

Wiadomość o próbie odpadnięcia Mityleny wywołała w Atenach burzę gniewu. Po publicznej debacie lud postanowił skazać na śmierć przybyłych posłów i wszystkich Mityleńczyków zdolnych do noszenia broni, kobiety zaś i dzieci sprzedać na rynku niewolników. Rozkaz ten wysłano natychmiast do czekającego na wyspie admirała. Następnego dnia, z inicjatywy kilku szanowanych obywateli, podjęto dyskusję na nowo. Długo ważyły się odmienne zdania. Ogólna egzekucja sprzymierzeńców miała wciąż licznych zwolenników. Jako główny argument przeciwnicy wysuwali mały pożytek, jaki Ateńczycy odnieśliby z tak wielkiej masakry. Nieznaczna większość głosów lud odwołał poprzednią uchwałę, nakazując pozbawić życia tylko najbardziej winnych. W rezultacie wykonano na wyspie koło tysiąca wyroków śmierci.

Nie lepszy był los sprzymierzeńców Aten, gdy w wyniku działań zbrojnych wpadali w ręce Lacedemończyków. Pierwsi znaleźli się w tej pozycji, po długim oblężeniu, mieszkańcy Platejów. W pewnej chwili dowódca wojsk spartańskich spostrzegł, że Platejczycy, osłabieni przez głód, nie mogą więcej stawiać oporu. Instrukcje jednak zabraniały mu brać miasto szturmem. Spartanie przewidywali mianowicie, że przy rokowaniach pokojowych będą musieli zwrócić zdobycze terytorialne; aby móc się targować o Plateję, chcieli mieć za sobą argument, że Platejczycy oddali im miasto z własnej woli. Dowódca spartański proponował więc oblężonym kapitulację, gwarantując, że nikt nie będzie karany bez sądu. Po kilku dniach zjechał do Platejów sąd spartański. Tukidides zachował obszernie streszczenie przemówień stron, to jest Platejczyków i Tebańczyków, zainteresowanych również w tej sprawie. Z właściwym Spartanom lakonizmem sąd zadał Platejczykom tylko jedno pytanie: czy w ciągu wojny oddali jakąś usługę Sparcie, a po odpowiedzi przeczącej skazał na śmierć wszystkich bez wyjątku. Kobiety i dzieci sprzedano na rynku niewolników.

W innym miejscu czytamy, że spartański admirał pływący wzdłuż brzegów Jonii kazał w pewnej chwili zamordować większą część jeńców schwytanych podczas wyprawy. Posłowie z wyspy Samos zwrócili mu uwagę, że prowadząc wojnę rzekomo o uwolnienie Grecji spod jarzma ateńskiego, nie powinien pozbawiać życia jeńców, którzy nie mieli nawet możliwości walczenia przeciw Sparcie. Uznając słuszność tych argumentów, admirał kazał zwolnić pozostałych jeszcze przy życiu.

W miastach, które przy pomocy lacedemońskiej odpały od Aten, pozostawiano jednak przeważnie swobodę rządzenia się. Idylla ta skończyła się przy pierwszych rokowaniach pokojo-

wych. Spartanie zwrócili Atenom miasta odpadłe od tych ostatnich podczas wojny. Stosownie do powiązań plemiennych, w niektórych miastach zastrzeżono prawo mieszkańców do opuszczenia miasta z dobytkiem ruchomym, w innych zdano całą ludność na łaskę i niełaskę Ateńczyków.

WZORY WŁADZY

Świat starożytny przekazał wiekom następnym dwa wzory władzy: republikę miejską i szczęśliwego samowładcę, Aleksandra Macedońskiego, Augusta, Antonina Piusa... Czytając Tukididesa odczuwa się wrażenie, że w oczach starożytnych wzory te nie przeciwstawiały się sobie, lecz raczej uzupełniały wzajemnie. Każdy z nich znajdował właściwe przeciwieństwo w sobie samym, w swych formach skrajnych i karykaturalnych. Przeciwieństwem republiki był obraz szalejącego ludu, przeciwieństwem szczęśliwego jedynowładztwa — tyrania. Ekscesy tyranii i ludowładztwa tak zaprzętały wyobraźnię starożytnych, że przeciwstawność rządów demokratycznych i absolutnych uchodziła częściowo ich uwagi. Podobny stosunek do różnych systemów rządów można znaleźć u Machiavellego.

ZDRADA JAKO SYSTEM

Historia grecka zostawiła nam uderzające przykłady stałości, wierności, siły charakteru i poświęcenia. Najślawniejszym z nich była śmierć w Termopilach trzystu Spartanów „posłusznych prawom swej ojczyzny”. Przy uważnym czytaniu przykłady takie można znaleźć także u Tukididesa. Nierównie częściej jednak czytamy w jego historii o niestałości, zmianach frontu, odwracaniu aliansów i zdradzie. Przykłady te rzadziej odnoszą się do głównych państw wojujących — jakkolwiek i tam ich nie brak — częściej do republik mniejszych. Każdy dowódca oblegający jakieś miasto miał w nim swych szrymierzów i informatorów, którym często udawało się otworzyć podstępem bramy i wpuścić oblegających do miasta.

Rozpowszechnienie się zdrady w mniejszych republikach ma oczywiste przyczyny. Mniejsze państwa nie mają na ogół możliwości swobodnego wyboru aliantów, tym mniej mogły ją mieć podczas wojny peloponeskiej. Republiki w zasięgu floty ateńskiej były zmuszone do roli satelitów Aten; republiki kontynentalne były zależne od Sparty. Jaka jest wartość aliansów i zobowiązań zawartych pod przymusem? Dla nikogo nie były to zobowiązania związane z jego poczuciem honoru. Zerwanie narzuconego aliansu było często tajną aspiracją większości obywateli.

Wziętych do niewoli Ateńczyków i Spartan na ogół nie zabijano, lecz zostawiano do późniejszej wymiany. Żadne z dwóch

wielkich państw nie chciało sobie zamykać drogi do pokoju. Jeńców pochodzących z mniejszych republik zabijano bez ceremonii. Po zdobyciu obleżonego miasta masakrowano często całą ludność męską, kobiety zaś sprzedawano na rynku. Przy tym systemie tylko zdrajca miał jakieś szanse pozostania przy życiu.

Zdrada była tym łatwiejsza, że posiadała najczęściej gotowe już formy organizacyjne. U aliantów Aten wszędzie rządził lud, ale wszędzie też istnieli zwolennicy oligarchii, czekający zbliżenia się wojsk spartańskich. W zasięgu wpływów Sparty rządziły oligarchie, ale lud częściowo przynajmniej czekał przybycia Ateńczyków, aby obalić istniejący rząd i samemu wziąć władzę w ręce. Zdrada znajdowała oparcie w istniejących stronnictwach i grupach opozycyjnych. Mniejsze republiki musiały tolerować ten stan rzeczy. Nie mogąc zapewnić obywatelom bezpieczeństwa, pozostawiały to jego własnej domyślności. Wielka rzesza obywateli, zależnie od zmiennych szans wojny, powiększała szeregi stronnictwa ateńskiego lub lacedemońskiego.

W XIX wieku czytelnicy Tukididesa nie doceniali tych okoliczności. Jedni brali ateńskiego historyka za mizantropa, mającego niewielkie pojęcie o charakterze swoich współczesnych. Inni widzieli w opisanych przezeń faktach przejawy głębokiej demoralizacji świata helleńskiego. Opinie te wydają się niesłuszne. Obecnemu czytelnikowi łatwiej jest zrozumieć ówczesną sytuację mniejszych republik. Europejczycy też nie wybierają dziś swych aliantów, i ich własne rządy nie potrafią zabezpieczyć ich od zesłania, w razie czego, na Syberię. Każdy musi szukać tego zabezpieczenia na własną rękę. W tych okolicznościach słowo „zdrada” przybiera nowe, nieznane przedtem znaczenie. Zresztą samo rozpowszechnienie się tego zjawiska stwarza w nim niezliczone różnice stopnia i odcienia, od zdrady wulgarnej do zdrady wykwintnej, na poziomie samego Alkibiadesa.

TEORIA RÓWNOWAGI SIŁ

Teoria równowagi sił jest zapewne stara jak świat, i nikt nie może uchodzić za jej wynalazcę. Wersja znajdująca się u Tukididesa jest zbyt dobrze sformułowana, aby mogła być pierwszym szkicem, jakkolwiek słyszymy ją z ust człowieka tak pomyślowego jak Alkibiades.

Pod koniec wojny, po katastrofie armii i floty ateńskiej na Sycylii, Spartanie, posiadając flotę równą ateńskiej, przenieśli wojnę na wybrzeże Jonii, gdzie najstarsi sprzymierzeńcy zaczęli odpadać od Aten. Spartanie zawarli przy tej okazji sojusz z namiestnikiem króla perskiego Tisafernesem, który zobowiązał się ponosić część kosztów utrzymywania floty. Doradcą politycznym Tisafernesa był wówczas Alkibiades, były wódz ateński zbiegły do Sparty a stamtąd do Persji. Oto w skrócie rady, jakich udzielał namiestnikowi Wielkiego Króla:

Nie spieszyć się z zakończeniem wojny i wystrzegać się wszystkiego, co mogłoby dać w Grecji jednemu państwu przewagę na lądzie i na morzu. Przeciwnie, należy dbać o to, aby żadna strona nie miała rozstrzygającej przewagi. Dopóki ten stan rzeczy trwa, Wielki Król może przeciwstawiać jedno państwo greckie drugiemu, gdyby któreś z nich zaczęło zagrażać jego interesom. Gdyby przewaga na lądzie i na morzu wpadła w ręce jednego państwa, król nie mógłby znaleźć przeciw niemu w Grecji żadnego sprzymierzeńca i musiałby wdać się z nim sam w wojnę równie kosztowną jak niebezpieczną. Utrzymując natomiast równowagę sił, król ma możliwość osłabiania Greków ich własnymi rękami, nie łózac na ten cel większych środków. Wychodząc z tych przesłanek, Alkibiades radził Tisafernesowi osłabić naprzód Ateny, w następnym zaś etapie wypędzić z Jonii Lacedemończyków.

Jakkolwiek już wówczas zapewne nie nowa, teoria równowagi sił ma w ustach Alkibiadesa świeżość myśli lotnej, błyskotliwej, jeszcze nie zużytej i pełnej obietnic. Trudno jednak osądzić czy Alkibiades sam brał ją na serio. Być może był to tylko uboczny produkt jego niewyczerpanej pomysłowości, dostosowany do gustów chwilowego protektora.

Inny teoretyk równowagi sił piszący w początku XVIII wieku, Lord Bolingbroke, brał swą teorię poważnie, bo zaryzykował dla niej całą swoją karierę i musiał — jak niegdyś Alkibiades — uciekać do nieprzyjaciela. Bolingbroke zna jednak także granice swej teorii, wie, że ocenić w sposób pewny, która strona jest silniejsza, można dopiero *ex eventu*, kiedy jest już za późno. Teoria równowagi sił weszła z nim w wiek starszy, wiek rozwagi, sceptycyzmu i rozczarowań. Dziś cała ta teoria jest zakurzonym rekwizytem, myślą martwą, interesującą już tylko w perspektywie historycznej.

MOTYWY LITERACKIE

Opis dżumy w Atenach należy do najslawniejszych stronic Tukididesa. Autor przechodził ją sam i pisze ze znajomością rzeczy o jej objawach i przebiegu, jakkolwiek z słów jego trudno osądzić, o jaką ze znanych nam chorób chodziło. Jeden rozdział poświęca opisowi rozprężenia i demoralizacji wywołanej niepewnością życia podczas epidemii. Rozdział ten zdaje się być wzorem wszystkich późniejszych opisów literackich dżumy, Boccaccia, De Foëgo i innych aż do Camusa, który przez rodzaj przekory chciał widzieć w dżumie możliwe źródło cnót.

Najpiękniejsze jednak zdają się być u Tukididesa obrazy szaleństwa ludu, jego zaślepienia i dezorientacji wśród obliczonej na chłodno historii demagogów, proponujących mu coraz skrajniejsze decyzje. Czytającemu nasuwa się pytanie, czemu obrazy te nie znalazły naśladowców i czemu motyw szaleństwa ludu występuje tak rzadko w literaturze. Trzeba się pogodzić

z faktem, że tyran był zawsze bardziej „literacki” i łatwiej znajdował apologetów i piewców.

Jakkolwiek wielkie byłyby jego zbrodnie, postać tyrańca nie jest pozbawiona pewnego, chociażby posępnego blasku. Jest sam przeciw wszystkim. Musi się strzec najbliższych. Nawet prefekt pretorianów i magister palatii, wchodząc do pałacu cesarza, zostawiali broń u wejścia. Przedsięwzięcie tyrańca wymaga tego co Machiavelli nazywa *virtù*. Samotność jego wreszcie sprawia, że zbrodniami swymi nie obciąża innych, sprzyjając nawet przypuszczeniu, że znoszący jego kaprysy wariaci byli lepszego losu. Widok ludów zaślepionych egoizmem i opętanych żądzą wykonywania przemocy nie daje powodu nawet do takich, umiarkowanie pogodnych przypuszczeń; zostaje po nim tylko pogarda i smutek.

Paweł HOSTOWIEC

SENSACJA TECHNIKI I OPŁACALNOŚCI !

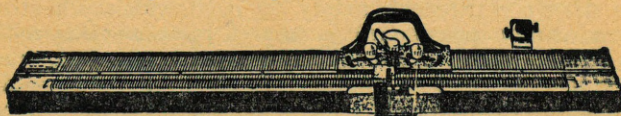
TYLKO

Auto-knitter

66 dol.

nowoczesny suwakowy aparat dziewarski, który może dać utrzymanie całej rodzinie w Polsce.

wraz
z przesyłką



SŁUŻY DO PRODUKCJI WSZELKICH WYROBÓW TRYKOTARSKICH OD SKARPET DO KOSTIUMÓW DAMSKICH WŁĄCZNIE. 10.000 OCZEK NA MINUTĘ ! LICZNIK DO LICZENIA OCZEK DODATKOWO \$6.00.

Tylko przez
firmę

TAZAB

22 Roland Gardens,
London S.W. 7, England

albo: 36 Third Ave, New York 3, N.Y., tel.: ALgonquin 4-4161.

Próba dialektyki

— Będzie zupełnie inaczej! — Bolesław Bierut obejrzał się ku oknu, za którym właśnie wzmógł się tętniący hałas motorów, gotowych do odjazdu. Ze wszystkich stron gmachu, od ulicy, od podwórza, o każdej godzinie, wszystkim słowom i myślom P.K.W.N.'owym towarzyszył rozgłośnie ten ciągły a zmienny dech maszyn, ruszających w drogę, czyli w teren, lub wracających... Rozmaitej maści, radzieckie, poniemieckie i amerykańskie, i wszelkiego formatu, zawsze oblegane czekającymi ludźmi, służyły po spółu rewolucji i wojnie. Powietrze lubelskie o każdej chwili i w każdej ulicy tak samo drżało w gotowości maszyn rewolucją i wojną.

— Będzie zupełnie inaczej?

Nie tylko wszędzie w Lublinie, ale wszędzie w Białymstoku, a także wszędzie za Wisłą, wiemy, wszyscy Polacy, że będzie zupełnie inaczej. Niech tylko ruszy front, ruszy i Rewolucja. Manifest Lipcowy zabieli się na płotach i na ścianach domów innych wsi, innych miast w Ojczyźnie. Wyraźnie i dokładnie dowiedzą się wszyscy, jak ma być. Ale przecież to jeszcze nie wszystko! Bolesław Bierut za okrągłym stołem cierpliwie a niegłośnie, którzyż to raz dzisiaj precyzuje sposoby, czyli drogi dojścia do realnych zmian w Polsce, do realnych zwycięstw nowego nad starym w życiu!

Przed chwilą, ostrożnie, ktoś powiedział w dyskusji, ktoś z nas słuchających, że co to będzie, jeśli obalony ustroj państwowy, społeczno-państwowy potrafi działać na rewolucyjne zespoły budowniczych nowego ustroju, jako ten najłatwiejszy, przemożny, choć wrogi, ale właśnie najbliższy do naśladowania wzorcowi budowy?

Ktoś drugi w dyskusji mówił długo i namiętnie. O chłopskości Polski, o wiejskości zacołanej, ciemnej, ladajakiej. I że nie widzi ludzi, którzy by skutecznie mogli trzymać straż społeczną nad planami Państwa. A historia nas uczy, że trwałym przemianom towarzyszy zawsze udział pracowniczych rzesz, udział masowy i świadomy, jako pierwsza rękojmia, jako główny warunek trwałości tych zmian, ich przyjęcia się w życiu... Czyli, jednym słowem, kto to ma być? Straż

społeczna!... Ze wszystkich Polaków, cudownie ocalałych z wojny i z niewoli, jak wybrać tę najpierwszą polską straż społeczną, którą wieści na murach Lipcowy Manifest? Kto to ma być? Wybrańcy do Rad Narodowych? Partyzanci i żołnierze? Więźniowie z obozów niemieckiego zniszczenia?

Za okrągłym stołem Bolesław Bierut cierpliwie, niegłośnie precyzuje odpowiedzi.

Dzisiaj pierwszy raz słyzy takie powiedzenie „polska straż społeczna”, ale już wie, o co chodzi. Polską straż społeczną za sanacyjnych czasów pełniła policja, podpora tamtej władzy...

I także rozumie, i docenia, obawy pierwszego rozmówcy! Bo istotnie, najbliższy w czasie, sanacyjny wzorzec, gdyby go naśladować, pokazuje policję, jako podporę władzy. I na wsi i w mieście, gdy wchodziła Sanacja do kłóregoś domu, to zazwyczaj z policją. Kontrola policji, ingerencja policji rozciągała się na stosunki sąsiedzkie, domowe, rodzinne, już nie mówiąc o innych, więc o zawodowych...

— Będzie zupełnie inaczej, będzie zupełnie inaczej w naszej Polsce Ludowej! — cierpliwie, uparcie powtarza Bolesław Bierut.

Słyszemy jeszcze raz. Te same, te same słowa, słyszane powielekroć, ale po raz pierwszy przed niespełna trzema tygodniami, tamtej niedzieli pamiętnej 17 września, gdy Bolesław Bierut na lubelskiej ulicy przemawiał do młodzieży, do lubelskich szkolnych chłopców i dziewcząt.

Inaczej ich nazywał, wcale nie „straż społeczna nad planami Państwa”, ale sprawdzianem polskiej rewolucji. Wtedy przemawiał do nich, dzisiaj mówi o nich, ale tak samo. Tak samo serdecznie tłumaczy wszystkim nam, zebrany w gabinecie, na czym polega społeczna waga młodych, rewolucyjna wartość młodych. W każdym środowisku, w każdym domu rodzinnym młodzież dorastająca jest zwycięską siłą, która burzy, odmienia, oświeca, odnawia wszystko stare i ciemne, zabobonne, głupie w światopoglądach. Młodzież dorastająca jest jednak nie tylko czynnikiem zdrowych przemian w wierzeniach rodziców! Młodsze rodzeństwo stawia sobie w życiu jako przykład i wzorzec właśnie starszych braci i starsze siostry...

— Dlatego, dlatego, jako warunek naszego zwycięstwa, jako warunek pełni, trwałości i prawdziwości polskiej rewolucji stawiam socjalistyczne wychowanie młodych przez szkoły polskie, nie tylko partyjne, oraz socjalistyczną działalność codzienną młodzieżowych zespołów i organizacji, ich gotowość, ich ofiarny entuzjazm.

Lublin, 6 października 1944.

Z „Księgi Rozmów” H. Boguszewskiej i J. Kornackiego.

I.

„Rozglądając się po świecie, przyglądając się sprawom ludzkim, między ludzkim, w przelotach, w przebiegach, wśród wielu innych rzeczy w przyrodzie tych spraw, jeszcze jedną prawidłowość chciałbym jakoś nazwać, wyraźną, wielokrotną, i wciąż bezimienną...” — tak pisałem dawno temu w dzienniku rozmyślań, pod Niemcami, na wsi, latem 1941 roku.

Pamiętam, było mi trudno nazwać tę prawidłowość. Jak wszyscy inni, pomagałem sobie przez opisanie :

„Wygląda to tak, jakby z danej przyczyny albo zamiast skutków, albo prócz skutków, wynikały jeszcze opaki skutków, więc niezamierzone, nieprzewidziane, niespodziane twory, dziwacznie śmieszne, albo groźnie straszne w niepodobieństwach...”



Tak zacząłem wtedy spisywać, dla zabawy, pierwsze spostrzeżenia i pierwsze rozmyślania. Łatwo znajdowałem wiele odmiennych skutków tej samej przyczyny, a wśród skutków opaki. Albo zamiast skutków ! Zdarza się bowiem, że jakaś przyczyna rodzi same opaki...

Nie nudziłem się. Powoli zgromadziłem pokaźny zbiór uwag, o czterystu pozycjach. Miałbym jeszcze więcej, ale przecież na uboczu od wszystkiego innego, więc tylko w wolnych chwilach sięgałem po pióro, jak sięga się po buty, albo po kapelusz przed pójściem na wycieczkę. Każdy ludzki dzień tyle tego zostawia po sobie w pamięci, że już zaraz za progiem można w zadziwieniu patrzeć i myśleć.

Więc każdemu radzę, nie tylko każdemu pisarzowi, podjęcie takiej próby. Spisując z pamięci opaki ludzkich pragnień, pomysłów, przedsięwzięć, brniemy w las coraz głębiej, jak na polowaniu, nie przestając się dziwić. W przebiegu, w przełocie odmienia się przed nami przyroda opaków z rzeczy słuszných i wzniosłych w rzeczy śmiesznie straszne, lub strasznie śmieszne. Jakkolwiek, po latach, nader wysoko stawiam cenę mego zbioru, to jednak nie doceniam jego naukowych wartości, więc korzyści. Dla samego siebie gromadziłem materiał. Dla ciężkich chwil w życiu. Głównie, żeby się pośmiać.



Pamiętam grę znamiennych i sprzecznych przeczuć, z jakimi śledziłem postępy dialektyki w moim kraju rodzinnym. Jakby dwóch we mnie było i sprzeczało się.

Jeden z nich przepowiadał, że oto już mija, kończy się bezpowrotnie epoka opaków w przyrodzie rzeczy ludzkich. Zbrojny w dialektykę, obiecywał mi polityk początki innego, lepszego świata. Od tego jest plan, który wszystko przewiduje, żeby zaraz na zawsze przezwyciężyć możliwość tych nieprzewidzianych, opacznych skutków, takich pospolitych w świecie dotychczasowym...

Lecz ktoś inny we mnie kręcił głową, i nie tylko, bo wyciągał rękę i pokazywał. Na złość dialektyce, w obliczu P.K.P.G. opaki tak samo jak przedtem wynikają wśród skutków tak samo jak przedtem niepodobne do przyczyn, tak samo jak przedtem dziwacznie śmieszne, lub dziwacznie straszne w niepodobieństwach...

Ale tak naprawdę, czy istnieją w przyrodzie przyczyny i skutki?

Najpierw odkryłem, jeszcze pod Niemcami, że z tej samej przyczyny wynikają skutki najrozmaitsze, więc jedne podobne, a drugie niepodobne... W drodze do Lublina jakbym nagle zobaczył, że każdy ze skutków wynika z wielu przyczyn, także rozmaitych w niepodobieństwie.

A teraz w rozmowach z Jerzym Borejszą, Adamem Wazykiem i Stefanem Żółkiewskim jeszcze raz inaczej staje nagle przede mną mit przyczyn i skutków. Oto dla celów rewolucji polskiej skutek może i powinien być propagowany, jako początek świata. Bez tradycji żadnych, nie tylko kałepowskich czy pepeesowskich! Coś zupełnie nowego...

Dopiero na wiosnę 1945, więc po kilku miesiącach, zaczęto odchodzić od tej pierwszej koncepcji, zaczęto wertować historię polską, szukać analogii, i wszystkie bliższe rzeczy mijając po drodze, odkrywać Oświecenie i przebierać się samemu w Kół-tajów. Miesiące lubelskie jeszcze tego nie znały. Głosiły nowość, wszystkiemu co było odmawiając niejako prawa do udziału w teraźniejszości.

Nie godziłem się?... Tylko z początku, więc w pierwszych tygodniach, a nie miesiącach. W sławnym Manifestie odczyty-wałem spólny skutek wielu przyczyn, podobnych, niepodobnych, jak w historii Polski widziałem różne próby, ścieżki i gościeńce, wiodące w różnych czasach i różnych Polaków do rewolucji i do socjalizmu. Czułem, że jeszcze wielu tak samo jak ja rozumiało Manifest. Więc wbrew tym niektórym, co dalej na uboczu bro-nili koncepcji początku świata, twierdząc, że w symetriach każ-dej innej koncepcji nasz Lublin wygląda nie jako wypadkowa, ale jako opak tradycji polskich.

Myśląc o tym wszystkim, przyglądając się wszystkiemu, z tygodnia na tydzień, jakbym powoli wąpił. Nie tylko w praw-dziwość mojej własnej koncepcji, czy innych koncepcyj, ale w rzetelność w ogóle całego światopoglądu, związanego z ogniw przyczyn i skutków. Twierdzimy, że z sensem, ale może od-wrotnie, bo właśnie bez sensu tłumaczymy przyrodę, wszędzie dorabiając genealogię, podczas gdy w istocie działa w każdym wypadku jedna i ta sama wzajemna współzależność każdego i wszystkich, wzajemna przeciwwaga zawsze wszystkich na raz elementów całości?

Wśród najrozmaitszych i najsprzecznieszych myśli tak wtedy myślałem. Wątpiłem, niewątpliwie!



Pamiętnej jesieni 1944 roku w tym samym Lublinie tylko raz i na krótko, z Wincentym Rzymowskim, zdarzyło mi się

mówić o tych wątpliwościach. W stołówce przy herbacie i przy papierosie, więc po obiedzie. Z ówczesnych zapisków przepisując teraz tutaj treść tamtej rozmowy, chcę niejako wykazać, że nie tylko ja usiłowałem wtedy brodzić, pływać i nurkować w nowej rzeczywistości. Wielu z nas podobnie, chociaż każdy inaczej, w toniach dialektyki spotykając opory, trudniąc się w wysiłku, pragnęliśmy zrozumieć...

— Nie mówcie, że nie ma, skoro jest zmienność! — Wincenty Rzymowski wtedy w Lublinie przy wielu okazjach i z niejaka satysfakcją, stentorowym głosem cytował po francusku Anatola France'a. To samo zdanie w przekładzie na polski brzmi dzisiaj niestosownie, bo antypaństwowo: „Najpierwszą koniecznością każdego istnienia jest zmiana...”

Zaraz potem, po łyku herbaty, pan Wincenty mrużąc oczy przeszedł na łacinę:

— Starożytni Rzymianie lubili tak mówić, zarówno gdy patrzyli w przeszłość, jak i w przyszłość — *tempora mutantur et nos mutamur in illis*... Deklamując, jednocześnie dodawali w myśli całe wywody o swoich quinquenia'ch, czyli o pięciolatkach pozornej trwałości, więc chwiejnej równowagi w nieuchronnym, ciągłym zmienianiu się wszystkiego...

— Co pięć lat?

— Niech im będzie!... Gdy wszystko się zmienia, gdy wszystko ciągle się zmienia, można jak kto chce, i tak i owak zapisywać zmiany, więc codziennie, co tydzień, co miesiąc, co rok, co pięć lat... Ale wtedy jakże rozmaicie będziemy widzieć przyczyny i skutki! Te same zmiany, oglądane z bliska, inaczej wyglądają, niż po pięciu latach, a inaczej po dziesięciu, i po pięćdziesięciu...

— Rozumiem, oczywiście!

— To są wszystko smaki i zabawy starości! Wcześniej zaczynacie... Wnioskuje z tego, że nie dożyjecie mojego wieku! — bacznie mi się przyjrzał. Lubił takie złośliwości.

— Jeżeli dożyję... Przypuśćmy! To co będzie?

— Dopiero na starość człowiek smakuje zmiany w świecie swego życia! Powracać jak Rzymianie, myślą, co pięć lat, do tych samych miejsc na ziemi, do tych samych ludzi... Ale myślą można także i w przyszłość zaglądać! Dzisiaj jesteśmy w Lublinie, wszyscy naokoło Manifestu Lupcowego... Jednak za pięć lat?

— Co pan przypuszcza?

Nagle się rozłożył:

— Co przypuszczam? Niebylewały rozkwit sztuk i nauk, przemysłu i rolnictwa... Mamy dialektykę! Możemy jedne zmiany wstrzymywać, gdziekolwiek dojrzymy antytezę, czyli przeciwieństwo, czyli postęp... Inne zmiany natomiast możemy rozwijać, a nawet powodować! Nawet powodować... Nawet w literaturze!

3

Wincenty Rzymowski już nie żyje. W P.K.W.N.'im lubelskim był kierownikiem resortu, a zaraz potem, w Rządzie Tymczasowym, pierwszym ministrem Kultury i Sztuki. Obiecywał, ale nie mógł przeprowadzić zmiany w nazwie swego resortu. Tak już zostało, osobno Kultura, osobno Sztuka.

Zresztą, po upływie obu quinqueniów, a nawet w połowie już trzeciej pięciolatki, wcale nie w tym urzędzie trzeba wypatrywać zmian dialektycznych. Nawet taki spec, jak Wincenty Rzymowski, gdyby dzisiaj szukał, niczego by nie odkrył w papierach i w ludziach tej instytucji. Jeżeli gdzie indziej, to w papierach i ludziach po Jerzym Borejszy, po Jakubie Bermanie, po Stefanie Żółkiewskim następne pokolenia odnajdą, najpłycej, ślady tamtego nurtu. Zwłaszcza jego działań wśród spraw kultury.



Jak w innych dziedzinach, tak w dziedzinie kultury próba dialektyczna niejako zakładała, że nosicielami, aktywistami, sprawcami Nowego winni być ludzie o proletariackim pochodzeniu społecznym. Ten nowy mit najgłośniej, w stosunku do innych, głosili ludzie dziedziczący sami wszystkie zalety, lecz i wszystkie wady zgoła odmiennych, kupieckich, bankierskich, inteligenckich i drobnomieszczańskich środowisk przedwojennych, przedrewolucyjnych. Mnóstwo stanowisk w aparacie władzy, a więc przymusu przemian, objęli ci właśnie, wyjątkowi towarzysze. I nawet ich dzieciom, w przeciwieństwie do wszystkich innych polskich dzieci, nie stało na przeszkodzie w karierze życiowej pochodzenie rodziców, zgoła sklepikarskie czy fabrykanckie...

Sprawa ta jest tak ważna, i posiada w Polsce tak bogaty materiał do spożytkowania, że warto by się komuś pokusić o całą rozprawę na ten temat. Jednak bym nie szukał przyczyn opaków wśród genealogii w aparacie partyjnym! Twierdziłem od dawna, że dzisiejszy socjalizm, jak ongiś Duch Święty, *flat ubi vult*. Przed każdym ludzkim środowiskiem, robotniczym, rzemieślniczym i chłopskim i szlacheckim, inteligenckim nawet fabrykanckim i wszelkim innym można i należy budować drogi wiodące w socjalizm! A zresztą, w socjalizmie nikt z komentatorów, tych dialektycznych, jeszcze nie potępił i nawet nie wykazał jakichś zgubnych wpływów społecznego pochodzenia Marxa i Engelsa, i Lenina, i Róży Luksemburg, i Dzierżyńskiego.



Bodaj najjaskrawiej zostało mi w pamięci, z tamtych spraw mitycznych, bojowe przemówienie jednego z czołowych specjalistów w rolnictwie, na sławnym werbunku pisarzy w Radzie

Państwa, dnia osiemnastego lutego 1950 roku. Dostojny prelegent opowiadał pisarzom, między innymi, że kiedyś w terenie ktoś nieostrożny, ale inteligent, bodaj nawet funkcjonariusz ekipy partyjnej, może ministerialnej, w prywatnej rozmowie wątpiąco, nawet drwiąco próbował podważyć sensowność planowania. „Nie uda się nam! Nie wierzę, nie uwierzę!” — upierał się szelma, wróg klasowy. W terenie, do innych kolegów, słuchających w milczeniu. Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego ów towarzysz, taki specjalista i taki aktywista, zdradził się z postawą wroga dla planowania. — Ale w końcu doszliśmy! — zwycięsko kończy mówca. — W końcu wyszło na jaw, że towarzysz miał w rodzinie wujka, otóż to, wujka piekarza...

Czy mam dodawać, jak huczne oklaski zyskał sobie wojowniczy, czujny i domyślny, i dostojny prelegent, właśnie tym passusem w dialektycznościach swego przemówienia?... Jednak dzisiaj po latach, gdy czytam w „Trybunie”, albo w „Życiu Warszawy” o coraz śmieszniejszych opakach planowania w gospodarce rolnej, czy mam żałować, że nikt ani razu nie powążył się poruszyć delikatnej sprawy pochodzenia społecznego różnych dostojników w centralach i w terenie, by wśród wujków, stryjków, ciotek, babek i dziadków szukać tłumaczenia błędów ekonomicznych?



W dziedzinie kultury, prócz tamtego klasowego, pochodzeniowego, jeszcze inne cenzusy obowiązywały nosicieli, aktywistów, sprawców dialektycznej próby zmian w życiu polskim. Ideologiczny cenzus szkolenia także służył celom awansu społecznego. Nikt nie śmiał negować jego skutków, zbawiennych dla każdej twórczości: dziennikarskiej, literackiej, i nawet plastycznej, scenicznej i muzycznej. Wiadomo skądinąd, że w niektórych związkach twórczych umiano uniknąć przymusu oświecenia, które wszędzie indziej, więc w fabrykach, urzędach, szkołach i przeszkolach przyjęto jako domiar, obowiązujący wszystkich obecnych...

— Och, och, cenzus wieku! Zapomniałeś pan o nim? — jakbym za plecami nagle dosłyszał głośny, mocny szept Zofii Nałkowskiej.



Jakże miałbym zapomnieć?... W ciągu Dziesięciolecia niemal w każdej rozmowie nas dwojga z Zofią Nałkowską, jawił się cenzus wieku, nie wiadomo skąd, jako przedmiot rozważań, urągania i westchnień, i przebaczenia. Nawet w telefonach, w listach, w kartkach pocztowych, czuło się w powietrzu dokoła pani Zofii jego ciąglą obecność. Był niby motyw pieśni, o wszelkich wariacjach, tych spodziewanych i tych niespodzianych nawet i dla niej samej.

Wybieram z pamięci taką jedną rozmowę. Zdawałoby się, mówimy o czymś innym. Przed chwilą, z torebki, w największej tajemnicy wyciągnąwszy numer „Wiadomości” londyńskich, więc coś okropnego, pani Zofia powoli, uważnie, wyraźnie czyta nam jakiś wiersz. Właściwie, jakby wierszowaną parafrazę litanii, gdzie po każdej zwrotce następuje życzenie... Po latach pamiętam tylko owe życzenie, pobożnie fałszywe, emigracyjne, pod naszym adresem, rodaków w kraju. Niby nic, a wszystko ! „Wieczne rozczarowanie racz im dać, Panie...”

I pamiętam śmiech, ale tylko nas dwojga, mój i Boguszewskiej.

Odczekawszy naszą radość, złotą „lorynetką” uderzywszy po gazecie, dowcipnie, na znak, że jeszcze nie skończyła i że zaraz powie coś jeszcze śmiesznieszego, coś najśmiesznieszego, Zofia Nałkowska, zdawałoby się zupełnie o czymś innym, z namysłem i z troską, jakby do siebie samej, do własnych obiekcji, zwróciła się w te słowa :

— My dla nich jesteśmy tylko po to, jeszcze ciągle, żeby nas trutować ! Więc nas trutują, dla nabrania sił, dla własnego rozpędu...

— Kto ? Kogo ?

— Nowi starych... Tutejsi, tutejsi ! Nowi, najnowsi... Nienawidzą nas, jeszcze gorzej niż Londyn ! Wszystkich nienawidzą, wszystkich z Dwudziestolecia ! Ale niech się pastwią, nade mną i nad wami, nad Gojawiczyńską, nad biednym Schulzem, nad dobrym Szaniawskim... Niech nas traktują ! Tylko niech nabiorą nareszcie trochę prędkiej tego swego rozpędu, żeby można coś zobaczyć...



Niezachwianie, do końca wierzyła Zofia Nałkowska bodaj we wszystkie cenzusy, obowiązujące w Polsce Ludowej. W cenzus pochodzenia, w cenzus szkolenia i w cenzus młodości... Innymi słowy, wierzyła, że młodzi robotnicy i chłopci, ideowi, nowi, młodzi inteligenci, rewolucjoniści stworzą coś ogromnego. Nie tylko w przemyśle, ale w literaturze. Coś niebywałego, coś zupełnie nowego... Spodziewała się, wierzyła, że doczeka.

Jednak nie było jej danym doczekać „Gwiazdy Zarannej” Marii Dąbrowskiej.

4

Tę rzecz należy dokładniej rozważyć, bo naprawdę jest ciężka ! Więc, po pierwsze : nie pod wpływem chwilowego nastroju Zofia Nałkowska łączyła się w myśli z takimi pisarzami, jak Bruno Schulz, w Dziesięcioleciu gwoili dialektyce otwierający listę niszczonej po śmierci, i jak Gojawiczyńska, albo jak Szaniawski, których świetne nazwiska także można wpisać na

czele listy, tamtej drugiej listy, przekreślanych za życia. Zofia Nałkowska, redaktorka „Kuznicy”, posłanka do K.R.N., potem posłanka na Sejm... Nawet Kazimierz Brandys bez chwili namysłu powinien przyznać, że Zofia Nałkowska miała swe miejsce w walce! I miejsce poczesne...

Niewątpliwie, w każdym środowisku spotykamy nienawiść partaczy, fuszaków i w ogóle amatorów — do uznanych powag, do specjalistów. Także niewątpliwie, każdy przewrót społeczny, chociażby przez chwilę dziesięciolecia w dziejach, pozwala wypływać i krążyć po powierzchni rozmaitej pianie, rozmaitemu świństwu. Ktoś, który przed wojną tłumaczył fajne książki o Cezarze Borgii, o Griszce Rasputinie, cóż ma do mówienia o takich książkach, o takich pozycjach myśli i pióra, jak Zofii Nałkowskiej „Niecierpliwi”, „Choucas”, „Niedobra Miłość”?

Ale także, niewątpliwie, nie tylko zły smak kazał w Polsce Ludowej przekreślać lub niszczyć niektóre świetne książki. Sama dialektyka, mająca swe tradycje w przedwojennych ruchach rewolucyjnych, już od pierwszych dni Manifestu Lipcowego chowała w zanadrzu oręż dawnej nienawiści do czołowych twórców literatury polskiej. Nie zapominajmy o znamienym incydencie, dzisiaj przemilczanym, że na samym początku, członkowie najpierwszych Kas Oporu Waryńskiego, czerwoni studenci, spoliczkowali Bolesława Prusa, w biały dzień, na ulicy... A tylko dlatego, że osmiesił się wystąpić w obronie zelżonej polskiej przeszłości literackiej. Cokolwiek inaczej, ale także bynajmniej nie przebiegał w środkach Wacław Nałkowski w swojej nienawiści do Sienkiewicza. Dzisiaj wycofane, więc nie mogę przytoczyć najmocniejszych słów Żeromskiego o Marchlewskim... Także nie mam pod ręką słabszych, ale jednak pisanych w nienawiści artykułów Bruena o Stefanie Żeromskim. Gdybym miał czas szperać, znalazłoby się więcej...



Jednak wyszperałem ciekawy dokument z tejże samej dziedziny! W niektórych ustępach jest w nim mowa o ludziach jeszcze dziś żyjących, więc podaję go w streszczeniu, tamto opuszczając.

W pierwszej połowie grudnia 1945 roku Bolesław Bierut, podówczas Prezydent Rzeczypospolitej, od jednego z pisarzy, znajomego sobie, otrzymał list, zarówno w treści jak i w formie niezupełnie przyjemny:

„Już dwukrotnie, z rozmaitych stron zwracano mi uwagę na ujemną ocenę dorobku literatury polskiej w przemówieniach Pana Prezydenta. Z prawdziwym bólem musiałem odmówić wszelkich prób wyjaśnień...”

W dalszym ciągu, wymieniwszy ze dwadzieścia nazwisk prozaików i poetów zmarłych i żyjących, autor listu dodaje:

„Żaden z tych pisarzy, wzięty na chybił trafił dla przykładu, nie popełnił tych rzeczy brzydkich, jakie Pan polskiej literaturze

suponuje — nazwiska te, wprost przeciwnie, mają spólny ton, dominujący w piśmiennictwie polskim, a właśnie wartościowy przez swą myśl społeczną, choć nie zawsze marksowską”.

I jeszcze: „Stefan Żeromski, gdy próbował w jednej ze swych rozpraw ogarnąć kulturowe wartości polskiej literatury, musiał ubolewać nad jej jednostronnością, właśnie nad przewagą w niej wartości społecznych patriotyzmu i myśli postępowej. Gdy teraz często patrzę na miniony okres historyczny 1918-1939 — podziwiam w nim literaturę polską, tę jedną z niewielu jasnych stron polskiego życia. W większości swej pisarze polscy byli nieprzekupni, odważni, w książkach swych nieśli społeczeństwu wartości demokratyczne i socjalistyczne, więc dlaczego dzisiaj właśnie źle się o nich mówi?”

W tym miejscu autor listu, najwidoczniej pragnąc za wszelką cenę pozyskać szacunek Bolesława Bieruta dla wyżej podanych wartości narodowych i socjalistycznych literatury polskiej, próbuje tłumaczyć, jak gdzie indziej, dla przykładu, więc w Związku Radzieckim władza rewolucyjna potrafi szanować i kochać piśmiennictwo, jaką czułą troską otacza sławną pamięć rosyjskich pisarzy tak mało marksistowskich, jak Turgieniew, Tolstoj, Czechow i inni... „Nad radziecką pamięcią narodową nie pokutuje widmo przekłętogo Luli z „Przedwiośnia”, dyszącego nienawiścią do wszystkiego, co polskie!”

I jeszcze: „W nadziei, że Szanowny Pan Prezydent powie mi kiedyś przy okazji, o czym myślał nad tym moim listem, łączę wyrazy Szacunku i Oddania...”



Wiem, o czym wtedy myślał Prezydent Bolesław Bierut nad tamtym listem pisarza. Mam przed sobą odpowiedź, odręczną, datowaną 11 grudnia 1945 roku. Przepisuję ją w streszczeniu.

„Z prawdziwym zdumieniem odczytałem list Pański, w którym obarcza mię Pan szeregiem niezwykle gorących zarzutów w związku z „ujemną oceną dorobku literatury polskiej w przemówieniach” moich, które jakoby miałem na ten temat wygłosić. Sądzę, że całe i niewątpliwe nieporozumienie (...) wynika stąd, że przemówień moich Pan nie czytuje — czego zresztą, proszę mi wierzyć, bynajmniej nie biorę Panu za złe, gdyż i ja sam nie miewałem w swym życiu zbytnej skłonności do czytania przemówień okolicznościowych, a tylko takie przemówienia dotychczas wypadało mi wygłaszać. Wśród tych jednak różnorodnych okoliczności nie zdarzyło mi się jeszcze — na szczęście — wygłaszanie przemówienia, które by w jakiegokolwiek mierze zahaczało o literaturę. (...) Gdyby mi wypadło kiedykolwiek wypowiadać się na ten temat (...) to musiałbym najprzód zastrzec się jak najbardziej stanowczo, aby mię nie wiązano z jakimkolwiek kierunkiem, prądem, lub ugrupowaniem (...). Powołując się przeto na zasadę wzajemności zawodowej pozwolę sobie zaapelować do sumienia Pana i prosić Go o sprawdzenie rzeko-

mych tekstów moich przemówień, których — zapewniam Pana — nigdy na podobny temat nie wygłaszałem. Prosząc o wybaczenie mi, że przyczyniłem się mimo woli swymi przemówieniami do tak silnego — a przecież najzupełniej niezawinionego — zaniepokojenia Pana, łączę wyrazy szczerego poważania — Bierut”.



Po otrzymaniu takiej odpowiedzi cóż pozostało naszemu pisarzowi, jak sprawdzić jeszcze raz cytaty rzekomych przemówień Prezydenta Bieruta, przedrukowane w czasopiśmie?... Oto list kolejny, i już ostatni, w tej sprawie :

„Szanowny i Drogi Panie Prezydencie, W odpowiedzi na list Pana, za który gorąco Panu dziękuję, bo uradował mnie, a jednocześnie pomógł widzieć nieporozumienie, czuję się w obowiązku wyjaśnić, że owe teksty przemówień, których Pan Prezydent nie wygłosił, czytałem na własne oczy w gazetach warszawskich. Gdybym nie czytał, Panie Prezydencie, jakże mógłbym pisać o nich do Pana?

„W pełni doceniam polityczną wagę okresu dziejowego przeżywanego obecnie. W takich czasach przemówienia Głowy Państwa są szeroko czytane, komentowane, rozważane, więc posiadają znaczenie szczególne. Byłoby zatem pożądane ze wszelkich miar, by redakcje czasopism nie zniekształcały wypowiedzi publicznych Prezydenta Rzeczypospolitej.

„Zapewne w końcu października gościł Pan Prezydent u siebie w Belwederze przedstawiciela Polonii Amerykańskiej, gdyż opis tego spotkania czytałem (...) w Kurierze Codziennym w dniu 1 listopada (...) W przemówieniu tym nazywa Pan Prezydent naród polski najdzielniejszym i najzdolniejszym na świecie, zaznaczając jednocześnie, że polska literatura w „którymś okresie” głosiła coś wręcz przeciwnego, szerząc niewiarę w siły biologiczno-społeczne narodu. (...) W parę dni później z kilku stron pytano mnie o wyjaśnienie, w którym mianowicie okresie polska literatura szerzyła defetyzm, niewiarę itp. szkodliwe i brzydkie rzeczy”.

„Następnie zapewne w pierwszych dniach grudnia gościł Pan Prezydent w Belwederze delegację pisarzy chłopskich, którym zgodnie z relacją „Życia Warszawy” z dnia 6 grudnia miał Pan między innymi powiedzieć, co następuje : „Dotychczasowa nasza literatura piękna, z bardzo małymi wyjątkami, nie była przeznaczona na użytek dla pracujących mas chłopskich czy robotniczych — po prostu dlatego, że była niezrozumiała — zajmowała się sprawami zupełnie te warstwy nie obchodzącymi. Literatura, sztuka, służyła bardzo często wyszukanyemu kaprysom i dąsom nieproduktywnej, rozpróżnianej klasy posiadającej. Chłop i robotnik zjawili się w takich utworach najczęściej jako postacie komiczne. Zagadnienia socjalne i zagadnienia postępu społecznego były skrętnie pomijane, gdyż niechętnie je przy-”

mowali ci, którzy byli jedynymi w zasadzie odbiorcami sztuki i których gustom twórca, chcąc być wziętym, starał się przypodobać (!)". W innym miejscu tegoż przemówienia czytam: „Wytworzyła się literatura nazywana mieszczańską, gdyż motywy powikłań erotycznych wśród bohaterów i bohatererek najczęściej w formie trójkąta małżeńskiego — był osią — dokoła której obracały się zdarzenia. Klasa posiadająca problemów socjalnych oglądać w sztuce nie chciała”.

„Wcale nie muszę bronić polskiej klasy posiadającej, by stwierdzić, że obraz literatury polskiej nakreślony w imieniu Pana Prezydenta, jest obrazem krzywdzącym i nieprawdziwym. (...) Czytając Manifest Lipcowy, czytając najważniejsze dekrety P.K.W.N. zawsze myślałem sobie, musiałem myśleć, że jakże by radowali się nimi ci wszyscy dawno i niedawno zmarli polscy pisarze postępowi, których na przestrzeni ostatniego wieku był legion. Właśnie polscy pisarze, którzy w swojej twórczości tęsknili do naszych czasów i zapowiadali je. Dlatego dzisiejsze hasła demokracji ludowej i sprawiedliwości społecznej widzę jako testament, jako dziejowe spełnienie całych stu lat polskiej literatury pięknej. Ona właśnie nie była burżuazyjna i erotomańska na sposób francuski. Ona była właśnie po polsku patriotyczna i społeczna, jak żadna inna literatura na świecie.

„Jestem szczerze szczęśliwy, że tamte wywody nie wyszły z Pana ust, Panie Prezydencie. Ludziom, którzy je napisali zaocznie w Pana imieniu polska historia na pewno ręki nie poda. (...)”.



Wcale nie mam zamiaru podawać w wątpliwość szczerości odpowiedzi Bolesława Bieruta na tamten pierwszy list. Bo na ten drugi nie nadeszła nigdy, o ile mi wiadomo, żadna odpowiedź. Przy dalszych widzeniach także nigdy nie wracali, Prezydent i pisarz, do sprawy tamtych listów.

Nie inaczej, tylko w którychś ciemnych zakamarkach, albo ówczesnego P.A.P., albo ówczesnego „Czytelnika” działała specjalna komórka, fabrykująca na użytek prasy przemówienia ówczesnych mężów stanu. Rzecz w tym, że owa fabrykacja działała w myśl receptur ówczesnej dialektyki, chorującej jakże ciężko, przewlekłe i nagminnie na „Dziecięcą chorobę lewicości”, czyli na tak zwane lewactwo.

Oba listy pisarza polskiego, aczkolwiek dyktowane niewątpliwą troską o dobre imię i o dobrą przyszłość polskiej literatury, i aczkolwiek skierowane, zdawałoby się, pod najwyższym adresem, nie wywarły jednak żadnego wpływu, nie miały żadnych skutków... Trudno się temu dziwić, skoro nawet legenda o egzemplarzu rosyjskim „Trylogii” na Kremlu, na biurku Józefa Stalina, nie zdołała jakoś natchnąć naszych rodzimych lewaków większą troską o losy pamiątek po Sienkiewiczu, po najslawniejszym, po jedynym sławnym prozaiku polskim.

Wielka mnogość instytucji, powołanych niby dla czuwania nad resztkami zbiorów i pamiątek, owa mnogość urzędników patrzących z daleka na tragiczne i haniebne losy Obłęgorka, owa mnogość spółwinnych niech będzie dowodem, jednym z licznych dowodów nagminnej choroby, zwanej lewactwem. Jak w tej jednej sprawie, tak samo w wielu innych ani nasze polskie perswazje i lamenty, ani tamte radzieckie, obłudnie sławione, przykłady patriotyzmu, nic nie było w stanie przemówić do sumienia, do rozumu, do serca przekłętemu pomiotowi straszego Luli z „Przedwiośnia”, jego synom i córkom, obecnym wśród nas w Dziesięcioleciu.

5

Nie odszedłem od tematu, a jednak jeszcze wracam do poprzednich rozważań o cenzusie szkolenia, przerwanych przez żalosne spotkanie w pamięci z Zofią Nałkowską.

Tylko wzmiankowałem, że w niektórych związkach twórczych umiano uniknąć przymusu w tym szkoleniu. Jeszcze chciałbym dodać, że dzięki tolerancji Zarządu Głównego Z.L.P. mnie samemu jakoś się udało uniknąć obowiązków zarówno domiaru emocji i wygłupiań egzaminacyjnych, jak domiaru w ogóle samej obecności na lekcjach dialektyki. Co wcale nie znaczy, bym unikał kształcących dociekań i sporów z dialektykami!

Mam tego w pamięci wielkie mnóstwo. Prawie wszystko porządnie spisane. Czekam z tym na jeszcze dalsze odpłynięcie w przeszłość ostatnich dwóch quinqueniów. Nie wiem, czy doczekam możliwości wydania w druku wszystkich wspomnień o próbie dialektyki, więc dzisiaj niejako próbuję, czy się uda frunąć i polecieć bodaj tylko niektórym!



Począwszy od Lublina, poprzez wyjazd do Moskwy, poprzez paromiesięczne dyskusje w Krakowie, i potem, w ciągu wszystkich, trudnych lat warszawskich, wielokrotnie doświadczałem, i za każdym razem z tą samą konsternacją, że nic nie wynika, nigdy nic nie wynika z rozmów i ze sporów, z prób jakiegś zgody, z planów jakiegokolwiek współpracy z lewakami. Owe doświadczenia kazały mi dzisiaj, jako pierwszą lekcję lewackiej dialektyki, jeszcze raz powtórzyć to samo prawo, które mimo woli, ze śmiechem albo z pasją, przy różnych okazjach, na nowo odkrywałem: — Z nimi nie ma umowy!

Ze śmiechem, albo z pasją?... Inaczej wspominam, ze smutkiem, tych nielicznych, których wcale nie chcę obrażać zarzutami wszystkich aspołecznych i antytwórczych opaków lewactwa, a którzy jednak, wbrew własnym wartościom, jakby za głosem mody stroili się w maski i przyjmowali pozy najbardziej

lewackie na kazalnicych polskiej rewolucji, na jej fotelach, i w jej chevroletach, i przy jej stołach...

Przykład, jeden z wielu: w hotelowym numerze warszawskiej „Polonii”, w dniu 7 maja 1945 roku, Boguszevska, Kornacki, Kruczkowski, Nałkowska, czworo posłów do Krajowej Rady Narodowej przyrzekło sobie wspierać się wzajemnie w realizacji wspólnie przemyślanych, wspólnie sformułowanych czterech artykułów, które tutaj przytaczam:

„W odpowiedzi na wezwanie Prezydenta K.R.N. i Premiera Rządu Tymczasowego do wzmoczenia działalności społecznej posłów do K.R.N. — grono posłów — pisarzy w osobach Heleny Boguszevskiej, Jerzego Kornackiego, Leona Kruczkowskiego i Zofii Nałkowskiej na zebraniu odbytym w Warszawie w dniu 7 maja 1945 roku wyłoniło szereg postulatów, związanych zarówno z zagadnieniem społecznej roli pisarstwa polskiego, jak i ze sprawą działalności pisarzy-posłów do K.R.N. w chwili obecnej tworzących zespół kilkunastu osób.

„1) Ten właśnie zespół poselski winien wziąć czynny udział w organizujących się komisjach poselskich K.R.N. — szczególnie w komisjach Kultury i Sztuki, Oświaty i Propagandy, przy czym pisarze-posłowie, którzy wejdą w charakterze członków do tych komisji, winni zainicjować pracę, mającą na celu stworzenie nowego statutu Związku Zawodowego Literatów Polskich, statutu, który by doceniając dziejowe znaczenie pisarstwa w życiu Narodu, zawierał normy prawne, dokładnie określające zawodowy charakter Związku i chroniące go przed napływem takich członków, którzy pracę pisarską bądź zawiesili zupełnie, bądź łączą z innymi zawodami, na przykład z dziennikarstwem, z przewagą tych ostatnich.

„2) Wielkie sprawy społeczno-polityczne, jak powrót Śląska, Pomorza i Prus do Macierzy, jak współpraca kulturalna międzynarodowa, jak socjalizacja gospodarki polskiej, jak odbudowa Warszawy, jak świadectwa zbrodni okupanta na ziemiach naszych, doniosłość tych spraw wymaga współdziałania pisarstwa polskiego, i w takiej mierze, jaka odpowiada wielkim tradycjom pisarstwa polskiego w życiu narodu. By jak najskuteczniej umożliwić pisarzom takie współdziałanie, wszyscy pisarze-posłowie do K.R.N. w toku prac w poszczególnych komisjach poselskich winni wpływać na odpowiednie urzędy państwowe, na samorządy i na instytucje partyjne, gospodarcze itp. by zatrudniały one pisarza polskiego, każdorazowo za pośrednictwem jego Związku Zawodowego Literatów, zapewniając pisarzowi z jednej strony swobodny i pełny wgląd w istotę i w rozwój interesujących go zagadnień, a z drugiej strony zabezpieczając mu warunki utrzymania i spokoju, niezbędnego dla jego pracy twórczej.

„3) Ostatnia sprawa wiąże się najściślej z zagadnieniem zasłków i zapomóg, które zasadniczo obrażają godność zawodu pisarskiego, a także ujemnie wpływają na samą twórczość pisarza. Pisarz polski w ojczyźnie demokratycznej chce zarabiać

na swoje utrzymanie pracą twórczą, jak każdy inny pracownik. Dlatego też władze państwowe, pragnące zabezpieczyć pisarzowi polskiemu jego tak zwany byt, winny w pierwszym rzędzie zabezpieczyć mu warunki rozwoju jego pracy. Społeczna opieka państwa winna czuwać nad pisarzem polskim tylko w takiej mierze, jak nad innymi pracownikami w ojczyźnie. W związku z powyższym wzywa się władze państwowe do zapewnienia udziału delegatom Związku Zawodowego Literatów Polskich we wszystkich czynnościach planowania działalności wydawniczej, między innymi w rozdziale papieru, oraz we wszystkich obradach, precyzujących wytyczne tak zwanej polityki kulturalnej.

„4) Wzywa się również szeroki ogół wszystkich pisarzy polskich, by na zebraniach w poszczególnych oddziałach Związku zespołowo, zbiorowo omawiali sprawy wyłożone powyżej, oraz żeby wyniki takich zebrań, w formie wniosków wyraźnie i dokładnie określonych przekazywali swym kolegom posłom do K.R.N. — współpracującym w komisjach poselskich”.

Bodajże nazajutrz, po tej naszej rozmowie w numerze „Polonii”, doszła do nas wiadomość, że Leon Kruczkowski zostaje powołany do udziału w rządzie jako wiceminister Kultury i Sztuki. Gdy po jakimś czasie zwróciłem się doń w sprawie terminu zwołania narady pisarzy-posłom, odpowiedział, owszem, że wprawdzie w dalszym ciągu podtrzymuje tezy powyższych postulatów, jednak z tą różnicą, że w jego przekonaniu nie poselskie grono pisarzy w K.R.N. i nawet nie Związek, lecz wyłącznie Ministerstwo Kultury i Sztuki winno realizować owe słuszne cele, spisane w postulatach... Roześmiałem się, ale smutno, nie złośliwie.

Miałem tak od razu dać za wygraną? Upierałem się! We wrześniu tegoż roku w Krakowie, na pierwszym powojennym walnym zjeździe delegatów Związku wygłosiłem referat, w którym omówiłem tamte wytyczne, dla mnie w dalszym ciągu słuszne, potrzebne, obowiązujące... Znowu się roześmiałem, tym razem ze złością, gdy w sprawozdaniu z krakowskiego zjazdu, w tygodniku najbliższym K.C.P.P.R. i Kruczkowskiemu, czyli jednym słowem w łódzkiej „Kuźnicy”, w spisie referatów, wygłoszonych na zjeździe, mego nie znalazłem. W ogóle ani słowa o tamtych problemach! Wtedy machnąłem ręką.



Miłosz machnął nogą, z Polski na Zachód. Tego nie pochwalam, choć o Czesławie Miłoszu mam zgoła inne zdanie, niż Kazimierz Brandys. Znakomity poeta, świetny essayista dokładnie wiedział swoje miejsce w Ojczyźnie. Nie został dopuszczony.

Schlebiano pisarzom, i spławiano pisarzy, właśnie jednocześnie! Należy nazwać świadomie obłudnym ów komplement Stalina, robiący z pisarza — inżyniera dusz ludzkich. Plany

wydawnicze, politykę kulturalną oddano warendę zgola komu innemu. Dialektyk partyjny stanal ponad pisarstwem, ten w jednej osobie propagandysta, redaktor i cenzor. Inzynieria dusz ludzkich, wiec marzen i sumien, stala sie monopolem dla komentatorow Marxa-Engelsa-Lenina-Stalina. Takze dla talmudystow, wulgaryzatorow, potworow rewolucji, dretwa swoja mowa szpecacych, plugawiacych kazda mysl odkrywca, kazdy czyn wynalazczy.

Przypomne w tym miejscu, ze w okresie okupacji, czyli pod Niemcami, snuli sie po Warszawie i po innych miastach szlachetni towarzysze, ktorzy zakladali w imieniu K.R.N. tak zwane komitety spoleczne inicjatywy narodowej. Polska rewolucja obiecywala wtedy szeroki oddolny nurt wspolmyślenia, glosila, ze przyjmie i spozytkuje rozmaite polskie chenci i proby... Nie wiem, jak gdzie indziej, ale w kulturze bodaj od poczatku, w Lublinie i w Krakowie, a potem w Warszawie, w realizacjach rewolucji polskiej widzialem po urzedach od razu opaczny, od razu smieszny i od razu grozny skutek tamtych zalozen.

Oto mam przed soba dwa memoriały Czesława Miłosza, pisane dla mnie w maju 1945 roku. Jeden z nich nosi tytuł: „Projekt Księgi Strat Nauki i Sztuki Polskiej”. W nagłówku drugiego czytam z kolei: „O Pełne Wykorzystanie Możliwości Twórczych i Społecznych Pisarza”. Tak samo jak wtedy gdy po raz pierwszy brałem je do ręki, dzisiaj, po latach, widzę w nich rzetelną, dobrą robotę inżyniera dusz i pioniera postępu.

Dalsze smutne losy obu tych memoriałów czuję jak dwie krople w tamtym pełnym kielichu kwasu i goryczy, jaki stał się udziałem Czesława Miłosza przed opuszczeniem kraju. Są one świadectwem nie tylko patriotycznej i społecznej więzi ówczesnego Miłosza z polską rewolucją, lecz także są świadectwem, że coś szwankowało w tej polskiej rewolucji...

Nie czuję potrzeby ujawniania w tym miejscu nazwiska kolegi, który pomagał Miłoszowi w opracowywaniu drugiego memoriału. Jednak dla porządku muszę zaznaczyć, że ten drugi memoriał podpisało dwóch autorów. Cytując fragmenty, świadczę niniejszym, na podstawie rozmów z oboma autorami, że świetna precyzja zarówno definicji, jak pomocniczego materiału spostrzeżeń była wspólnym dziełem obu talentów, w dwugłosie protestu sumienia pisarskiego.

„W społeczeństwie dorzecznym każda jednostka musi być wykorzystana. Każda jednostka, każda zdolność, każda jej możliwość. Rzecz prosta, zważając na hierarchię uzdolnień i biorąc pod uwagę zapotrzebowanie społeczne. O ile się przekonamy, że ono istnieje, a opierając się na jakichś narzędziach które nie zwodzą, stwierdzimy, że w spólnocie są siły zdolne je całkowicie zaspokoić, jeżeli ich nie zaspokajają, to coś tu szwankuje”.

„W istocie dziennikarstwo stało się podstawą egzystencji większości pisarzy. I to nie dziennikarstwo w pismach literackich, których jest mało. Tam przy większej ilości prac czeka-

jących na druk autor ma szanse zobaczenia swojego utworu przeciętnie raz na miesiąc. Toteż prasa codzienna stała się głównym źródłem zarobku. Poeci żyją z felietonów, powieściopisarze piszą artykuły polityczne. Te funkcje mogliby z powodzeniem spełniać zawodowi dziennikarze. Jest w tym marnotrawstwo energii narodowej, gdyż za marnotrawstwo należy uznać używanie pracowników wysoko wykwalifikowanych do zajęć, które nie wymagają tak wysokich kwalifikacji i nawet lepiej byłyby wykonywane przez specjalistów dziennikarzy”.

„Dziennikarstwo wymaga codziennego wydatkowania energii, rozładowuje te wewnętrzne napięcia, które powinny wyrażać się w poważniejszym dziele. Pracując dziennikarsko, pisarz nie ma czasu się kształcić, nie ma czasu pogłębiać zagadnień. Weźmy jeszcze pod uwagę, że w swoim pokoju najczęściej nie ma ani jednej książki — jego własne się spaliły, a nieliczne biblioteki publiczne, które ocalały, nie są jeszcze dostępne, a kupić książki nie ma za co”.

„W chwili obecnej wzrosło niesłychanie znaczenie pisarza w społeczeństwie. W nowym układzie warstw społecznych przypada mu stanowisko odpowiedzialne i zaszczytne. Uwaga, z jaką cały kraj nasłuchuje jego głosu, nakłada na niego wyjątkowo duże obowiązki. Na ogół wszyscy są zgodni w twierdzeniu, iż ma on być lekarzem okupacyjnych wykrzywień psychicznych i prawodawcą moralnym przyszłego budownictwa”.

„Rzeczywiste położenie pisarza odbiega daleko od tych postulatów. Warunki materialne, w jakich żyje są tak ciężkie, że nie może wczuć się w te nowe obowiązki i przywileje, zajęty zdobywaniem środków do życia z dnia na dzień”.

„Ministerstwo nie może być jedynie instrumentem od zdobywania ze Skarbu Państwa pieniędzy dla Sztuki, ale musi być środkiem realizującym pewien przemysłany i uzgodniony z przedstawicielami zawodów artystycznych plan. Komitet Wyzwolenia Narodowego pojął tę sprawę od pierwszego dnia swego powstania, rezerwując dla przedstawiciela interesów sztuki i kultury jeden fotel. Dziś mamy Ministerstwo odpowiednie. Poczytało ono cały szereg cennych posunięć organizacyjnych w zakresie szkół artystycznych i teatru. Ale działalność jego, jeśli chodzi o literaturę, niestety nie odbiegła od atmosfery dawnego referatu literatury w przedwojennym Min. W.R. i O.P.”.

„Pisarze mile przyjmują oświadczenia przedstawicieli Rządu, honorujące ich, ale nie tyle pragną honorów, co tego aby być *wykorzystani*. Jak? Przede wszystkim w swoim zawodzie. W tym, w czym są najlepsi. Materiał nagromadzony w nich czasu wojny, materiał świeży wynikający z najpotężniejszego w naszej historii przełomu, kiedy jednocześnie odzyskujemy niepodległość i jednocześnie wyzwolenie z ciężaru zamierzchłych form ustrojowych, czeka aby mógł z nich wybuchnąć”.

„Na pisarza należy przede wszystkim patrzeć pod tym kątem, że jest to człowiek zdolny do pewnej produkcji, niezbędnej dla społeczeństwa, i któremu warunki przedwojenne nie po-

zwały rozwinać jej w tej skali, w jakiej tej produkcji było potrzeba społeczeństwu. Główny czas tego człowieka musi być poświęcony jego produkcji głównej, a dopiero czas, który mu z niej schodzi, na zajęcia poboczne. A nie odwrotnie. (...) Uczynienie powieściopisarza przede wszystkim powieściopisarzem, poety przede wszystkim poetą, dramaturga przede wszystkim dramaturgiem, i tak dalej, choć tak lapidarnie prosty, to jedyny sposób zaktywizowania u nas literatury”.

Prosty, nie prosty! Wystarczy przypomnieć zachwyty Żółkiewskiego nad jego własnym pomysłem, nad jego wynalazkiem formowania kadr „literatów gazetowych” z narybku poetów, prozaików, dramaturgów...

Od maja do września nosiłem je przy sobie i pokazywałem, te oba memoriały. Wręczałem odpisy różnym ważnym dyalektykom. Kazimierz Czachowski ostrzegł mnie w końcu, żebym już dał spokój. Dziwił się w Ministerstwie, że ja nie rozumiem, że wszystko ma iść z góry. Jak trzeba, to Góra sama pisze memoriał, potem go wysyła do siebie samej, potem go odbiera, otwiera, czyta, potem dyskutuje, tylko sama ze sobą. A potem odkłada. Ma przecież, sama w sobie, tyle kompetencji, że nie może tak od razu sama zdecydować, do której z kompetencji z kolei odesłać ów swój własny memoriał. Takie ma kłopoty, a tutaj jeszcze Miłosz...

Nie muszę dodawać, że Góra nie wydała takiej książki strat w nauce i sztuce polskiej, jaką projektował Miłosz, dla zagranicy. O treści drugiego memoriału Miłosza, więc o jakimś pełnym wykorzystaniu możliwości twórczych i społecznych pisarza, polskiego pisarza, po prostu wstyd pomyśleć, nie podobna myśleć w obliczu tylu polskich popsutych talentów, i w obliczu samego Czesława Miłosza — dzisiaj na emigracji.



Powyższe cytaty z drugiego memoriału czerpałem przeważnie z jego końcowej części, sumującej wnioski, co nie daje pojęcia o całości pracy, dochodzącej do tych wniosków dopiero po dłuższej, sumiennej analizie zarówno okresu Dwudziestolecia, jak pięciu lat wojny i najpierwszych miesięcy wiary i nadziei po wyzwoleniu. W tym miejscu nadmienię, że oba memoriały wspominałem niejako dla ilustracji tych ruchów oddolnych inicjatywy, które można było poprowadzić odgórnie, wzmóc i spożytkować dla rewolucji. Z innych prac wymienię memoriał Aleksandra Rafałowskiego: „Organizacja Życia Artystycznego w Polsce”, oraz pracę doktora Kazimierza Guzika: „Problem Stosunku Socjalizmu do Nauki w Polsce”.

Takich prac było więcej. W archiwach, w szufladach Polskiego Radia i Polskiego Filmu, w departamentach wszelakich ministerstw, i w związkach twórczych, pewnie do dziś dnia nieżywo leżą w teczkach i w segregatorach, odkładane coraz dalej, na strychy, do piwnic, pamiątki tamtych czasów, zdrowe, żywo-

łowe, szczere, prawdziwie polskie próby pierwszych kroków na drodze rewolucji. Odgrzebią je kiedyś, socjolog z historykiem. Pomyślą nad nimi, że mogło być inaczej.

6

Miłosz machnął nogą, z Polski na Zachód. Ja machnąłem ręką... Co to znaczy „machnąć ręką”? To znaczy próbować na własną rękę.

Na Górę nie bacząc, próbowałem spożytkować, jak mogłem najlepiej, to znaczy po swojemu, dar nie byle jaki, na ulicy Kawęczyńskiej trzy pokoje z kuchnią po Prezydencie Bolesławie Bierucie, który stamtąd w maju 1945, po pierwszych warszawskich paru miesiącach przeniósł kwaterę trochę bliżej Wisły, na Żygmuntowską. Wcale nie stroniłem od oficjalnych zjazdów, zebrań sesji, narad, jednak bardziej od urzędów i od ich programów ciekawiły mnie rozmowy, zwyczajne rozmowy, zwyczajnie prowadzone. Trybem gospodarskim, według mego widzi mi się zapraszałem gości na Kawęczyńską. Zupełnie tak samo, według mego widzi mi się, na piśmie czy ustnie dodawałem do zaproszeń temat dla rozmowy...

Kiedy indziej, gdzie indziej opowiem te wszystkie dwadzieścia kilka rozmów, tak jak mam spisane, z tematami, z datami, z nazwiskami ludzi, którzy brali w tym udział. Nie było takówek i nie było tramwajów. Nie było latarni. Z najdalszych krańców miasta, przez pagóry gruzów, pieszo albo „na łebka” trudzili się ludzie, żeby na Kawęczyńskiej w kilku, w kilkunastu, mówić o Rewolucji.



Od dawna, od początku, jedną z moich pasji było łączenie ludzi. Najlepiej się czuję, gdy w kilku, w kilkunastu myślimy o jednym, ale każdy inaczej. Tworzenie akordów z uniesień ludzkich, ze szczerości ludzkiej, z pojmowania ludzkiego...

Dlatego tak prosto, tak do dna serca, tak ze wszystkich sił nienawidzę mono-partii i mono-systemów. By pracować owocnie, by radować się dzisiejszym dniem na ziemi, muszę czuć wokoło jakiś front jednolity dobrowolnych sumień, pospólnych celów, korzyści wzajemnej — a nie odwrotnie. Trudno dziś uwierzyć, że wtedy latem 1945 roku Rewolucję Polską właśnie tak widzieliśmy.



Echa naszych rozmów na Kawęczyńskiej, jak wszelkie echa, kiedy się rozchodzą, poszły nie tylko w kierunku poziomym, lecz trafiły do Góry. Spodobały się Osóbce-Morawskiemu, pre-

mierowi Rządu Jedności Narodowej. Stąd począł się pomysł, by przenieść miejsce rozmów z naszej Kawęczynskiej do niego na Wileńską. Potem na Krakowskie, do Prezydium Ministrów, już po odbudowie tamtego gmachu.

Niemal równocześnie zapragnął mieć u siebie te nasze rozmowy Bolesław Bierut, w Belwederze. Niemal równocześnie Jerzy Borejsza zapragnął z tych naszych rozmów na Kawęczynskiej zrobić dla Warszawy klub dyskusyjny pod nazwą Kuźnica. Ale Kuźnica, dzięki czasopismu o tejże nazwie, miała w całym kraju ustaloną renomę, którą można streścić jednym słowem „szkolenie”.

W ostatnich dwóch sprawach, Belwederu i Kuźnicy, mówiłem z Borejszą na Wiejskiej w „Czytelniku”, w końcu listopada 1945. Zdawałem sobie sprawę z wszystkich konsekwencji, jeśli wyrażę zgodę; lecz także ze wszystkich, jeśli odmówię zgody...

Podniesienie rozmów na belwederski, na najwyższy poziom, nie musiało się równać zmianie ich swobodnej, szczerej bezpośredniości na tak zwaną dzisiaj „drętwą”, partyjną mowę. Chciał Bolesław Bierut rozmawiać jednocześnie i na ten sam temat z takimi ludźmi, jak Waław Borowy, Maria Dąbrowska, Wanda Filipowicz, Witold Giełżyński, Julian Krzyżanowski, Władysław Tatarkiewicz, ze wymienię niektórych. Ale także książk Kaczyński i Bolesław Piasecki, obok Kruczkowskiego i Żółkiewskiego, i innych na liście, z której teraz przepisuję, mieli uczestniczyć w rozmowach w Belwederze.

Tamte pierwsze cztery tematy rozmów niepowinny były budzić we mnie zastrzeżeń: 1) Wolność Prasy i Sumienia, 2) Zagadnienie Odbudowy, 3) Nowa Demokracja, 4) Wschód i Zachód. W doborze zarówno tematów jak uczestników Prezydent Bierut dawał mi lojalnie tak zwaną wolną rękę. Mogłem kwestionować, mogłem dopraszać, mogłem zmieniać kolejność... Ale jedno musiałem! Musiałem napisać, wspólnie z Jerzym Borejszą, cztery zagajenia do czterech rozmów, na początek.

Jak to, więc z Borejszą? Z Borejszą pisać o wolności prasy i wolności sumienia?... Pomyślałem sobie, że ten temat odłożymy gdzieś na szary koniec.

Zagadnienie odbudowy? Interesujące, pasjonujące!... Wcale nie przewidziałem, co Jerzy Borejsza, jakie słowo wymyśli dla tego tematu.

Wymyślił słowo „walka”.



Odbudowę Warszawy, odbudowę przemysłu, odbudowę rolnictwa, a potem rozbudowę — głębiej, szerzej, wyżej, rozumiałem wtedy i do dzisiaj rozumiem, jako ludzką pracę. Taka praca nie jest walką. Wymaga warunków innych, niż walka... W walce jest nienawiść, w istocie walki!

— Nic nie rozumiecie! Nie myślicie dialektycznie!... W przemyśle będziemy bić się o wyższe normy! Tak samo w rolnictwie, i tak samo w Warszawie...

— Bić się? Jak to, bić się? Z kim bić się, z robotnikiem?

Pamiętam tamtą chwilę. Jak w jasnowidzeniu zobaczyłem zwycięstwo tych walecznych bitew — pobojuwisko gospodarki polskiej.

Odpowiedziałem:

— Praca nie jest bitwą! Każda dobra robota w planie gospodarczym wymaga przecież chyba wszystkiego innego, prócz okrucieństwa...



Odmówiłem Belwederu i Kuźnicy. Jeszcze kilka razy miałem sposobność odmówić udziału w tej próbie dialektycznej.

7

Jednym z ostatnich papierów, jakie miałem w rękę w Funduszu Kultury Narodowej, w Prezydium Ministrów, była sprawa wydania „Politei” Platona w nowym polskim tłumaczeniu Władysława Witwickiego. Wiedziałem, że ocalał, że doczekał. Nie znałem go z twarzy, nigdy go nie widziałem, a jednak należał do najdroższych mi ludzi. Wspominałem go w szczęśliwych chwilach w życiu, i zawsze z wdzięcznością, jako jednego z mędrców mojego dzieciństwa. Jednego z Siedmiu Mędrców! Uczyłem się myśleć i uczyłem się kochać na jego „Fajdrocie”, na jego „Uczcie”, na jego „Gorgiaszu”, „Teajtecie”, „Eutyfronie”, „Obronie”, „Fedonie”... Tych książek dzisiaj nie ma.

Wiele różnych rzeczy złożyło mi się na to że jakbym raz jeszcze przeżywał, późną wiosną 1947 roku, tamte dawno minione poloty dzieciństwa i niedole dzieciństwa. Przed przyszłością Polski tak stałem, jak się staje bezradnie w dzieciństwie przed ciemną niewiadomą własnych przeistoczeń w młodość i w dorosłość. Nim tamto nastąpi, jakby musiał pożegnać wczorajsze, znajome, kochane w życiu...



Nastrój pożegnania całej epoki w dziejach, najwierniej, jak w lustrze, widzę w letnim, upalnym, jakby najjaśniejszym dniu tego roku, w dniu 30 czerwca, gdy szukałem w Skolimowie Willi Witwickiego. Wstępowałem na piętro, jakbym schodził w dół, w podziemie spraw minionych. Wszędzie naokoło jaśnieje dzień w upale, a tutaj jest chłodno, cienie, prawie ciemno.

Nie opowiem wszystkich żałości i rozrzewnień, z jakimi patrzyłem na długą siwą głowę, lecz w skroniach szeroką, dziw-

nie potężną w mroku, twardą i upartą. Tak wygląda mój Mędrzec? Mój mistrz prozy polskiej, którą tworzył i zostawił w trudnym materiale tłumaczenia z greczyzny i naukowego wykładu psychologii. Pod siwą czupryną jasne oczy w bladej twarzy wcale nie złośliwie witają moją tutaj obecność, i radość, chociaż w najpierwszej chwili zdążył mi powiedzieć, że jeszcze nie wiadomo, który z nas szczęśliwszy, on że odchodzi, czy ja że zostaję w zmienionej Polsce.

Nie jest rzeczą łatwą porozumienie z kimś, kto właśnie na odchodnym, choć w pełni władz umysłu, a może dlatego, że w pełni władz umysłu, odsuwa od siebie wszelkie rebusy i wszystkie emocje teraźniejszości. Nie tyle podeszły wiek Witwickiego, lat sześćdziesiąt dziewięć, ile choroba serca i płynące od niej puchnięcie nóg kazały wróżyć rychły, cichy koniec jego dniom pracowitym. Miał czas dla studentów, którzy go odwiedzali. Jeszcze żył dla prac nad tekstami greckimi i nad mechaniką nerwów i mózgu. Lecz jakby z trudnością i z niechęcią zaglądał w polityczne sprawy Polski i świata. Nie znał takich nazwisk, jak Bierut, Berman, Cyrankiewicz...

Albo może udawał? Mędracy czasem lubią udawać różne rzeczy dla swych wyższych celów... Chociaż wiedział, że przychodzi do niego z wdzięczności, potrafił raz i drugi nagle tak przemówić, jakby brał mnie w swym domu za kogoś innego.

Dla przykładu: nie chwaliłem przecież ani słowem — ani Eisenhowera, ani Alexandra, ani Stalina. Więc dlaczego nagle rozniewał się? Jak każdy chory. Żeby zaraz potem sięgnąć ręką do serca:

— Nie jest rzeczą męską sławić zwycięzców !... Tylko handełsy, pasażerzy i łapczywe samotne kobiety, za marny grosz, przy ludziach głośno wykrzykują o dobrobycie, o dobrowolności, kiedy jest przymus z nędzą...

I jeszcze:

— Co pan woli? By w imię utopii zginęło w nowej wojnie nowe kilkadziesiąt milionów ludzkich, czy żeby bez wojny wyginęły utopie? Bo one wyginą, jeśli nie będzie wojny...

Nie odpowiedziałem. W tamtej chwili wołałem zgoła coś innego. Wołałem milczeć, patrzeć, jeszcze pobyc blisko, jeszcze razem pooddychać tym samym powietrzem, doczekać się uśmiechu, gdy wreszcie mój mędrzec przypomni sobie, z czym do niego przyszedłem, czytelnik jego książek.

Doczekałem się. I nie tylko uśmiechu... Głośno mi poczytał, najpierw po grecku, a potem po polsku, jeszcze raz, ulubione ustępy z „Fajdrosa”, z „Ucztzy”, z „Fedona”... Śmiał się, cieszył się, gdy mu mówiłem, czym był jego Platon w moim dzieciństwie, a potem w młodości, i potem w dorosłości.

Cieszył się, bo widział, że tak samo dialektycznie rozumie Platon, jak i on, jego tłumacz. W platońskich Dialogach takie różne są ustępy! Jedne z nich pomagają, inne zakazują myśleć i kochać... Dziwacznie, opacznie starzał się Platon! Bo przecież na przekór własnym tyradom, wytoczonym w „Państwie” (II.

19), że najmocniejsze i najzdrowsze ciało najmniej podlega zmianom. Że tak samo dusza, najrozumniejsza i najodważniejsza, zmienia się najodporniej. I tak samo sprzęty, suknie, budowle, książki i idee, wszystko co na tym świecie dobrze wykończono, z pasją i z sensem, pod działaniem czasu i innych wpływów zmienia się najwolniej... Tak pisał, jakby wcale nie widząc, nie czując, że sam już jest zmieniony!

Mówiliśmy tedy o szczytach i o schyłkach w twórczości Platona, o jej przebiegach, dążących na opak coraz dalej od celów, bo w coraz mroźniejsze okolice przymusu i zawiści Państwa, bezkarnego wśród ludzi...

Jeśli jednak Platon jest dowodem, że jednostka ludzka, jak idea, z wolnościowej za młodu wstecznieje na starość, to Władysław Witwicki, tłumacz platonowy, zostaje mi w pamięci jako inny przykład, że zmiany starościowe nie muszą w człowieku dokonywać przeistoczeń opacznych, więc sprzecznych w dziedzinie jego myśli i jego emocji. Do końca można być sobą! Jeśli zważać pilnie na siebie i na innych... Wybierać śród innych, oddzielać, i pamiętać kogo naśladować, cicho i wiernie. I komu pomagać, i z kim rozstać się w porę...

Och, nie tylko z ludźmi, bo także z ideami trzeba umieć w życiu rozstać się w porę!



Wśród drogiej pamiętek przechowuję kilka listów, jakie do mnie pisał ze Skolimowa Władysław Witwicki, nawiązując i snując jakby dalsze ciągi tamtej rozmowy, jedynej rozmowy, jaką nam los darował. Do któregoś z listów dołączył książkę „Platon jako Pedagog”, wydaną w tymże roku 1947 przez „Naszą Księgarnię”. W liście zwracał mi uwagę na sławne w historii, komentowane przez wielu i różnych znanych autorów, trzy podróże Platona, jako polityka, do Syrakuz na Sycylii. Owe trzy pobyty Platona w Syrakuzach można by tu nazwać trzema próbami, bodaj że pierwszymi, praktyki dialektycznej, a więc dokonania totalnych przemian, i nie drogą inną, tylko w myśl systematu odgórnie gotowej ideologii.

Dla ludzi dzisiejszych samo słowo „dialektyka” znaczy coś innego, niż w czasach Dionysiosów, tyranów Syrakuz. Platon Ateńczyk pewnie by nie nazwał dialektycznymi tych swoich prób przemian, jakie razem ze sobą trzykrotnie wiół morzem na Zachód, do Sycylii. W jego polityce sednem wszystkich spraw ludzkich było wychowanie czyli pajdeja, a nie ekonomia czyli wytwórczość, jak wierzano wczoraj i jak dziś jeszcze wierzą. Różnice, na pewno, lecz są i podobieństwa! Oto dla przykładu jeden ustęp z politycznych wywodów Platona, tyczący omawianych tutaj spraw pisarskich, a przecież najzupełniej w stylu Dyktatury Proletariatu:

„Poza tym, co państwo podaje, jako zgodne z prawem i sprawiedliwe albo piękne, albo dobre, poeta nie śmie tworzyć

niczego innego, a co napisze, tego nie wolno pokazywać nikomu z osób prywatnych prędzej, zanim tego sędziowie, do których to należy, i stróżowie prawa nie zobaczą i nie zatwierdzą. A to należy u nas do tych, których ześmy wybrali na prawodawców w dziedzinie muzyki, i do ministra kultury". (Prawa VII.9).

Na te podobieństwa wskazał mi w tamtym liście Władysław Witwicki. Wymienił państwo, elitę i walkę, jako trzy nieodłączne, od czasów platońskich, znamiona totalizmu.

Przestrzegł mnie jednakże, bym nie przestał go kochać, boskiego Platona. „Realizacja marzeń nie tylko w jego wypadku przyniosły rozczarowanie ludzkości, albo jak pan nazwał „opaki dialektyczne”. Platon pozostał poetą i tylko poetą, choć wcale tego nie chciał. Panu także życzę, i wszystkim innym, co są poetami, by na tym poprzestali. Dla służenia państwu, elicie w państwie, jej walce ze wszystkim i ze wszystkimi — szkoda i talentu, i czasu, i honoru czyli ludzkości”.

Tak pisał mój mędrzec w grudniu 1947 roku chejronowym starym stylem pouczeń i wskazań — na wszystkie dalsze moje lata.

Jerzy KORNACKI

*Pisałem w Brzozowych Sieniach
w czerwcu i w lipcu 1956.*

PREUVES

revue mensuelle

publie, sous la direction de F. Bondy
dans son numéro de MARS 1957

G. PALOCZI-HORVATH :

Portrait de Kadar, le prisonnier-bourreau

Entretien entre Romain GARY et François BONDY
suivi de trois textes de l'auteur des *Racines du ciel*.

Albert OLLIVIER : Les pièges de l'histoire ; Roger CAILLOIS :
Jeux et civilisations : simulacre et vertige; Henri FRENAY :
Le travaillisme, enfant mort-né de la Résistance.

PREUVES : 23, rue de la Pépinière - Paris (8^e)

Le n° de 104 pages illustrées : 180 frs - C.C.P. : 178-00 Paris

Fragmenty z dziennika

Sobota.

Historia mego stawania się to dzieje ciągłego przystosowywania się mego do mych dzieł literackich — które zawsze zaskakiwały mnie rodząc się w sposób nieprzewidziany, jakby nie ze mnie... Do pewnego stopnia książki moje wynikają z mojego życia — ale w większej mierze życie urobiło mi się z nich i nimi. Jak było z „Trans-Atlantykiem”? Razu pewnego gdy wracałem w nocy z Caballito na piechotę zacząłem się bawić układając sobie wspomnienia z pierwszych dni pobytu w Buenos Aires we wzór jakiegoś Grand Guignol'u a zarazem, mocą samej przeszłości, poczułem się anachroniczny, udrapowany w stylu antycznym, uwikłany w jakiś sklerotyzm, nieomal pradawny — i to tak mnie ucieszyło iż przystąpiłem zaraz do pisania czegoś co miało być moim prapradawnym pamiętnikiem z owego czasu. Jakaż denerwująca ta wstępna faza, gdy trzeba wyłonić z siebie pierwszy kształt utworu, tak niezręczny, niewzbogacony jeszcze wszystkimi drobnymi inspiracjami, które dopiero potem napotka pióro. Tylko upór pozwala przedrzeć się przez ohydną mgławicę początku. Ale naturalnie — i jak zawsze — napoczęty utwór wymknął mi się, zaczął się sam pisać: to co obmyśliłem jako kronikę pierwszych moich poczynań po wylądowaniu przeobraziło się psim śwędem, Bóg raczy wiedzieć jak, na drodze chyba tych tysiącznych ustępstw, czynionych formie, w dziwacznej opowieść o Polakach, z „puto”, z pojedyńkiem, z kuligiem nawet... Po roku z okładem ujrzałem, że jestem autorem „Trans-Atlantyku”. Ale co to takiego był ten „Trans-Atlanty”? Cudactwo i dziwactwo wyssane z palca, utkane z dziesięciu tysięcy pod-

nieceń, dzieło fantastyczne. Polska? Polska wjechała mi pod moje gęsie, zwariowane pióro mimochodem, tylko dlatego, że pisałem o Polakach — i dlatego może iż wyczuwałem ją jako anachronizm a zatem nadawała się do mego teatrzyku, do tej staromodnej dekoracji.

Tak. Ale teraz utwór miał pójść między ludzi — polskich — i ten czytelnik polski uderzać zacznie, jak w bęben, w zwienną, urojoną polskość trans-atlantycką — aż ona wyda z siebie wojowniczy dźwięk bębna.

Oto dalszy rozwój wydarzeń.

Rozglądam się za jakimś wydawcą. Trzeba przecież coś zrobić z tym tekstem. Wpada mi w ręce adres Pawła Zdziechowskiego w Paryżu. Stąd — nawiązanie z Giedroyciem. Fragmenty „Trans-Atlantyku” mają ukazać się w „Kulturze” (niezbyt się tym przejmuję, wciąż jeszcze jestem na marginesie emigracji. Prawie cudzoziemiec).

Ale nadchodzą listy od znajomych pisarzy, którym przestałem maszynopis. „Na Boga, czy pan zdaje sobie sprawę, co pan napisał?!” Albo: „Całość jest dla „rodaków na obczyźnie” absolutnie nie do zniesienia. Zbyt okrutne. Takie rzeczy trzeba pisać, jeśli się potrafi, ale — niestety — ogłaszanie — ich trzeba odkładać na potem, kiedy modele wymrą, kiedy dekoracje się wykruszą i czas się odmieni... Oczywiście można nie dokładać, ale wtenczas biada! Biada autorowi!”

Co to? A więc — zaczynam rozumieć — będzie skandal. Jak w swoim czasie z Ferdynurką. Niebezpieczniejszy, bo jestem zgubiony w świecie, sam, bez oparcia. Uderzam do Wittlina żeby stał się akuszerem trudnego porodu.

Piszę przedmowę do fragmentów, które ma drukować „Kultura”: „Przypuszczam iż książka, którą macie w rękach, wyda się wam dosyć rażąca — gdyż jakiś świecki a nawet kacerski duch wtargnął w pobożność waszą”... Przedmowa jest pod pewnymi względami nową prowokacją, ponieważ nie zamierzam zabiegać o niczyją łaskę — lekceważeniem chcę odpowiedzieć na lekceważenie, którego nie ma doznałem od „rodaków” i które wciąż mi zagraża. Ale zarazem usiłuję rozładować i wytłumaczyć błuźnierczą kpinę — a to nie tylko jeszcze bardziej uwydatnia problem polski w „Trans-Atlantyku” lecz w dodatku coraz bardziej pcha mnie w powagę.

Fragmenty ukazują się w „Kulturze”. Zaraz potem Wittlin wylewa przejrystą oliwę swojej prozy na wzburzone fale. Artykuł wymowny, odważny i spokojny, rozumny i szlachetny, na wagę złota dla mnie (ale znów, broniąc, wydobywa i uwypukla tenże problem polski, błędną coraz bardziej inne aspekty utworu).

Polemiki. W.A. Zbyszewski zahaczył o mnie w „Wiadomościach” swym dziennikarskim piórem po swojemu to jest nadrabiając tupetem i płasko. Czy odpowiadać? Podczas redagowania krótkiej odpowiedzi na te zbyszewskie trzy grosze for-

mułaje mi się, po raz pierwszy, zupełnie jasno moja teza : przewyciężyć obecną naszą polskość. Teza wpada w próżnię. Nikt nie drgnął. Jeden tylko Mieroszewski komentuje w „Kulturze”, czujny jak zawsze : „Szalone myśli chodzą po głowach współczesnych polskich pisarzy. To są niesłychane poglądy”.

Odpowiadam Straszewiczowi. Tu po raz pierwszy nasuwa mi się pewien ton — suwerennego indywidualizmu — którym będę nadal operował. Pamiętajcie, że ja w tym czasie nie miałem jeszcze wyrobionego głosu dla takich polemik i artykułów. Dysponowałem tylko stylem „artystycznym”, tym z moich książek.

Ukazuje się „Trans-Atlantyk” w książce, z przedmową Wittlina i moją. Oburzenie. Listy. Reakcja contra i pro. Teraz już moja rola jasno określona. Powtórne moje wejście w literaturę ojczystą, po dwunastu latach, odbywa się pod znakiem buntu przeciw ojczyźnie.



Szkicuję tę chronologię gdyż z niej widać jak bardzo naród — przyjmijmy że emigracja jest narodem — kształtuje sobie dzieło i pisarza. Pisarz i dzieło są czymś mieniącym się i nieuchwytnym — dopiero czytelnik utrwala je w jakimś określonym i naczelnym sensie. Przystępując do budowy mego koślawego transatlantyku nie miałem pojęcia, że poześlę na nim ku ojczystym brzegom, jako buntownik i korsarz. I gdyby moich bełkotliwych bluźnierstw, półsensnych prawie, nie wyciągnięto i nie zaczęto nimi potrząsać, one nie stałyby się moją flagą i ja nie odkryłbym, że mój statek to wojenna fregata, której zadaniem bój o nową polskość. Ja — to znaczy, kto? Ja — dziecko. Albowiem kapitanem statku nie był ani odpowiedzialny myśliciel, ani wytrawny polityk, tylko dziecko, które nie bez niepokoju spostrzegło, że wjeżdża w powagę na rzeczy poczętej z igraszki.

Ale teraz ta burza w szklance wody zmuszała mnie do szukania obiektywnych i poważnych racji, do ugruntowania się w powadze — i wówczas powoli uświadomiłem sobie, że jestem w posiadaniu dynamicznej idei, zdolnej przestąpić nasze narodowe samopoczucie i nadać mu nowy wigor. Idea nie była zapewne niczym co by mogło zaopatować nowoczesnego intelektualistę — po Heglu zwłaszcza — nie była żadnym odkryciem Ameryki, była raczej naturalną konsekwencją dzisiejszego naszego myślenia, które zwraca się z taką pasją ku ruchowi i stawianiu się, porzucając świat statyczny, określony. Jednakże jako instrument, który by przeorał polską świadomość ojczyzny, radykalnie odświeżając nam ducha, jako zwrot zasadniczy, jedna z owych twórczych antytez rozwoju, nowy punkt wyjścia... tak, to było do wykorzystania! Nie, nie, nic nowego, nawet dla najmniej oświeconego z Polaków — ta myśl kołatała się w wielu umysłach, co chwila dawała znać o sobie niczym szczupak

w stawie, można ją było odkryć w wielu niedomówieniach — ale uczynić z niej hasło, zadanie i program? Wywindować ją do rzędu naczelnej naszej myśli o narodzie?

O co chodziło? Ja tak to widziałem. Podchodzę do Polaka i mówię mu: — Ty całe życie padałeś przed Nią na kolana. Spróbuj teraz czegoś wręcz przeciwnego. Powstań. Pomyśl, że nie tylko ty masz Jej służyć — że ona także ma służyć tobie, twemu rozwojowi. Wyzbądź się zatem nadmiernej miłości i czci, które cię pętają, spróbuj wyzwolić się z narodu. Na co ten Polak odpowiedziałby mi z wściekłością: — Oszalałeś! Cóż byłbym wart, gdybym to zrobił? Na co ja: — Musisz (bo to już dzisiaj nieuniknione) ustalić, co jest dla ciebie najwyższą wartością: Polska czy ty sam? Musimy w końcu wiedzieć, co jest naszą ostateczną racją. Wybierz co dla ciebie bardziej zasadnicze: czy to, że jesteś człowiekiem w świecie, czy Polakiem? Jeśli przyznasz prym swemu człowieczeństwu, musisz uznać, że Ona o tyle może ci być przydatna o ile mu sprzyja — ale, jeśli hamuje cię lub paczy, musi być przewyciężona. Decyduj się zatem! Ale on odparłby namiętnie: — Nieprawda i nie złudzisz mnie tą sofistyką, gdyż ja, będąc Polakiem, tylko w narodzie moim mogę uzyskać człowieczeństwo. Czy pies może być zwierzęciem tylko? Nie, pies jest zwierzęciem, ale jako pies, konkretny pies, buldog lub wyżeł. A gęś? A koń? Nie odbieraj mi mojej konkretności, bo ona właśnie jest moim życiem! Wtedy ja (ujmując go pod ramię): — Czy łudzisz się, że możesz osiągnąć konkret, czyli rzeczywistość, nie dopowiadając własnych uczuć? Wyznaj, że Ona cię ogranicza, krępuje... On: — Milcz! Tego nie mogę słuchać! Ja zaś: — Chcesz istnieć naprawdę, a boisz się własnych myśli?...

Odwieczny dialog, klasyczna namowa do buntu... Ja może i niechętnie zabierałbym się do tego wynaradawiania... Wszak powiedziałem już: nie jestem wielbicielem kosmopolityzmu — ani tego naukowego, suchego, teoretycznego i abstrakcyjnego, z jego mózgowym schematem idealnie uniwersalnych ustrojów — ani też tego, który rodzi się z sentymentalnej anarchii i jest ekliwym marzeniem mętnych głów o pełnej „wolności”. Nie ufałem jednemu i drugiemu. Przeciwnie, moje ujęcie człowieka, jako istoty stwarzającej się w związku z innymi, konkretnymi, ludźmi, pchało mnie w stronę wszelkiego, ściślej zadzierzgniętego, obcowania. Ale rzecz w tym, że już teraz, w tej fazie mojej dialektyki, wcale nie czułem abym godził w polskość, przeciwnie, miałem wrażenie, że ją pobudzam, ożywiam. Jak to było możliwe? Przecież chciałem wyzwać ich z tej ich polskości? Zapewne... ale to wezwanie miało zaiste jakąś dziwną właściwość, dzięki której Polak stawał się tym bardziej Polakiem im mniej był Polsce oddany. Sofistyka? Spróbujmy to jasnie określić.

Polak z natury swojej jest Polakiem. Wobec czego, im bardziej Polak będzie sobą, tym bardziej będzie Polakiem. Jeśli

Polska nie pozwala mu na swobodne myślenie i czucie to znaczy, że Polska nie pozwala mu być w pełni sobą, czyli — w pełni Polakiem.

Czy nadal wydaje się to sofistyką? W takim razie poszukajmy przykładów w historii. Niemcy za Hitlera rozzarzyły do białości ubóstwienie narodu, a przecież Niemiec taki był nieomal sztucznym fabrykatem, zubożonym o całą tradycję Goethego, ba, o zwykłą swoją niemiecką ludzkość. Niemcy stały się od tego potężniejsze — pojedynczy Niemiec stał się słabszy gdyż musiał odstąpić część swojej indywidualnej siły i odporności narodowi, i, co więcej, stał się mniej typowy, mniej prawdziwy, jako Niemiec. Weźmy dalej Francję. Czy, na przykład Francuz który nie widzi niczego poza Francją jest bardziej Francuzem? Czy mniej Francuzem? Ale być naprawdę Francuzem to właśnie to: widzieć coś innego poza Francją.

Proste prawo. Siła zbiorowa rodzi się w ten sposób, że każdy zdobywa się na pewne ustępstwo z siebie... tak stwarza się potęgą wojska, państwa lub kościoła. Potęgą narodu. Ale to odbywa się kosztem jednostki.

A jeśli naród jest tak geograficznie i historycznie umieszczony, że nie może dojść do potęgi? Cóż wtedy? Ta polskość spontaniczna i naturalna, zawarta w każdym z nas, doznaje wielkiego uszczerbku ponieważ wyzyliśmy się pełnej szczerości i swobody ducha na rzecz mocy zbiorowej — której nie uzyskaliśmy ponieważ jest nieosiągalna. Więc co? Spalamy się, ale z tego spalania tylko dym.

A zatem moje pragnienie „przewyciężenia Polski” było jednoznaczne z chęcią wzmocnienia naszej indywidualnej polskości. Chciałem po prostu aby Polak przestał być wytworem wyłącznie życia zbiorowego — i „dla” życia zbiorowego. Chciałem go uzupełnić. Zalegalizować jego drugi biegun — biegun życia indywidualnego — i rozpiąć go między tymi dwoma biegunami. Chciałem go mieć między Polską a jego własnym istnieniem — bardziej dialektycznego i antynomicznego, świadomego swojej wewnętrznej sprzeczności i umiejącego wyzyskać ją dla rozwoju.



Dążyłem do tego żeby Polak mógł z dumą powiedzieć: należę do narodu podrzędnego. Z dumą. Albowiem, jak łatwo zauważyć, takie powiedzenie tyleż poniża co wywyższa. Ono degradowuje mnie w moim charakterze członka zbiorowości, ale zarazem osobiście wywyższa mnie ponad zbiorowość: oto nie dałem się oszukać; jestem zdolny osądzić własne umieszczenie w świecie; umiem zdać sobie sprawę z mojej sytuacji; jestem przeto człowiekiem pełnowartościowym. (Nawiasem mówiąc, wtedy dopiero moglibyście *bez zastrzeżeń* pokochać Polskę — bo jużby nie mogła odebrać wam wartości).

Posuwałem się w tym żądaniu dalej niż to dotąd było przy-

jęte — nawet Francuzi, Anglicy czy Amerykanie, mający w tej materii nieskończenie więcej od nas swobody, nie zdobyli się na tak krańcowe postawienie sprawy. Ale przecież im to nie było potrzebne! Należeli do narodów potężnych i przodujących — do narodów, które nie tylko nie rujnowały im osobistego życia, ale nawet je wzbogacały — oni mogli wyżywać się w narodzie. Z nami rzecz miała się inaczej, my nie mogliśmy zezwolić aby nasza przeszłość kulturalna, nasz poziom zbiorowy, nasza konwulsyjna historia, nasza bieda narodowa wyznaczały nam granice. Nie, wcale nie było moim zamierzeniem abyśmy tylko z lekka rozluźnili sobie patriotyzm do miary angielskiej lub francuskiej. Proponowałem Polakom postawę wobec narodu bardziej radykalną — i bez precedensów — coś co by natychmiast wyodrębniło nas z masy narodów, uczyniło narodem o innym i wyjątkowym stylu. — Szaleństwo! — powiecie. — I mrzonka! — Tak? — zapytam. — A od czegoż jesteśmy najgorętszymi w świecie patriotami? Czyż nie dlatego właśnie jest w nas materiał na najzimniejszych antypatriotów? W nas rozżarzenie miłości ojczyzny osiągnęło maksimum, uzależnienie nasze od niej stało się najokropniejsze — więc w nas, nie w kim innym, winna pojawić się zbawcza antyteza, twórcza opozycja, będąca krokiem naprzód.

Nie miałem sobie w tym za marzyciela — przeciwnie, byłem wierny realizmowi, który wszedł mi w krew od dawna. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że Polacy — zmęczeni i zrozpaczeni historią ojczyzny — żyją na dnie serca swojego podwójnym uczuciem. Uwielbiali Ją? Tak, ale i przeklinali. Kochali? Tak, ale i nienawidzili. Była dla nich świętością i przekleństwem, siłą i słabością, chwałą i upokorzeniem — ale w stylu polskim, w stylu urobionym i narzuconym przez zbiorowość, dawała się wyrazić tylko jedna strona medalu. Nasza literatura, na przykład, pozbawiona wszelkiego istotnego indywidualizmu, umiała zdobyć się jedynie na afirmację narodu. A tamto uczucie, niechętnie, wrogie, obojętne lub wzgardliwe, pozostawało niewyznane i błakające się samopas, jako grzech, anarchia... Więc cały mój zabieg sprowadzał się do stworzenia zasady, która by pozwoiliła jawnie uruchomić ten drugi biegun odczuwania, dotrzeć do tamtego aspektu polskiej duszy, usankcjonować herezję.



Miałem do dyspozycji potężne argumenty. Oczywiście taki zwrot zasadniczy w naszych stosunkach z narodem mógł zostać dokonany tylko w imię godności indywidualnej, indywidualnego rozwoju. Ale ta pozycja była niezmiernie mocna i na czasie, zarówno wśród emigrantów, jak w Kraju, jak w ogóle na całym świecie — gdyż coraz bardziej dojrzewała konieczność obrony tego co ongiś zwano po prostu duszą przed deformującymi i nieludzkimi mocami zbiorowymi.

Inna rzecz mnie niepokoiła. Ja, jak już powiedziałem, nienawidziłem narodu, bo nie mogłem go znieść; a znieść go nie mogłem wskutek tchórzostwa. Lecz w takim razie coś były warte moje rady i pouczenia — gdy wynikały z zasadniczej mojej niemożności sprostania życiu? Ja, dekadent, jak mogłem wskazywać drogę zdrowym?

Ale ten okropny problem, będący nie tylko moim udręczeniem, został już wielokroć przemysłany. Wszak wiadomo, że postęp, że rozwój nie są dziełem ludzi przeciętnie zdrowych, tych zaledwie zdających sobie sprawę... lecz właśnie wypracowywany bywa przez istoty kalekie, wygnane z zacnej „normalności”. Chory lepiej uchwyci treść najgłębszą zdrowia — dlatego że go nie posiada, że do niego tęskni. Ten komu brak wewnętrznej równowagi może przez to samo stać się znawcą od spraw zrównoważenia, a rada człowieka upośledzonego może przydać się tęgiemu życiu. Ci zaś, co wskutek osobistych skażeń nie mogąc połączyć się ze stadem błakają się na peryferiach, widzą wyraźniej drogę stada i lepiej znają las otaczający.

Sądziłem więc i sędzę do dzisiaj, że zawstydzająca geneza mojej idei nie powinna zaszkodzić — myśl poczęta w piekielku mej niedostateczności, łagodzonej dzieciństwem, mogła stać się obiektywnie ważna. I zdrowa. Pod warunkiem, że przed nikim (poczynając od siebie samego) nie będę ukrywał z czego i jak się poczęła.

Idzie o to przede wszystkim żeby nie sprzedawać kota w worku. Nóżki na stół i karty także — macie mnie takim, jakim jestem, ja wcale nie zachwalam mojego towaru — jeśli moje istnienie może na coś przydać się waszemu, zużytkujcie je wedle woli.



Następstwa takiej zmiany naszego stosunku do Polski byłyby bogate i ważne — spowodowałyby to szereg rewizji odświeżających i elektryzujących, zapewniających nam dynamikę rozwoju na długi okres. Na przykład — rewizja historii polskiej. Nie twierdzę, że należałoby zlikwidować szkołę historyczną, która rozpatruje przebieg naszych dziejów pod kątem istnienia Polski, uznając za dodatnie to co temu istnieniu sprzyja, za ujemne to co mu stoi na przeszkodzie. Jednakże ta szkoła powinna być uzupełniona inną, gdzie rozważano by historię z punktu widzenia rozwoju człowieka w Polsce — i wtedy mogłoby się okazać, że te dwa rozwoje państwa i jednostki, nie zawsze szły w parze i że okresy najpomyślniejsze dla narodu nie były może najszczęśliwsze dla jednostki. A w każdym razie stałoby się jasne, że te dwa rozwoje nie są identyczne. Nie to jednak byłoby najważniejsze.

Najważniejsze byłoby, że oto na koniec moglibyśmy wydożyć się jedną nogą przynajmniej, z historii... uzyskać jakiś punkt oparcia, my, tak przeokropnie zanurzeni w jej odmętach. Albo-

wiem, nie będąc już zmuszeni do kochania i uwielbiania polskości, nie potrzebowalibyśmy też kochać naszej historii. Upatrując naszą wartość nie w tym, czym jesteśmy, a w tym, że zdolni jesteśmy przewyciężyć siebie, nasz kształt obecny, moglibyśmy odnieść się do historii jak do wroga. Ja jestem wynikiem mojej historii. Ale ten wynik wcale mnie nie zadawała. Wiem, czuję, że godzien jestem czegoś lepszego i nie zamierzam rezygnować z tych moich uprawnień. Wartość moją zakładałam na tym właśnie, że nie zadawała mnie moje ja, jako produkt historyczny. Ale w takim razie moja historia staje się historią mojego paczenia i ja zwracam się przeciwko niej — staję się przeto swobodny wobec historii.

Pozwólcie mi marzyć. Byłoby to olbrzymie osiągnięcie ducha — to byłoby jak gdybyśmy wydobyli się z nurtu rzeki i poculi grunt pod stopami. Nie mówię już o tym, że ten nowy ton w historiografii polskiej, chłodny, może niechętny, może sarkastyczny lub wzgardliwy, stałby się kluczem otwierającym całe polać naszej przeszłości dotąd zablokowane — i że po raz pierwszy moglibyśmy pomówić *rzeczowo* o wielkich twórcach naszej narodowej osobowości. Rzecz jest poważniejsza. Oznaczałoby to ni mniej ni więcej, że życie swoje chcemy zacząć od początku i przestajemy być tylko konsekwencją przeszłości. Ale to za jednym zamachem pozwoliłoby nam przeciwstawić się historii obecnej, tej która w tej chwili na nas się dokonuje. Wydobylibyśmy się jednym skokiem zarówno z przeszłości jak z teraźniejszości i obie moglibyśmy osądzać — w imię zwykłe zwyczajnego naszego człowieczeństwa, naszych konieczności ludzkich i naszego uniwersalizmu. Nie zapominajmy, że tylko przeciwstawiając się historii, jako takiej, możemy oprzeć się tej dzisiejszej — i *tertium non datur*. Lecz nie zapominajcie także iż ja nie chcę być w tej materii ani krańcowy, ani sucho teoretyczny i nie tracę z oczu bogatej różnorodności życia — mnie nie idzie o to aby usunąć tamtą miłość afirmującą a jedynie aby wzbogacić nasze możliwości uruchamiając, jak już powiedziałem, drugi biegun naszej antynomii, ujawniając odwrotną stronę medalu polskiego.

Tyle o historii. Ale marzyło mi się, że i sztukę moglibyśmy sobie zrewidować... gdyż nie jest wskazane abyśmy po wsze czasy byli skazani na uwielbianie własnych tworów artystycznych i tej formy, którą one urobiły. Ów przymus uwielbiania jest parafianśszczyzną; a także prowadzi do zakłócenia proporcji pomiędzy nami a światem (czyli rzeczywistością); a także jest najeżony kompleksami i rodzi głupstwo, kłamstwo, pretensjonalność... lecz co więcej i co najważniejsze, nie umiemy dość stanowczo wzgardzić tandetą, ponieważ jest nasza, i to czyni nas bezbronnymi wobec tandety, musimy przystosowywać się do naszego wyrazu nawet wówczas gdy on nie umie nas wyrazić. Ja próbowałem już w tym dzienniku pomówić o literaturze polskiej nie jak o chwale narodowej a jak o (nierzadko) klęsce narodowej — i to, moim zdaniem, nie jest złe, ton ten jest godny zale-

cenia bo to jedyny sposób aby nas ona nie sprowadziła do swego wymiaru, abyśmy mogli urzeczywistniać się jako coś lepszego od naszej literatury.

To tylko dwa przykłady aby wskazać na daleko idące konsekwencje praktyczne idei. Rzecz jasna — niemało bywało u nas rozmaitych „samokrytyk”, ileż to porachunków dokonaliśmy z naszymi „wadami narodowymi”. Był to jednak samokrytycyzm doraźny i zawsze kurczowo uczepiony polskości, gdzieś na dnie potwierdzający polskość jako wartość absolutną. To o czym ja mówię byłoby bardziej świadome, kategoryczne, bardziej zasadnicze — z tej pozycji moglibyśmy sięgnąć po obywatelstwo w świecie.



Porozumiewanie się za pomocą sztuki jest zabawnym nieporozumieniem. Utwór prozy zmieszanej z poezją to nie wzór matematyczny — i w każdej głowie jest inny. Wiele, wiele zależy od głowy. Niedawno w prasie krajowej przeczytałem o „Trans-Atlantyku”: „Intencja Gombrowicza jest tutaj nadzwyczaj celowa i słuszną: ukazanie w krzywym zwierciadle groteski i parodii, dociągnięcie do końca zjadliwej satyry na sanację...”

Tak ustaliwszy moje intencje autor ubolewa, że w dalszym ciągu wszystko się rozłazi. Ecce głowa! — jak melon urodzony na niwie tamtejszego ich uspołecznienia... Ale jestem pewny że niejednen pójdzie w jej ślady. Gdyż dzisiaj wymaga się nie sztuki bezinteresownej, ale użytkowej, wprzęgniętej w kierat, pracowitej jak ślepy koń. I niejednemu z nich „Trans-Atlantyk” rozlezie się zaraz po pierwszych stronicach, po scenie rozmowy z ministrem: „ach, taka sprytna satyra na ministrów, na biurokrację, wszystko jak trzeba, ale potem już tylko jakieś fantazje, kompleksy...”

„Trans-Atlantyk” nie rozłazi się. Rozkoszami dumy napawa mnie jego konstrukcja, to stopniowe wgłębianie się w coraz dalszą fantastyczność, narastanie w nim własnej, autonomicznej, rzeczywistości, to właśnie że nie jest niczym innym, tylko sobą. Nie jest satyrą. Nie jest „rozrachunkiem narodowego sumienia”. Nie jest filozofią. Nie jest historiozofią. Czymże jest zatem? Opowiadaniem które opowiedziałem. W którym między innymi występuje Polska. Ale nie Polska jest tematem, tematem, jak zawsze, jestem ja, ja sam, to są moje przygody, nie Polski. Tyle tylko że jestem Polakiem.

To jest satyra o tyle, o ile moja polska egzystencja na tym świecie jest satyrą.

To nie owoc uprzedniego przemyślenia sprawy polskiej — naprzód to napisałem i o sobie — o sobie w Buenos Aires — o Polsce zacząłem myśleć dopiero potem — i teraz wyciągam z dna mego bezbożnego statku te myśli, jak wybuchową kontrabandę, którą wiozłem nic o tym nie wiedząc.

Tak czy owak, ja na tym statku powróciłem do Polski. Skończył się czas mojego wygnania.

Powróciłem, ale już nie jako dzikus. Gdyż ja ongiś, za czasów mej młodości w Kraju, byłem wobec Polski zupełnie dziki, nie umiejący dać sobie rady z nią, bez stylu, niezdolny nawet mówić o niej — ona tylko mnie męczyła. A potem, w Ameryce, znalazłem się poza nią, oderwany. Dziś rzecz ma się inaczej: powracam z określonymi żądaniami, wiem czego mam domagać się od narodu i wiem co wzamian mogę mu dać. Oto stałem się obywatelem. Niestety! Czyż nie oznacza to, że wkraczam w ostatnią fazę mojego życia?

Witold GOMBROWICZ

Nowości wydawnicze

PROF. Z. DMOCHOWSKI

DZIEŁA ARCHITEKTURY W POLSCE

432 + XXX stron, formatu $7\frac{1}{2} \times 10$ cala ($18\frac{1}{2} \times 25$ cm.), 1173 fotografii i planów w tekście. Ozdobna oprawa płócienna z tłoczeniami i obwolutą.

Cena sh. 70/- w U.S.A. i Kanadzie dolarów 11.00

Książka ta jest najpełniejszą historią architektury w Polsce, na jaką się dotąd nauka zdobyła.

To samo dzieło w języku angielskim pt.:

THE ARCHITECTURE OF POLAND

Cena sh. 70/- w U.S.A. i Kanadzie dolarów 11.00

M. Czuchnowski. „POETA”. Poemat o A. Mickiewiczu

Cena sh. 3/- w U.S.A. i Kanadzie 50 centów.



POLSKA KSIĘGARNIA WYDAWNICZA

ALMA BOOK Co., Ltd.,

9 Lenthall Place, Gloucester Road,

LONDON, S.W.7.

Dostarcza wszelkie książki i wydawnictwa polskie.

Wysyłka odwrotna — katalogi bezpłatnie.

Analiza widma

Warszawski korespondent BBC w swym sprawozdaniu nadanym z stolicy Polski w dniu wyborów do Sejmu powiedział między innymi, że to co osiągnięto w Kraju jest cudowne (miraculous) i jedyne (unique) w świecie komunistycznym.

Ilekróć słyszę takie słowa odczuwam radość, dumę i lęk... W chwili gdy piszę te słowa widmo interwencji sowieckiej — jakże bliskie jeszcze kilka miesięcy temu — wydaje się odległe. Ale przecież widmo to jest wciąż obecne w każdym z nas; wynurza się z ostrożnych sformułowań każdego artykułu, dyktuje każdy nasz krok i uczy Polaków niezwykłej cierpliwej mądrości, którą z niedowierzaniem podziwiają cudzoziemcy. To nakaz tej politycznej mądrości spowodował, że książęta i prałaci Rzymskiego Kościoła głosowali na listę komunistyczną.

Prasa brytyjska była pełna pochwał dla Polaków. W komentarzu redakcyjnym „Daily Mail” znalazły się następujące zdania: „Gomułka nie jest ulubieńcem Moskwy. Kreml śledzi go i śledzi Polskę jak kot śledzi mysz; jeden fałszywy krok a czołgi (sowieckie) znajdą się na ulicach Warszawy”.

W powyższym komentarzu zastanawia nie ostrzeżenie, które płynie z życzliwości dla Polaków, lecz owa spokojna pewność, że ewentualna katastrofa dotyczyłaby tylko nas Polaków i nikogo poza tym. Ta sama pewność cechowała wypowiedź min. Dullesa gdy w krytycznych dniach października oświadczył, że w razie sowieckiej interwencji Polacy nie mogą liczyć na pomoc Ameryki.

Tak Anglicy jak i Amerykanie są głęboko przekonani, że w razie interwencji sowieckiej w Polsce wszystko potoczyłoby się według znanego węgierskiego schematu tylko na nieco więk-

szą skalę. Walczyliby i ginęli tylko Polacy, natomiast zachodnie narody miłujące wolność, ograniczyłyby się do akcji Czerwonego Krzyża. Jednym słowem wszystko tak jak w reklamowych ogłoszeniach amerykańskich zakładów pogrzebowych: „Wy umierajcie — a my załatwimy resztę!”

Otóż w niniejszym artykule chciałbym tym specjalistom od zagadnień Europy wschodniej, którzy interesują się „Kulturą”, zwrócić uwagę, że optymizm panujący w tej materii na Zachodzie wydaje się co najmniej przesadny.

Polacy tak w Kraju jak i zagranicą zrobią na pewno wszystko co w ludzkiej mocy by interwencji uniknąć. Ale wiemy tak my jak i Anglosasi, że nie wszystko w tej sprawie zależy od Polaków.

Ustalmy beznamiętnie pewne fakty.

Po pierwsze, sowiecka interwencja zbrojna, jeżeli kiedyś miałyby nastąpić — przyniosłaby w rezultacie nie powstanie, nie rebelię lecz w pełnym tych słów znaczeniu wojnę polsko-rosyjską.

Po drugie, celem interwencji sowieckiej nie byłaby ekspansja terytorialna lecz likwidacja obecnego politycznego kierownictwa z Gomułką na czele. Wniosek stąd logiczny, że każdy inny polityk czy przywódca miałby większe szanse kompromisowego układu z Moskwą niż Gomułka. Innymi słowy w takiej sytuacji nie pozostawałoby nic innego jak podjąć narzuconą walkę. Pobierając taką decyzję Gomułka miałby za sobą cały, bez wyjątku, naród.

Józef Piłsudski głosił, że walkę wyzwolenczą należy podejmować z perspektywą przekształcenia jej w wojnę światową. Nie sądzę by powyższą doktrynę należało poddawać rewizji. Napadnięci, nie mielibyśmy szans odparcia ataku Rosji własnymi siłami. Jedyną deską ratunku byłoby usiłować wytworzyć sytuację w której Stany Zjednoczone byłyby zmuszone przystąpić do wojny.

Na Węgrzech nie było wojny. Było tylko powstanie w którym armia węgierska jako zorganizowana siła nie odegrała poważniejszej roli. Polityczni przywódcy z premierem Nagy na czele porobili serię katastrofalnych błędów.

W Polsce w razie zbrojnej napaści — kierownictwo polityczne, naród, Kościół Katolicki i armia stanowiłyby jedną całość.

I punkt zasadniczy. Polska nie tylko sąsiaduje z Niemcami ale jest również z obu niemieckimi republikami w sposób różnorodny związana. Wojna polsko-rosyjska wstrząsnęłaby do fundamentów zarówno Niemcami wschodnimi jak i Niemiecką Republiką Federalną. Zbyt wiele jest między nami żywotnych zagadnień i żywotnych sporów by mogło być inaczej.

W Niemczech wschodnich stalinowcy są przy sterze, ale istnieje również opozycja antystalinowska o pewnych konkretnych powiązaniach, która czeka okazji by zainaugurować niemiecki październik.

Lecz nie ma powodu bawić się w spekulacje. Wystarczy jeżeli stwierdzimy, że w razie zbrojnej interwencji sowieckiej leżałoby w polskim interesie rozszerzenie pożaru rewolucji antyrosyjskiej poza granice Odry i Nisy. Z chwilą gdyby Niemcy wschodnie stanęły w ogniu sprawa byłaby przesądzona. Niemcy zachodnie (związane sojuszem ze Stanami Zjednoczonymi) w takiej sytuacji nie mogłyby pozostać neutralne.

W Azji, w Afryce, na bliskim Wschodzie można uniknąć wojny światowej metodą wojowania „per procura”. Po jednej stronie mogą sobie walczyć Amerykanie pod flagą OZN — po drugiej stronie Rosjanie jako tacy czy inni „ochotnicy” — i pozory zostaną uratowane. Ale w Niemczech gdzie stoją niemal obok siebie dywizje sowieckie i amerykańskie — jedna seria z karabinu maszynowego w chwili kryzysu międzynarodowego może zadecydować o losach świata.

Wojna polsko-rosyjska *nie* leży w naszym interesie nawet wówczas gdyby spowodować miała wojnę światową zakończoną pełnym zwycięstwem Ameryki. Wojna światowa *nie* leży w naszym interesie bez względu na jej ostateczny wynik.

W naszym interesie *nie* leży atak ślepej kiszki. Ale jeżeli już ktoś dostanie ataku ślepej kiszki to w jego interesie leży, by istniała możliwość transportu do dobrego szpitala.

Na pewno *nie* leży w naszym interesie interwencja sowiecka. Ale jeżeli już owa interwencja miałaby nastąpić leżałoby w naszym interesie odpowiedzieć na nią wojną w pełnej skali a wojnę polsko-rosyjską rozszerzyć z kolei w konflikt światowy. Nasi przyjaciele na Zachodzie powinni w pełni zdawać sobie z tego sprawę. Nie możemy dać gwarancji mocarstwom Zachodu, że w razie zbrojnej interwencji rosyjskiej Polacy pogrzebią się szybko i sprawnie pod ruinami Warszawy, dbając do ostatniej chwili by spokojny sen ich przyjaciół w Londynie i w Waszyngtonie *nie* został zakłócony.

Do czego zmierzają te rozważania?

Jeden z wybitnych Brytyjczyków w towarzystwie — w którym omawiano projekt wschodnio-europejskiego pasa neutralnego — oświadczył, że gdyby Amerykanie wycofali się z kontynentu *nie* mogłoby spać spokojnie w Londynie.

Ci sami Brytyjczycy (i Amerykanie) śpią spokojnie mimo, że liczą się z ewentualną interwencją sowiecką w Polsce. W każdej rozmowie z Anglikami na temat sytuacji w Polsce pada z ich strony zapytanie: „Jak długo to potrwa?” Brytyjczycy, którzy dobrze nam życzą — boją się interwencji na równi z nami. Natomiast nigdy nie przemknę im nawet przez myśl, że interwencja w Polsce mogłaby się skończyć inaczej niż na Węgrzech. W oczach Brytyjczyka ewentualna interwencja sowiecka w Polsce to jeszcze jedna poza-kurtynowa tragedia ale *nie* ryzyko wojny światowej.

W Waszyngtonie i w Londynie *nie* zdają sobie sprawy, że potencjalne niebezpieczeństwo tkwiące w obecnym układzie w wschodniej Europie polega na tym, że Rosja *nie* panuje w stu

procentach nad tym obszarem. Powstanie na Węgrzech z całą pewnością nie było sowiecką prowokacją. Wybuchło wbrew intencjom i politycznym posunięciom Moskwy. Za rok czy za dwa lata mimo pacyfikatorskiej polityki Rosji w Niemczech wschodnich czy w Polsce może wybuchnąć płomień, który trudno będzie zlokalizować. Innymi słowy w Europie wschodniej może powstać sytuacja, która uruchomi reakcję łańcuchową trzeciej wojny światowej — wbrew zamierzeniom i intencjom tak Moskwy jak i Waszyngtonu.

Jeżeli świat zachodni pragnie pokoju to „pole minowe” leżące w Europie wschodniej należy rozbroić. NATO nie jest żadną odpowiedzią na ten kompleks zagadnień bo opiera się na iluzorycznym założeniu, że wszystkie kable wschodnio-europejskiego „pola minowego” zbiegają się na biurku Bułganina. Dopóki Bułganin nie naciśnie guziczka pokój jest zapewniony. To jest opinia niewątpliwie bardzo pochlebna dla Moskwy, ale nie znajdująca pełnego pokrycia w faktach.

Zamiast chować głowę w piasek należy sprawę postawić jasno i otwarcie. Jeżeli tylko dwa ośrodki mają decydować o wojnie lub pokoju a mianowicie Moskwa i Waszyngton — w takim wypadku należy całą antykomunistyczną propagandę zawiesić na kołku i popierać wszędzie stalinowców.

Podstawą każdej polityki musi być jasna i precyzyjna definicja celu. Jeżeli celem polityki amerykańskiej jest utrzymanie pokoju w oparciu o podział stref wpływów z roku 1945 — w takim wypadku nie leży w interesie amerykańskim zachęcanie narodów wschodnio-europejskich do zmiany ich obecnego statutu. Zachęcanie Polaków czy Węgrów do uniezależnienia się od Rosji zmniejsza automatycznie odpowiedzialność Moskwy za ewentualny wybuch wojny. Albowiem powstanie anty-rosyjskie w tym rejonie Europy może wytworzyć sytuację, której Moskwa nie będzie w możności dostatecznie szybko opanować. Innymi słowy nim Moskwa zdoła ugasić pożar na dachu wschodniej Europy — ów pożar może objąć dach świata.

Powtarzam: jeżeli celem Stanów Zjednoczonych jest utrzymanie pokoju w oparciu o europejski status quo — w takim wypadku trzeba proklamować politykę neo-legitymizmu. Co rosyjskie — to rosyjskie, a co amerykańskie — to amerykańskie. Trzeba tępić wszystkich narodowych komunistów i niepodległościowych marzycieli a narody wschodniej Europy zachęcać do lojalizmu w stosunku do Moskwy. To byłaby polityka koszmar — ale logiczna.

W praktyce Ameryka pragnie pokoju i równocześnie nie akceptuje w pełni obecnego stanu rzeczy w Europie wschodniej. W płaszczyźnie polityki formalnej Stany Zjednoczone uznały fakty dokonane per 1945 r. z pełnym uznaniem ówczesnych prosowieckich rządów włącznie. Równocześnie jednak „Free Europe”, „Voice of America” jak również liczni wybitni politycy amerykańscy przy każdej sposobności zapewniają narody wschodnio-europejskie, że Stany Zjednoczone pragną ich pełnego

wyzwolenia. To jest humanistyczny i szlachetny program, trzeba jednak realistycznie zauważyć, że narody wschodnio-europejskie nie mają żadnych szans wyzwolić się z sowieckiej obręczy na drodze pokojowej. Zmianę obecnego statutu Europy wschodniej mogą w drodze pokojowej wynegocjować tylko i wyłącznie Stany Zjednoczone. Nikt inny.

Byłby już najwyższy czas by politycy amerykańscy zdali sobie sprawę z faktu, że proces demokratyzacji i „własnej drogi do socjalizmu” jest *nie do pogodzenia* z obecnym politycznym układem w Europie środkowo-wschodniej. Jeżeli w krajach tych proces demokratyzacji miałby rozwijać się i postępować nadejście nieuchronnie chwila kiedy trzeba będzie albo ów proces zatrzymać (interwencja !) albo zmienić strukturę bloku wschodniego.

Na przykładzie Węgier Waszyngton winien był się przekonać, że problemu Europy wschodniej nie można rozwiązywać na raty. Węgrom Stany Zjednoczone nie mogły pomóc akcją wojсковą. Mogły im pomóc jedynie akcją dyplomatyczną. Ale w praktyce musiałyby to oznaczać wysunięcie koncepcji rewizji statutu wszystkich państw środkowo-wschodnio-europejskich, a nie tylko Węgier. Byłoby absurdem przypuszczać, że Rosjanie zgodzą się na wolne wybory na Węgrzech, na restaurowanie przedwojennych partii politycznych, na neutralność itd. Gdyby Moskwa przyznała takie przywileje Węgrom w przeciągu dwudziestu czterech godzin wybuchłoby groźne wrzenie w Polsce, w Niemczech wschodnich a może nawet w Czechosłowacji. Sto milionów wschodnich Europejczyków domagałoby się analogicznych wolności jakie przyznano Węgrom.

Amerykanie nie wysunęli żadnej propozycji w sprawie rewizji obecnego układu w Europie wschodniej bo do tej pory nie istnieje żadna polityka amerykańska wschodnio-europejska. Na to by móc wypracować ramy takiej polityki trzeba wpierv wiedzieć jak rozwiązać problem Niemiec. Amerykanie nie mogli pomóc Węgrom bo do tej pory nie wiedzą czym zastąpić dwa Berliny i dwie niemieckie republiki. Nie ma rozwiązania problemu Europy środkowo-wschodniej w oderwaniu od Niemiec i nie ma rozwiązania problemu Niemiec w oderwaniu od Europy środkowo-wschodniej. Cechą charakterystyczną problemu niemieckiego jest fakt, że tak Anglosasom jak i Rosjanom każde ewentualne rozwiązanie tego problemu wydaje się mniej korzystne niż obecne prowizorium.

Od jednego z moich niemieckich kolegów po piórze otrzymałem niedawno list między innymi z następującym pytaniem: „Czy za zgodę Niemiec na utworzenie pasa neutralnego (plan Gaitskella) Polacy byliby skłonni wszcząć dyskusję w sprawie poważniejszej korektury obecnej granicy polsko-niemieckiej?”

W swym liście mój znajomy daje wyraźnie do zrozumienia, że gdyby kampanię propagandową za koncepcją pasa neutralnego można było połączyć z nadzieją korektur granicy na Odrze i Nisie — cały plan w oczach Niemców zyskałby ogromnie na atrakcyjności.

Innymi słowy pewni Niemcy chcieliby poprzez neutralizm zrealizować zarówno zjednoczenie jak i zaspokojenie swych planów rewizjonistycznych.

Pas neutralny dawałby Polsce bardzo znaczne korzyści. Ewakuację wojsk i baz sowieckich, międzynarodową gwarancję granic, stabilizację i możliwość poważnej pomocy gospodarczej a przede wszystkim wydobycie Polski spod przemożnego i jednostronnego wpływu Rosji. Niemniej Polacy nie są gotowi zapłacić każdej ceny za powyższe korzyści. Koncepcja pasa neutralnego jeżeli miałaby oznaczać utratę ziem nad Odrą i Nisą — jest dla nas nie do przyjęcia. Niemcy, tak nasi wrogowie jak i przyjaciele, nie powinni mieć na ten temat żadnych złudzeń.



Celem niniejszego artykułu nie jest analiza projektów wschodnio-europejskiego pasa neutralnego. (W nawiasach dodam że w mojej opinii koncepcja wysunięta przez przywódcę Labour Party, Gaitskella, w jego trzech wykładach wygłoszonych w styczniu br. w Harvard University mogłaby posłużyć za „plan roboczy” do wypracowania szczegółowego projektu). W niniejszym artykule pragnąłem natomiast wykazać, że mylą się ci, którzy utrzymują, iż sprawie pokoju służy najlepiej podtrzymywanie status quo w Europie wschodniej. Ów brak koncepcji sprawia, że stanowisko Ameryki w stosunku do Europy wschodniej jest płataniną sprzeczności. Z jednej strony prowadzi się w wielkiej skali propagandę anty-komunistyczną. Zwalczanie komunizmu w krajach rządzonych przez partie komunistyczne jest działaniem ofensywnym dążącym do zmiany status quo. Równocześnie NATO jest instrumentem czysto defensywnym, którego celem jest utrzymanie status quo.

Za tą sprzecznością kryje się w równej mierze naiwne co niebezpieczne przypuszczenie, że narody wschodnio-europejskie — wykorzystując w danym momencie sprzyjające okoliczności — wyzwolą się własnymi siłami. Podstawowym założeniem powyższej kalkulacji jest przekonanie, że ferment, interwencja czy nawet wojna w wschodniej Europie nie miną słupów granicznych zachodniego świata.

Niestety Europa środkowo-wschodnia jest bardzo osobliwym terenem. Jest to kłębowisko dynamicznych nacjonalizmów, tradycyjnych nienawiści, dziesiątków sporów granicznych i terytorialnych — nie stygnące pobojuwisko ludów. Dwie wojny światowe wylęły się w tym niespokojnym rejonie.

NATO nie jest ani rozwiązaniem tych problemów, ani nie jest tarczą, która mogłaby ochronić przed konsekwencjami nie rozwiązywania tych problemów. Żadna Liga Narodów, OZN czy zespół międzynarodowych komisji nie wypracują nigdy pozytywnego rozwiązania dziesiątków spornych zagadnień Europy środkowo-wschodniej tak, by wszyscy zainteresowani byli zadowoleni. To jest po prostu nierealne.

Wielu moich rodaków oburzy się w tym miejscu — nie mniej uważam, że wywianowanie wszystkich państw środkowo-wschodniej Europy w absolutną i niczym nieskrępowaną suwerenność — na przestrzeni lat kilkunastu doprowadziłoby do wojny światowej. Tym, którzy twierdzą, że historia się nie powtarza ośmielam się przypomnieć, iż na ogół te same przyczyny wywołują te same skutki.

Jeżeli Stanom Zjednoczonym istotnie zależy na utrwaleniu pokoju winny wysunąć konkretny plan pasa neutralnego co byłoby radykalną metodą rozbrojenia wschodnio-europejskiego „pola minowego”. Granice bloku neutralnego oraz granice państw wchodzących w jego skład byłyby pokryte gwarancją wielkich mocarstw. Tym samym granice byłyby nienaruszalne i niezmiennialne. Układy gospodarcze a w przyszłości może i unia celna po dziesięciu czy dwudziestu latach stępiłyby rewizjonistyczne namiętności a poczucie stabilizacji i bezpieczeństwa odebrałoby granicom sąsiedzkim charakter wrogich barykad.

Juliusz MIEROSZEWSKI

List z Berlina

ANTYPOLSKA OFENSYWA STALINIZMU

Dezorientacja i popłoch, cechujące początkową reakcję kierowniczego aparatu partii komunistycznych w państwach sąsiadujących z Polską na przemiany, dokonujące się w ustroju polskiej demokracji ludowej, ustąpiły w międzyczasie bardziej skonsolidowanej i przemyślanej akcji. Począwszy od grudnia ubiegłego roku mamy do czynienia z nową taktyką. Formalnie rzecz biorąc, w akcji tej Politbiuro moskiewskie nie uczestniczy, ale trudno uwierzyć, że partie Niemieckiej Republiki Demokratycznej i Czechosłowacji, które wzięły na siebie główny ciężar organizacyjnej i ideologicznej nagonki przeciwko ugruntowaniu się i dalszemu rozwojowi procesów zapoczątkowanych „polskim październikiem”, działały wyłącznie z własnej inicjatywy. Chodzi tu raczej o z góry ustalony podział ról i o sprytnie wyreżyserowaną taktykę. Oficjalnym czynnikiem polityki rosyjskiej byłoby nie-zręcznie występować z otwartą przyłbicą przeciwko partii i politykom „sojusznika”, z którym zawarto 18 listopada 1956 roku układ zobowiązujący do uznawania polskiego *fait accompli*.

Główny nurt ofensywy neostalinowców, przeciwko kształtującym się nowym procesom w Polsce, przebiega więc na osi Berlin-Praga i kilka odgałę-

zień sięgających do Sofii, Tirany, Kijowa a nawet do Paryża, gdzie kierownictwo kompartii francuskiej, sekunduje jak najaktywniej w zwalczaniu Gomulki. Śledząc dokładnie tę intrygę Moskwy można zaobserwować akcję dwójakiego rodzaju: mianowicie działalność defensywną, obliczoną na wyeliminowanie z wewnętrznego życia NRD i Czechosłowacji wszelkich prądów i wpływów, docierających z sąsiedniej Polski oraz akcję ofensywną, zmierzającą do wywierania nacisku na PZPR i spychania jej stopniowo na pozycję dogmatycznego interpretowania marksizmu-leninizmu, jak to miało miejsce jeszcze stosunkowo niedawno w Polsce i jest nadal kontynuowane w Niemczech wschodnich oraz w Czechosłowacji.

Jeśli chodzi o pierwszy aspekt zagadnienia, to władze komunistycznych Niemiec nie przebijają bynajmniej w środkach i uciekają się często do metod, które w stosunkach pomiędzy państwami „zaprzyjaźnionymi” są dość rzadkie. Najbardziej skutecznym środkiem w tej dziedzinie jest umiejętna polityka udzielania wiz wjazdowych do NRD. Otóż rząd NRD wypowiedział Polsce istniejący dawniej układ, na mocy którego obywatele polscy i wschodnio-niemieccy posiadający tak zwane paszporty służbowe mogli podróżować bez wiz. Obecnie każda podróż do NRD, lub przez terytorium państwa wschodnio-niemieckiego, wymaga bądź wizy wjazdowej bądź transzytowej. Innowacja ta daje się już poważnie odczuwać, gdyż komuniści wschodnio-niemieccy nauczyli się w międzyczasie po „sowiecku” załatwiać wnioski o wizy.

Drugą wypróbowaną metodą jest przymusowe wysiedlanie z terytorium NRD „osób niepożądanych”. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy działająca z niezwykłą sprawnością Bezpieka NRD, to znaczy instytucja o podobnych funkcjach i nazwie jak hitlerowski SD, mianowicie „Staatssicherheitsdienst” odstawiła już niejednego obywatela polskiego do granicy „pokoju i przyjaźni” pod zarzutem przygotowywania „kontrewolucji” w Niemczech Wschodnich. Między innymi ofiarą tych praktyk reżymu wschodnio-niemieckiego był polski historyk, profesor Leśnodorski, który został zaproszony na zjazd naukowy do wschodniego Berlina i miał również wygłosić odczyt dla studentów uniwersytetu w Halle. Do wykładu jednak nie doszło, bo historyka polskiego „poproszono” o natychmiastowe opuszczenia NRD. Interwencje polskiej ambasady przy rządzie Grotewohla we wschodnim Berlinie nie odniosły skutku. Bezpieka jest nadal wszechwładna w Niemczech Wschodnich.

Komuniści z SED odnoszą się równie wrogo do prasy polskiej. Cenzura i Bezpieka polują ze szczególną zawziętością na, i tak zresztą niezbyt licznie napływające, egzemplarze tygodników „Po Prostu”, „Przeglądu Kulturalnego” i „Nowej Kultury”. Przepadają podobno nawet i „Zeszyty teoretyczno-polityczne”, zawierające widać niebezpieczną truciznę ideologiczną.

Ale obok tej akcji defensywnej istnieje drugi tor działalności — ofensywnej. Został on zapoczątkowany nagonką w prasie SED przeciwko polskim próbom rewizji stalinizmu. Okazało się jednak wkrótce, że tego rodzaju aktywność jest nader ryzykownym przedsięwzięciem, tym bardziej, że redakcje pism warszawskich wystąpiły z propozycją prowadzenia jak najszerzej dyskusji ideologicznej. Zaprzestano więc ataków na PZPR w formie wojny prasowej, uzyskując nawet w zamian od Politbiura PZPR zapewnienie, że również w Polsce ustaną wszelkie wypady przeciwko SED.

Wzamian obrano drogę bardziej podstępą. W imię rzekomego „internacjonalizmu proletariackiego” i „międzynarodowej solidarności klasy robotniczej” kierownictwo wschodnio-niemieckiej kompartii SED wywiera pośredni nacisk na politykę władz PZPR. Dzieje się to w przeróżny sposób. Raz apeluje się do Gomułki, aby sekretarz KC PZPR uświadomił sobie szczególnie trudną pozycję SED i nie szedł zbyt daleko w reorganizacji partii i sprawach ideologicznych, bo to wzmacnia reakcję w NRD.

Przy innej okazji apeluje się do Warszawy w sprawie „wspólnego niebezpieczeństwa”, grożącego rzekomo z Niemiec Zachodnich i wymagającego jak najściślejzego współdziałania wschodniego Berlina i Warszawy. NRD wreszcie uzyskała ostatnio w Moskwie znacznie wyższe kredyty niż Polska mimo o wiele korzystniejszej sytuacji gospodarczej. Najzręczniejszym pociągnięciem reżymu wschodnio-niemieckiego było jednak zmontowanie wspólnego frontu z komunistyczną partią Czechosłowacji, zwróconego wyraźnie przeciwko Polsce. W ten sposób Polska Gomułki odgradzona została od krajów niekomunistycznych zwartym pierścieniem.

Na wschodzie taką samą rolę mają wykonywać, według dyrektyw płynących z Moskwy, komuniści ukraińscy, którym polecono przede wszystkim strzec Związku Sowieckiego przed niebezpieczeństwem reperkusji, wynikłych z eksperymentu polskiego. Ponieważ niebezpieczeństwo podobnych procesów politycznych i ustrojowych, przynajmniej w najbliższym czasie, republikom sowieckim nie grozi, z tym większą zacieklnością zwalcza się idee, płynące z Polski w dziedzinach literatury i sztuki. Moskwa nauczona przykładem Polski i Węgier do czego prowadzi popuszczenie cugli w życiu literackim i artystycznym, postanowiła „napuścić” Ukraińców na Polaków, dokładniej mówiąc ukraińskich urzędników partyjnych, kontrolujących rozwój literatury i sztuki. Ważną rolę w tej akcji odgrywa osiadła od lat w Kijowie literatka — Wanda Wasilewska.

BERLIŃCZYK

Kronika angielska

DWA LISTY

Wysoka fala wydarzeń zdezorientowała wielu ludzi zarówno w Warszawie jak i w Londynie. Jeden z moich przyjaciół z którym utrzymuje kontakt od wielu lat pisze z Warszawy:

„...Do października ubiegłego roku i ja również byłem emigrantem. Ale teraz jestem za Gomułką. Byłby czas by i emigracja wyciągnęła wnioski z października. Po jakiej linii? Uważam, że wnioski emigracji winny iść równoległe do linii jaką przyjął kardynał Wyszyński oraz niezależni katolicy.

„.... Nie znam osobiście Kisiela (Stefan Kisielewski z „Tygodnika Powszechnego” — przyp. mój) ale jestem jego pilnym i entuzjastycznym czytelnikiem. Nie wydaje mi się by między wami (mój przyjaciel ma na myśli zespół „Kultury”) a nim istniały jakieś fundamentalne różnice poglądowe. A jednak dzieli was przepaść. On jest wybitnym pisarzem i publicystą krajowym, posłem na Sejm, a wy po dawnemu emigrantami między niebem a ziemią, którzy nie uznają ani rządu polskiego w Warszawie ani w Londynie”.

Nim odpisałem na powyższy list z Warszawy otrzymałem air-letter z Nowego Jorku. Pisał do mnie Amerykanin, z którym łączą mnie wojenne przeżycia. Mój znajomy jest przekonany antykomunistą. Oto wyjątki z jego listu :

„....Pomoc gospodarcza dla titoizmu czy „gomulkiizmu” jest czymś więcej niż polityką „appeasement”. To jest zwyczajna kapitulacja. Z chwilą gdy Stany Zjednoczone zaczną wspomagać „narodowych komunistów” — bezkompromisowi antykomuniści jak ja będą musieli porzucić wszelką nadzieję. Titoizm czy „gomulkiizm” choć w odnośnych krajach de facto niczego nie zmienił — w sposób zastraszający zmiekcza opinię społeczną na Zachodzie. Wolno ale systematycznie zaciera się linia, która dzieliła świat na dwa ideologicznie przeciwstawne obozy. „Titoizm-Gomulkiizm” szerzy w opinii zachodniej chaos pojęć, co przyniesie nam w rezultacie większą katastrofę niż hitleryzm. Jesteśmy bowiem niemal gotowi kosztem fundamentalnych zasad okupić polityczny kompromis. Szykujemy Monachium w skali światowej”.

Cóż odpisać na te dwa listy ?

Zacznijmy od Amerykanina. Kiedyś napisałem mu, że co innego jest być antykomunistą amerykańskim a co innego antykomunistą polskim. Na to odpowiedział mi, że jeżeli wszyscy antykomuniści tak stawialiby sprawę (jak ja) to antykomunizm nie miałby żadnych szans stania się ruchem uniwersalnym.

W mojej opinii antykomunizm nie miał żadnych szans stania się ruchem uniwersalnym i nie jest nim. Antykomunizm nie jest ruchem uniwersalnym z tych samych przyczyn, które ogołociły komunizm z cech uniwersalizmu.

Uniwersalizm komunistyczny musiałby oznaczać podporządkowanie bezwzględne i bezapelacyjne wszystkich partii i państw komunistycznych — Moskwie. Uniwersalizm antykomunizmu musiałby się opierać na równie bezwzględnym podporządkowaniu wszystkich państw antykomunistycznych — Waszyngtonowi.

Niezmiernie łatwo jest mówić o uniwersalizmie komunizmu Rosjanom — i odwrotnie nic nie kosztuje Amerykanina być uniwersalistycznym antykomunistą. Inna jest natomiast sytuacja polskiego antykomunisty, którego kraj znajduje się w orbicie sowieckiej potęgi.

Polak, który deklamuje o uniwersalizmie i nadrzędności celów międzynarodowego antykomunizmu — chcąc być w zgodzie z logiką — musi być gotowy poświęcić nieobeschle tynki Warszawy na ołtarzu międzynarodowej krucjaty.

Od Amerykanina deklamującego o antykomunistycznym uniwersalizmie nikt takich ofiar nie wymaga. Jeżeli amerykański rycerz krzyżowy miałby coś poświęcić to tylko cudze stolice ale nie swoją.

Amerykanin w liście o którym mówimy — określa moją postawę jako „soft” (miękką).

To jest wielkie i podstawowe zagadnienie. Przyjrzyjmy mu się bliżej. Twardzi antykomuniści uważają, że narodowy komunizm jest tylko jedną z masek stalinizmu obliczoną na wprowadzenie w błąd opinii Zachodu. W ich przekonaniu „własna droga do socjalizmu” jest tylko taktyczną nazwą stalinizmu na pewnym określonym etapie. Twardzi uważają, że titoizm czy „gomulkiizm” są tym groźniejszą i zdradliwszą formą komunizmu — ponieważ w przeciwieństwie do stalinizmu nie budzą tak powszechnej odrazy.

Nie podzielam tych poglądów.

To co się w tej chwili dzieje w Polsce jest próbą ratowania socjalizmu z ruin zbankrutowanego stalinizmu. Jest rzeczą zdumiewającą i zastanawiającą, że w kraju w którym tak cynicznie hańbiono i karykaturyzowano hasła socjalistyczne — mimo wszystko socjalizm ludziom nie obrzydł. Wydawać by się mogło, że nikt nigdy nie przeszedł takiej antysocjalistycznej kuracji jak Polacy w Kraju przez ubiegłe dwanaście lat. A jednak z wraku stalinizmu wyciągają własnymi rękami na powierzchnię życia — socjalizm.

I w tym miejscu zbliżamy się do owego kardynalnego błędu w rozumowaniu twardych antykomunistów. Dla nich sprawdzianem antykomunistycznej postawy jest odpowiedź na pytanie: Czy pan X wraz z kąpielą stalinizmu wylewa dziecko socjalizmu — czy nie? Jeżeli wylewa samą kąpiel wzbraniając się wylać równocześnie dziecka — jest miękki. Jeżeli wylewa dziecko wraz z kąpielą jest twardy jak należy.

Ratowanie socjalizmu w Polsce jest procesem bardzo złożonym. Żaden polski mąż stanu od czasów rozbiorów nie miał tak trudnej pozycji jak Gomułka. Jego dramat rozgrywa się na dwóch płaszczyznach. Tow. Wiesław jest starym komunistą. W hierarchii ruchu osiągnął wysokie stanowisko w chwili, gdy komunizm światowy rozdarty jest ideologicznym kryzysem. Ponieważ jest polskim mężem stanu Nr 1 nie ma tej swobody wypowiedzi czy działania jak Togliatti czy przywódca brytyjskiej partii komunistycznej. Moskwa domaga się od niego konserwatyzmu — naród polski rewolucyjnych przemian. Moskwa to nie tylko miasto Lenina — czerwony Watykan, któremu można się poddać, lub przeciwnie zaświecić w oczy żagwią reformacji; dla polskiego komunisty Moskwa to również stolica najpotężniejszego sąsiada naszego kraju. Któż z nas dokładnie wie — w jakiej mierze Gomułka — polski mąż stanu, hamuje Gomułkę — przywódcę komunistycznej reformacji?

Nie ulega również wątpliwości, że Gomułka nie zawaha się nigdy zasłonić polską racją stanu ilekroć napór społeczeństwa zagrażałby tym założeniom komunizmu, które on pragnie zachować.

W sumie należy stwierdzić, że choć szukanie polskiej drogi do socjalizmu jest autentyczne, nie odbywa się w atmosferze całkowitej swobody. I za to nikt nie może winić Gomułki. Ów brak pełnej wolności jest konsekwencją bardzo niedoskonałej suwerenności, która z kolei jest funkcją sytuacji geopolitycznej.

Geografii nikt nie zmienia. Jednak geopolityczna dyspozycja Europy Wschodniej może ulec zmianie. Dyskutowany obecnie projekt pasa neutralnego dość radykalnie zmieniłby geopolityczną sytuację Polski.

I oto dobrnęliśmy do punktu startu polskiej drogi do socjalizmu. Ta droga zaczyna się w punkcie, w którym można będzie powiedzieć: „To jest nasze własne, to zostanie”. Zostanie nawet wówczas kiedy bazy

i wojska sowieckie znikną z Kraju i kiedy zmorę interwencji zastąpi międzynarodowy ład w Europie wschodniej.

Wszystko co trzyma się *wyłącznie* dzięki specyficznej dla obecnego okresu — geopolitycznej racji stanu — nie jest polską drogą do socjalizmu i odpadnie.

Dziś komuniści polscy każdą dyskusję mogą przeciąć oświadczeniem: jesteśmy jedyną partią, która może Polsce zapewnić niepodległość. Polska będzie komunistyczna albo zniknie z mapy Europy. Z okresu kampanii wyborczej do Sejmu pamiętamy ten argument. W styczniu 1957 roku argument powyższy miał pełne pokrycie w faktach. Toteż ogół Polaków głosował zgodnie z powyższą argumentacją.

Ale za rok czy za dwa lata statut Europy wschodniej może ulec zmianie. W tym nowym układzie rząd komunistyczny czy większość komunistyczna w Sejmie nie będą warunkiem *sine qua non* niepodległości. Wówczas nikt nie będzie mógł twierdzić, że wymazując komunizm wymazuje się Polskę z mapy Europy. Komunizm utraci klauzulę geopolitycznego najwyższego uprzywilejowania i oceniany będzie według salda plusów i minusów.

Poważny odłam Polaków na Zachodzie wyznaje pogląd, że komunizm w Kraju jest tylko polityczną mimikrą, kolorem ochronnym świadomie zaakceptowanym. W tym samym dniu, w którym kolor ochronny przestanie być konieczny — naród strząśnie z siebie tak czerwień jak i treść, którą ów kolor symbolizuje.

Komunizmu-stalinizmu w Polsce nikt nie pragnie. Ale nurt socjalistyczny wśród młodzieży, robotników i inteligencji jest szczery i głęboki. Tylko komunistom-stalinistom potrzebna jest geopolityczna racja do uzasadnienia racji ich własnego istnienia. Komuniści narodowi w chwili gdy Polska wydobędzie się spod jednostronnej presji Sowietów — będą musieli szukać sojuszu z socjalistami demokratycznymi. Jest ich w Polsce (i w Partii) dziesiątki tysięcy, lecz dziś nie jest pora by zbyt skrajnie manifestowali swe poglądy. Wielu polskich komunistów dzieli krok od demokratycznego socjalizmu choć nie przyznaliby się do tego w tej chwili. Ci ludzie powołani są do budowania polskiej drogi do socjalizmu, którą zaakceptuje naród nie jako konieczność dyktowaną geopolityką, lecz jako wyraz swobodnie wyrażonego przekonania większości.

Jakie jest nasze stanowisko w stosunku do tych zagadnień?

Jesteśmy opozycją osobliwą i bez analogii. Jak do tej pory jesteśmy solidarni z Gomułką w ocenie elementarnych interesów Polski w obecnej sytuacji. Hołdujemy natomiast dwóm różnym wizjom ustroju Polski.

Mimo, że nie uważamy (jak twierdzi antykomuniści) Gomułki za utajonego agenta Kremla, lecz przeciwnie, uważamy go za polskiego przywódcę i męża stanu — jesteśmy jednak tak w stosunku do niego jak i rządu w Warszawie w stanie nielegalnej opozycji. Każda opozycja zmierzająca do zmiany ustroju jest *ex definitio* nielegalna. W konsekwencji emigracja polityczna nie uznaje nadal rządu PRL a rząd PRL nie uznaje emigracji politycznej za opozycję (legalną).

Należy dodać, że choć jesteśmy przekonanymi zwolennikami zmian ustrojowych — nie jesteśmy kontrewolucjonistami. Jesteśmy przeciwnikami jakiegokolwiek wewnętrznego przewrotu. Podkreślamy ten szczegół ponieważ na ogół grupy opozycyjne dążące do zmian ustrojowych wyznają strategię

siły. Jesteśmy zwolennikami przebudowy — nie przewrotu. Gdyby ktokolwiek dziś z zewnątrz czy z wewnątrz usiłował usunąć Gomułkę — stanęlibyśmy bez wahania po stronie Gomułki.

Opiaramy się na przekonaniu, któremu wielokrotnie dawaliśmy wyraz, że przyczyny uniemożliwiające przebudowę obecnego ustroju są natury zewnętrznej (geopolitycznej) a nie wewnętrznej (społecznej). Z chwilą kiedy jednostronny nacisk z zewnątrz zostanie wydatnie umniejszony — napór sił społecznych spowoduje stopniową ewolucję w kierunku pełnej demokracji. Żaden przewrót ustrojowy w Polsce nie jest potrzebny. Potrzebna jest natomiast zmiana sytuacji na zewnątrz by polska demokracja mogła osiągnąć pełnię rozwoju. I w tym kierunku winna iść polityczna działalność emigracji.

W SPRAWIE OBYWATELSTWA

Nieoczekiwanym choć bezpośrednim rezultatem październikowych przemian w Polsce — jest gwałtowna zwyżka podań o naturalizację. Chcąc odwieźć rodzinę w Kraju trzeba mieć jakiś paszport. Tak zwane Travel Document nie jest ważny w odniesieniu do kraju pochodzenia emigranta. Wprawdzie władze polskie w pewnych wypadkach dawały wizę również i na Travel Document — jest to jednak mała pociecha, ponieważ władze brytyjskie robią trudności powracającym do Anglii posiadaczom „zielonych paszportów”.

Jeżeli nie można jeździć do Polski na Travel Document — trzeba wziąć paszport brytyjski. Innego wyjścia nie ma. W biuletynie „Kraj”, który bije wszystkie rekordy ignorancji — sugerowano swego czasu by Polacy zagraniczni brali masowo paszporty polskie. Fakt, że Polak mieszkający stale w Wielkiej Brytanii w chwili złożenia podania o paszport polski straciłby prawo do pracy w tym kraju — uszedł uwagi „krajowych” znawców problemów emigracyjnych.

Już przed ośmiu laty „Kultura” wysunęła projekt podwójnego obywatelstwa domagając się od rządu polskiego w Londynie wydania odnośnego dekretu. Rząd polski in exile dekretu takiego nie wydał — udzielał natomiast hojnie zezwoleń na przyjmowanie obcego obywatelstwa.

Rząd PRL stoi na stanowisku, że Polak naturalizujący się w Wielkiej Brytanii nie traci automatycznie polskiego obywatelstwa. Traci je dopiero wówczas gdy uzyska od władz polskich tak zwane zwolnienie z obywatelstwa polskiego. Wydawać by się więc mogło, że rząd PRL stanął na słusznym stanowisku i zaakceptował tezę o podwójnym obywatelstwie.

Niestety praktyka nie potwierdza tych optymistycznych przypuszczeń. W gruncie rzeczy rząd PRL nie uznaje zasady podwójnego obywatelstwa i wskutek tego obywatelstwo brytyjskie uzyskane bez uprzedniego zwolnienia z polskiego obywatelstwa — uważa za nielegalne z punktu widzenia prawa polskiego.

Ilustracją powyższego stanu rzeczy była sprawa p. Leona Augustyniaka, któremu po przekroczeniu granicy polskiej odebrano paszport brytyjski z prawidłowo wystawioną wiząorską. P. Augustyniak nie dopełnił bowiem formalności zwolnienia się z obywatelstwa polskiego.

Trudno powyższą politykę określić jako rozsądną i celową.

Polaka, który po siedemnastu latach na obczyźnie bierze paszport brytyjski by odwiedzić rodzinę w Kraju zmusza się do rezygnacji z polskiego

obywatelstwa. Po co i w jakim celu? By go odciąć od pnia i ułatwić mu całkowite wynarodowienie?

Powrót do Kraju dla każdego emigranta pozostaje do śmierci sprawą otwartą. Dopiero w pokoleniu urodzonym na obczyźnie sprawa ta przestaje być problemem. Nawet ci, których sytuacja życiowa niemal wyklucza możliwość ponownego startu — nie wyzbywają się nigdy bez reszty promyczka nadziei, że kiedyś wrócą. Z punktu widzenia ogólnonarodowej polityki byłoby rzeczą bardzo istotną pozostawić tym setkom tysięcy Polaków zagranicznych przekonanie, że mimo przyjęcia obcego paszportu w zrozumieniu rodzimego prawa są nadal polskimi obywatelami, że drzwi nie zatrzasnęły się za nimi, że każdej chwili mogą wrócić i osiąść w Kraju jako pełnoprawni polscy obywatele.

Apelujemy do władz polskich by zmieniły w interesie narodowym nie tyle przepisy, co wykładnię odnośnych postanowień prawnych. By od Polaków, którzy przyjęli obce paszporty nie wymagano przy wjeździe do Polski dokumentu stwierdzającego zwolnienia z polskiego obywatelstwa.

Jest doprawdy rzeczą nie do uwierzenia, że trzeba apelować do władz w Warszawie, by Polaków naturalizowanych zagranicą nie karano za to, że chcą utrzymywać kontakt z Krajem. Bo de facto cały problem do tego się sprowadza. Polak, który przyjął obywatelstwo brytyjskie jeżeli *zrezygnuje* z odwiedzania Kraju — nie musi się zwalniać z polskiego obywatelstwa a tym samym będąc obywatelem brytyjskim nie traci obywatelstwa polskiego. Innymi słowy z woli rządu PRL tracą obywatelstwo polskie tylko ci Polacy, którzy pragną utrzymywać osobisty kontakt z Krajem. Zaiste dziwna logika!

Na marginesie sprawy p. Augustyniaka należy poruszyć jeszcze jedno zagadnienie. Według doniesień prasy emigracyjnej władze polskie mają rzekomo do niego pretensje w związku z faktem, że jako sierżant w armii brytyjskiej p. Augustyniak był tłumaczem w brytyjskim wywiadzie wojskowym.

Władze każdego państwa mają prawo odmówić wizy wjazdowej bez podawania powodów. Jeżeli według oceny władz krajowych p. Augustyniak jest osobą niepożądaną — trzeba było odmówić mu wizy wjazdowej. Człowiek myślący zachodnimi kategoriami uważa, że gdy otrzymał wizę wjazdową do danego państwa — w stosunku do jego osoby nie ma żadnych zastrzeżeń czy podejrzeń. P. Augustyniak w ten sposób wnioskował i bardzo się zawiódł, gdyż w chwili gdy piszę te słowa siedzi w Polsce, pisze rozpaczliwe listy do Gomulki, alarmuje prasę światową i nie może wrócić do Anglii.

Wartość propagandową tej całej sprawy jest więcej niż wątpliwy.

HANNA MALEWSKA W LONDYNIE

Jak nasi Czytelnicy pamiętają dwudziestu-kilku londyńskich członków Związku Pisarzy uchwaliło znaną anty-krajową uchwałę. Chcąc ratować honor emigracji „Kultura” rozpisała ankietę wśród pisarzy emigracyjnych i zdobyła na 35 wypowiedzi 32 potępiające kategorycznie tę uchwałę. Niemniej Związek Pisarzy nie wycofał się z uchwały a inicjatorzy tego aktu trwają w zarządzie na posterunku.

Tak wyglądała sytuacja, gdy nad Tamizą wylądowała katolicka pisarka z Kraju, p. Hanna Malewska.

W nawiasach należy dodać, że — jak łatwo się domyślić — owa nie-szczęсна uchwała została dokumentnie potępiona przez prasę krajową. Między innymi ośmieszył ją „Tygodnik Powszechny” piórem swego znakomitego felietonisty Kisiela.

P. Hanna Malewska jest członkiem zespołu redakcyjnego tegoż „Tygodnika Powszechnego”. Nie przeszkodziło to jej jednak tu w Londynie być gościem na herbatce w Domu Pisarza, gdzie gospodarzami byli inicjatorzy owej anty-krajowej uchwały. Nie przeszkodziło to jej również wystąpić publicznie z wieczorem autorskim pod oficjalną egidą tegoż Związku Pisarzy.

32 pisarzy emigracyjnych wypowiedziało się przeciwko uchwale. Osobiście posunąłem się jeszcze o krok dalej i na znak protestu wystąpiłem z rzeczzonego Związku. Jeżeli jednak pewni pisarze krajowi solidaryzują się z tą uchwałą — względnie nie uważają jej za przeszkodę w „fraternizowaniu” się z inicjatorami tej uchwały — w takim wypadku owych 32 pisarzy emigracyjnych musi sobie zadać pytanie: *po cośmy protestowali?* Widocznie w Kraju są pisarze, którzy przyznają rację nie nam, tylko pp. Terleckiemu i Kisielewskiemu.

To nie są drobiazgi — przynajmniej dla nas — i dlatego byłibyśmy radzi usłyszeć co myślą w tej sprawie inni członkowie zespołu redakcyjnego „Tygodnika Powszechnego”.

LONDYŃCZYK

P.S. — W telefonicznej rozmowie starając się odwieść panią Malewską od występowania pod firmą Związku Pisarzy — oświadczyłem, że będzie to nielojalnością z jej strony w stosunku do tych pisarzy emigracyjnych, którzy zaprotestowali przeciw uchwale. Ostrzegłem ją również otwarcie, że jeżeli nie zmieni swej decyzji poruszę tę sprawę na łamach „Kultury”.

P. Hanna Malewska była więc poinformowana i ostrzeżona.

L.

Erenburg i poeci żydowscy

Bernard Turner był korespondentem „Daily Heralda” i izraelskiego „Davar” w Moskwie w roku 1943, kiedy zaaresztowano go i skazano na dziesięć lat ciężkich robót. Nowojorski „New Leader” z 8 października 1956 zawiera jego wspomnienia z tego okresu.

W roku 1949, przeniesiono Turnera z łagru Zajars, nad rzeką Angara, do innego obozu koło Bracka. Tam, któregoś dnia, rozpoznał on wśród katorżników starego Żyda... Jego wyczerpanie fizyczne było tak daleko posunięte, że nie był już zdolny do pracy i zajmował się sprzątaniami baraków.

Był to wielki sowiecki pisarz żydowski, Dawid Bergelson. Koło niego

siedział człowiek wynędzniały i drżący: znany poeta „jidisz” i pułkownik czerwonej armii Ilek Feffer.

Feffer i Bergelson opowiedzieli Turnerowi o narastaniu antysemityzmu w Z.S.S.R. Pierwszym symptomem było ustanowienie „numerus clausus” w instytucie kształcącym sowieckich dyplomatów. Nie wchodziły w grę zasady ściśle rasowe, ale wygląd zewnętrzny: usunięto ludzi o zbyt wyraźnym typie żydowskim. Potem nastąpiło zaaresztowanie wszystkich Żydów, obcych obywateli, zamieszkałych w Z.S.S.R., potem członków Żydowskiego Komitetu Antyfaszystów; wreszcie prześladowanie ogarnęło wszystkich Żydów, zwłaszcza intelektualistów. Oskarżono ich o nacjonalizm żydowski i sjonizm.

Jednym z głównych świadków oskarżenia przeciw pisarzom i intelektualistom żydowskim był Erenburg.

Feffer i Bergelson oświadczyli Turnerowi, że Erenburg dopomógł w aresztowaniu kilku swoich krewnych i zadenuncjował swego bliskiego przyjaciela Łozowskiego, wiceministra spraw zagranicznych.

Kiedy po śmierci Stalina Turnera zwolniono, jego towarzysze niewoli powierzyli mu następujące posłannictwo: „Jeśli kiedy spotkasz Erenburga” — powiedzieli mu — „poproś go w naszym imieniu aby zaniósł kwiaty na groby niewinnych w których morderstwie wziął udział”.

Turner wywiązał się z tego zadania: „W sześć lat później” — pisze — „w październiku 1955 miałem sposobność i satysfakcję wypełnienia ostatniej woli Bergelsona i Feffera. Było to na lotnisku w Wiedniu. W obecności prezesa związku sowieckich pisarzy Tychonowa, powtórzyłem dosłownie Erenburgowi polecenie jego zmarłych kolegów. Erenburg zrobił się biały jak ściana, zaczął drżeć na całym ciele, wystąpiła mu dosłownie piana na usta. Jak ogłuszony, zataczając się, uciekł ode mnie...”

(a. n.)

LEKARSTWA

MATERIAŁY

ŻYWNOŚĆ

NAJSZYBCIEJ, NAJKORZYSTNIEJ, NAJTANIEJ

wyślesz przez

P. C. STORES

STEFAN BREWKA

18, Queens Gate Terrace, London S.W.7, England

Cennik nasz, dostosowany do przepisów celnych w Polsce

jest naszą najlepszą reklamą.

Trudne początki samorządu robotniczego

Jaką chcielibyśmy widzieć Polskę? Do jakiej chcielibyśmy wrócić? — to pytanie, które zadaje sobie z pewnością każdy prawie uchodźca w Wielkiej Brytanii, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, czy innym kraju tymczasowego osiedlenia.

W poszukiwaniu odpowiedzi na to pytanie, redakcja „Kultury” przeprowadziła dwa lata temu ankietę na temat: „Które z przemian w Polsce są odwracalne?”.

Ankieta wzbudziła duże zainteresowanie, a choć trudno, oczywiście uznać ją za wyraz opinii całej emigracji, pozwala ona jednak zorientować się w nastrojach i stosunku uchodźców do dzisiejszej polskiej rzeczywistości.

Wszyscy uczestnicy ankiety wypowiedzieli się zdecydowanie, że stworzenie silnego przemysłu i przekształcenie Polski z kraju rolniczego w przemysłowo-rolniczy jest pożyteczne i nieodwracalne. Przeważająca większość odpowiedzi uznała za słuszne i celowe pozostawienie w rękach państwa, względnie innych ciał publicznych najważniejszych — z punktu widzenia gospodarstwa społecznego — gałęzi przemysłu, określanych przez poszczególnych uczestników ankiety, jako przemysł ciężki, kluczowy itp., a wśród nich pewna, niewielka, część wypowiedziała się nawet za upaństwowieniem całego przemysłu. Tylko mała grupka chciałaby powrotu do całkowitej jego reprivatyzacji.

Również przedwojenny stan rzeczy w dziedzinie społecznej nie znalazł obrońców wśród uczestników ankiety. Większość uznała, że robotnik i chłop nie mieli równego innym warstwom społecznym startu życiowego i że dziś sytuacja zmieniła się znacznie na lepsze. A jeśli nawet rzeczywista możliwość awansu

społecznego nie idzie tak daleko, jak rzucone hasła, to hasła te przesiąkły do świadomości szerokich mas, a co najważniejsza do świadomości młodzieży, która wysuwa się dziś na czoło rewolucyjnego ruchu, pragnącego budować nową polską gospodarkę.

Wydało mi się celowe przypomnienie tej ankiety, z której wynika zrozumienie przez emigrację rewolucji poglądów, jaka nastąpiła dziś w kraju.

Nie ulega chyba wątpliwości zarówno dla nas tu, na uchodźstwie, jak i dla wszystkich w kraju, że niezmiernie ważne jest poczucie wzajemnego zrozumienia i szukania wspólnych dróg budowy przyszłego ustroju społeczno-gospodarczego po odzyskaniu pełnej wolności w Polsce, że ważne jest to szczególnie dziś, kiedy po „dniach październikowych” kraj próbuje szukać „własnej drogi do socjalizmu”.

Jedną z takich prób tworzenia nowego modelu społeczno-gospodarczego jest powstawanie dziś w Polsce samorządu robotniczego w poszczególnych przedsiębiorstwach.

Przez dwanaście lat wmawiano robotnikom że są oni współgospodarzami zakładów pracy i powinni czuć się odpowiedzialni za ich produkcję. Na tej podstawie żądano od nich coraz większej wydajności pracy, nie dając technicznych możliwości jej podniesienia, żądano od nich pracy po kilkanaście godzin na dobę, w dzień i w nocy, w niedziele i święta. Jako rzekomi „współgospodarze” przedsiębiorstw nie mieli oni jednak żadnego wpływu nie tylko na organizację produkcji, ale i na warunki pracy i wysokość płac, których wartość realna spadała z roku na rok.

A jednocześnie zbiurokratyzowanie i całkowite scentralizowanie produkcji przemysłowej, której plan i kierunek rozwoju nie był zresztą w rękach polskich, doprowadziło do szeregu nonsensów i zupełnego chaosu w życiu gospodarczym oraz do zabicia wszelkiej zdrowej i twórczej inicjatywy.

Aż wreszcie niezadowolenie i rozpacz, tłumione latami wśród szerokich mas, znalazło ujście najpierw w Poznaniu, a potem — w październiku — już w całym kraju.

Powstało samorzutnie oddolne hasło naprawy, podjęcia przez robotników inicjatywy zmiany gospodarki, której podstawowym elementem stałby się samorząd robotniczy. Samorząd ten, w formie rad robotniczych, wybieranych przez załogi, pozostawiając fachowcom kierownictwo procesami produkcji, oddałby w ręce robotników zarządzanie zakładami pracy i zagwarantowałby wpływ załóg robotniczych na organizację przedsiębiorstw i warunki pracy.

Inicjatorzy tego ruchu spośród załóg robotniczych wierzyli, że poprzez samorząd robotniczy uporają się z całym szeregiem od lat ich gnębiących bolączek; że w drodze zmiany centralistycznego zarządzania przemysłem przez ministerstwa i centralne zarządy uzyskają możność podejmowania samodzielnych decyzji i przejawiania inicjatywy w prowadzeniu przedsiębiorstw; że uregulują sprawę zaopatrzenia w surowce i materiały i osiągną

w ten sposób równomierny rozkład pracy w ciągu każdego miesiąca i całego roku; że potrafią produkować nie tylko bez strat, ale z odpowiednim zyskiem, a załoga — mając udział w zysku — będzie zainteresowana w jak najwydatniejszej i jak najlepszej pracy i poprawi swoją, tak ciężką obecnie, sytuację materialną.

„Robotnicy coraz śmielej mówią, że większość tych „obiektywnych” trudności wynika z nieumiejętnej gospodarki naszych instancji, że są one często wynikiem bezmyślnej, awanturniczej polityki tak zwanych napiętych planów z jednej strony, a braku mądrej kooperacji i sprawdzenia możliwości ich realizacji z drugiej” („Przegląd Związkowy” 11/56).

Ale zmiana obecnego systemu, wyjście z chaosu, charakteryzującego dotychczasową produkcję przemysłową nie jest tak łatwe.

Kilka konkretnych przykładów najlepiej zilustruje kolosalne trudności i przeszkody, z jakimi walczyć ma tworzący się samorząd robotniczy.

Przykład pierwszy z Warszawskiej Fabryki Motocykli, jednej z pierwszych, obok Żerania, inicjatorce rad robotniczych.

Do największych bolączek tej fabryki należy sprawa zaopatrzenia w materiały i tak zwana kooperacja. Są to zresztą bolączki całego przemysłu maszynowego.

Sytuacja w W.F.M. („Głos Pracy” z 19. XI. 1956) wygląda normalnie w ten sposób, że na pierwszą połowę każdego miesiąca przypada 1/5 produkcji, a na drugą — 4/5. Wynika to z niedotrzymywania przez Ministerstwo Przemysłu Maszynowego terminów dostaw materiałów. A choć Ministerstwo obiecuje poprawę sytuacji, perspektywy na przyszłość nie są zbyt obiecujące.

Drugą przyczyną nierównomiernego przebiegu produkcji jest zła kooperacja, to jest nieterminowe i niepełne otrzymywanie części do motocykli od różnych dostawców. I tu sprawa na przyszłość nie przedstawia się zbyt różowo. Wprawdzie fabryka otrzymała zgodę Ministerstwa na samodzielne zawieranie umów z przemysłem państwowym, spółdzielczym i z rzemiosłem. Jeśli chodzi jednak o zakłady państwowe, to będą to z konieczności ci sami dawni, często „nawalający” kooperanci, którzy mają zresztą identyczne trudności materiałowe. Toteż W.F.M. pokłada główną nadzieję w kooperacji ze spółdzielczością, a szczególnie z rzemiosłem. Rzemiosło chętnie podejmie się wykonywania i dostarczania szeregu drobnych części, z którymi fabryka ma najwięcej trudności. Ale przemysł państwowy nie ma dotychczas prawa zawierania bezpośrednich umów z rzemiosłem. Można by ten zakaz obejść tylko w ten sposób, że rzemieślnik będzie sprzedawał wykonane części spółdzielni, a ta — po doliczeniu odpowiedniego procentu — „odsprzeda” je fabryce. Ale po pierwsze to nie jest dozwolone, a po drugie podnosi koszty produkcji, a przecież samorząd robotniczy dąży przede wszystkim do ich zmniejszenia. Kto wie jednak, czy fabryka nie będzie musiała uciekać się do takich praktyk.

W tej samej fabryce możemy znaleźć również przykład niesłuchanego marnotrawstwa produkcji, wynikającego z centralistycznego administrowania przemysłem :

„Od szeregu miesięcy zakład nasz produkuje nie motocykle, ale tak zwane w języku naszej załogi „łebki”. Takich „łebków” miesięcznie stoi u nas na placu 700-800 sztuk i niszcze na deszczu i słońcu. Dlaczego stoją ? — padnie pytanie. Odpowiadamy : stoją dzięki temu, że w porę nie wstrzymaliśmy potwornego wzrostu maszyny biurokratycznej. Stoją dlatego, że maszyna ta w pogoni za „pracą” została doprowadzona do takiego zwyrodnienia, że problemem sygnału do motocykla musi zajmować się minister, a w najgorszym wypadku wiceminister. Ale i to bez większych rezultatów, bo, o zgrozo, sygnał nie jest czuły nawet na nerwy ministra i nie chce spadać z nieba”. („Przegląd Związkowy” 11/56).

Przykład drugi z przemysłu włókienniczego, który ma nie mniejsze trudności, związane z nadmierną centralizacją i wielką ilością nadbudówek. W przemyśle tym :

„Decentralizacja (bo przecież z tym związane jest tworzenie samorządów) będzie postępowała z wielkimi trudnościami i oporami. Łatwiej jest pozbyć się przesadnej „opieki” jednego centralnego zarządu, niż odrzucić „pomoc” kilku instytucji. W tej chwili przecież każdy zakład włókienniczy, chcąc nie chcąc, musi pozostawać pod czujnym okiem swojego centralnego zarządu (czasem nie jednego) i ministerstwa, musi liczyć się z kilkunastoma niejednokrotnie kooperującymi z nim (sprawa nabiera powagi, jeśli są to dostawcy) zakładami, które należą nieraz do różnych centralnych zarządów, wiele do powiedzenia w sprawach zakładu ma C.Z. Hurtu Tekstylnego, a nawet poszczególne placówki Centrali Tekstylnej” („Głos Pracy” 21. XI. 56).

I wreszcie przykład trzeci z górnictwa węglowego. Wydawałoby się, że najdogodniejsze warunki dla nowych metod organizacji produkcji, a więc i wprowadzenia somorządów robotniczych, ma przemysł surowcowy i takie zakłady, które zaczynają i kończą całą produkcję u siebie, w przeciwieństwie do zakładów szeroko kooperujących. A jednak w przemyśle węglowym nie było zupełnie oddolnej inicjatywy tworzenia samorządu robotniczego. Wynika to z szeregu błędów, wypaczeń i nonsensów jakie popełniono w tym przemyśle i które do dziś dnia nie zostały zmienione.

Jednym z takich nonsensów jest sprawa ceny węgla.

„Wszyscy wiedzą, że węgiel jest najbardziej opłacalnym towarem eksportowym, że na rynkach zagranicznych otrzymujemy za tonę węgla 20 i więcej dolarów. A jednocześnie kopalnie węgla są z reguły deficytowe. Cena za tonę węgla, którą otrzymuje kopalnia, jest bowiem ustalona poniżej kosztów wydobycia. Wartość, cena światowa — to kategorie z którymi „wielcy wtajemniczeni” od ustalania cen absolutnie się nie liczą, ustalając irracjonalną cenę według tylko sobie znanych kryteriów.

Jakże trudno w tej sytuacji, gdy kopalnie są deficytowe, mówić o samodzielności, co ściśle wiąże się z rentownością i o samorządzie, co związane jest z nowymi bodźcami materialnego zainteresowania. Jak wytlumaczyć tę sztuczną deficytowość załódze ? Jak postawić sprawę ekonomicz-

ności, kiedy poważni dyrektorzy kopalń stwierdzają, że nie wiedzą, jaka jest rzeczywista wartość towarowa ich produkcji? Sprawę ekonomiczności kopalń postawiono na głowie, a nie jest to pozycja ułatwiająca myślenie" („Głos Pracy", 22. 11. 1956).

Druga bolączka górnictwa to sprawa rocznego planu wydobywania. Określa go dla każdej kopalni narodowy plan gospodarczy (N.P.G.). Ale to jest tylko plan minimalny. Ministerstwo i zjednoczenia węglowe wyznaczają kopalniom wyższy plan techniczno-produkcyjno-finansowy (T.P.F.), a ponadto każda wydajniejsza kopalnia obciążona jest w ciągu roku dodatkowymi zadaniami dla pokrycia deficytu wydobywania całego górnictwa. Nawet więc te kopalnie, które potrafią zorganizować pracę rytmicznie i mogłyby ją wykonać w normalnym czasie pracy, zmuszone są — na skutek tych dodatkowych i nieprzewidzianych zadań — stosować pracę w godzinach nadliczbowych i w niedziele.

„Te dodatkowe zadania są zmorą załóg kopalnianych. I dlatego, kiedy się mówi o samorządach, pada ze strony załóg pierwsze pytanie: „A jak będzie teraz z planami? Kto je będzie ustalał — samorząd, po gospodarsku, stosownie do możliwości kopalni, czy ministerstwo i zjednoczenie, obciążając ponad miarę lepsze kopalnie, które upadają nieraz pod ciężarem zadań, aby nadrobić niedobory innych załóg?" („Głos Pracy", 19. 12. 1956).

Tych kilka przykładów z różnych gałęzi produkcji wystarczy chyba dla scharakteryzowania niezmiennie trudnych problemów, związanych z wprowadzaniem samorządów robotniczych i przedstawianiem się na nowe sposoby zarządzania przedsiębiorstwami.

Powstaje więc pytanie czy można wprowadzić samorząd robotniczy od razu, czy też należy wpierw usunąć przynajmniej najbardziej zasadnicze przeszkody jego przyszłej działalności.

Już na pierwszej naradzie w sprawie samorządów robotniczych, jaka odbyła się w końcu września ubiegłego roku w Urzędzie Rady Ministrów, ustalono, że nie należy czekać z przeprowadzaniem eksperymentów, a raczej dążyć do szybkiego usuwania przeszkód, krępujących obecnie przedsiębiorstwa. Wprowadzone już eksperymenty, poddane wnikliwej analizie fachowców, mogą dać dopiero podstawę do dalszych, szerszych rozwiązań. Dla pomocy tworzącym się samorządom powołano Komisję Partyjno-Rządową dla Spraw Eksperymentów Robotniczych.

Komisja ta, w pracach której brało udział szereg wybitnych fachowców-ekonomistów, przygotowała trzy akty prawne, na których opierać się ma działalność samorządów robotniczych. Są to uchwalone przez sejm 19 listopada 1956 roku dwie ustawy: o radach robotniczych i o funduszu zakładowym, oraz uchwała rady ministrów o rozszerzeniu uprawnień państwowych przedsiębiorstw przemysłowych.

W toku prac Komisja uznała za wskazane podzielić przedsiębiorstwa, w których tworzą się samorządy robotnicze na dwa

rodzaje: eksperymentujące i pracujące na starych zasadach. Eksperymentujące to te, w których następują istotne zmiany w gospodarce i sposobie zarządzania przedsiębiorstwem. Mogą to być zmiany w dziedzinie rentowności, cen, planowania produkcji, systemu płac itp. Eksperyment ekonomiczny może być wprowadzony dopiero po zatwierdzeniu przez prezesa Rady Ministrów.

Natomiast te samorządy robotnicze, które nie wprowadzają zmian w organizacji produkcji nie wymagają takiego zatwierdzenia.

Według opinii Komisji istnieją wszelkie warunki do powszechnego wprowadzania w zakładach produkcyjnych samorządów robotniczych, niezależnie od tego, czy są to zakłady „eksperymentujące”, czy też pracujące na starych zasadach.

Komentując opinię tę „Głos Pracy” (18. 10. 1956) wyraża obawę, że przy obecnym scentralizowanym systemie gospodarki, w zakładach, które nie otrzymają większej samodzielności gospodarczej — a zakładów takich będzie bardzo dużo — samorządy niewiele będą miały do powiedzenia, a działalność ich mogłaby stać się fikcją. „Taki stan rzeczy groziłby zaprzepaszczeniem całej idei samorządów”.

Nie podobna nie przyznać racji tym wątpliwościom, tym bardziej, że powszechne wprowadzanie samorządów robotniczych kryje w sobie inne jeszcze niebezpieczeństwo: przerodzenia się pięknej i zdrowej idei w jeszcze jedną „akcję”, przeprowadzaną z góry, biurokratycznie, „na rozkaz”.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że hasło samorządu robotniczego powstało w Polsce samorzutnie. Hasło rzucone przez Żerań: „Fabryka — robotnikom”, idea zrodzona w czasie długich i żarliwych dyskusji wśród robotników tego zakładu, wyszła rzeczywiście od dołu i stała się zaczynem „dni październikowych”.

W Żeraniu od dawna już nurtowała załogę sprawa uporządkowania gospodarki w fabryce, dyskutowano ją na wielu zebraniach i naradach; dyskusje przenoszono następnie na teren ministerstwa, kooperujących zakładów, aż wreszcie powstała myśl powołania jakiegoś kolektywu, który realizowałby wysunięte przez załogę propozycje. I w ten właśnie sposób, w poszukiwaniu dróg konkretnej naprawy organizacji przedsiębiorstwa, zrodziła się idea samorządu robotniczego. Podobna oddolna inicjatywa powstawała i w innych zakładach pracy.

Ale jednocześnie z całego szeregu przykładów, podawanych w prasie, wynika niezbiecie, że tę samorzutną inicjatywę robotniczą próbuje się realizować biurokratycznymi metodami narzucania rad robotniczych z góry, w rywalizacji, który zakład pierwszy, często nawet bez próby zainteresowania załóg robotniczych tym niezmiernie skomplikowanym zagadnieniem. Podczas gdy Żerań, po kilku miesiącach dyskusji na temat samorządu, wybrał radę robotniczą dopiero 5 grudnia, w innych za-

kładach wybory do samorządu miały stanowić początek całej akcji.

Oto fragment charakterystycznej korespondencji, jak przeprowadzono wybory do rady robotniczej w „Celwiskozie”, fabryce znanej zresztą szeroko z najgorszych warunków pracy.

„Niewiele robotników ze zmiany A poszło w tym dniu prosto z pracy do domu. Reszta udała się na zebranie. W kilka minut po godzinie 22-ej nadszedł przewodniczący oddziałowej rady zakładowej, a za nim kierownik zakładu „B”... „Co do uchwał VIII plenum” — powiedział — „to nie będę się rozwodził na temat dalszej demokratyzacji naszego zakładu, bo wiem, że wam się spać chce. Dlatego wybierzemy tylko delegatów czy kandydatów do rady robotniczej. Wobec tego przystępujemy do wyborów, a bliższe informacje będą podane w późniejszym terminie. Delegatów wybrać mamy pięciu. Proszę podawać kandydatury, najpierw z „kwaśnej sali”. Podano dwóch kandydatów. Obaj byli nieobecni. Ale kierownik zagwarantował, że to dobrzy mistrzowie — mogą być. Kto „za”? — rękę do góry. Oczywiście rąk mało się podniosło, bo nie wszyscy ich znali, a w dodatku nieobecni... Kto „przeciw”? Przeciw nikt nie był, bo może ci kandydaci byli i zdolni do pełnienia tej funkcji... Napisz pan: „jednogłośnie” — powiedział ktoś do protokolanta. Tak oto wybraliśmy delegatów do samorządu robotniczego. Wielu z nas nie wiele wiedziało i nie wie do dziś, na czym rola tego samorządu będzie polegała, jaką funkcję spełniać w nim będą delegaci”... („Głos Pracy”, 16. 11. 1956).

Podobnych przykładów można by zacytować więcej. Jak to Centralny Zarząd Przemysłu Welnianego wyznaczył z góry trzy zakłady w Łodzi, które mają próbować eksperymentu.

Tak więc w Zakładach im. Barlickiego do komisji, powołanej do opracowania statutu rady robotniczej nie wszedł nikt z robotników, załoga nie była wcale pytana, co myśli o tym projekcie, a sama komisja, której wyznaczono bardzo krótki termin przygotowania projektu, już po jego ostatecznym ustaleniu, „nie wiedziała, czym w istocie owa rada robotnicza będzie się zajmowała i jakie powinny być wyniki jej działalności”. („Głos Pracy”, 21. 11. 1956).

Również w górnictwie węglowym inicjatywa tworzenia samorządów robotniczych wyszła z góry od ministerstwa i spotkała się w wielu wypadkach z nieufnością załóg górniczych.

A chociaż samorządy robotnicze powstają już w szeregu kopalń, „załogi nie są bynajmniej pełne ufności, że po latach bałaganu i krzywd, nowa forma zarządzania zagwarantuje sprawiedliwość, uczciwość i postęp”. („Głos Pracy”, 19. 11. 1956).

Z chwilą rzucenia hasła samorządów robotniczych powstał od razu problem, kto właściwie ma reprezentować załogę robotniczą w tych sprawach. Czy ma to być od lat już istniejąca we wszystkich zakładach pracy rada zakładowa — najniższa komórka związków zawodowych — czy też należy powołać nowy organ i stworzyć w ten sposób dwie reprezentacje robotników w jednym przedsiębiorstwie.

W okresie przedpaździernikowym, w okresie kiedy związki zawodowe z roku na rok traciły resztki wpływów na robotników,

próbowano ratować ich pozycję, przekazując im coraz to nowe funkcje administracji państwowej: w zakresie ubezpieczeń społecznych, w dziedzinie nadzoru nad warunkami pracy, w charakterze instancji odwoławczej itp.

Jednym z dalszych przejawów tej samej tendencji był uchwalony przez VIII Plenum C.R.Z.Z. (w sierpniu ub. roku) projekt ustawy o rozszerzeniu uprawnień rad zakładowych, które miałyby uzyskać bezpośredni wpływ na sprawy produkcji i gospodarkę wewnątrz przedsiębiorstwa.

W momencie jednak, kiedy projekt ten został wysunięty, dojrzał już w środowisku robotniczym bunt przeciwko zbiurokratyzowanym związkom zawodowym, przeciwko ich działalności, nie mającej nic wspólnego z prawdziwą reprezentacją robotników i z obroną ich interesów. Rozwijająca się żywiłowo inicjatywa tworzenia samorządu robotniczego poszła całkowicie poza organizacjami związkowymi. Domagano się stanowczo powołania innego, nowego przedstawicielstwa załóg robotniczych dla spraw zarządzania produkcją, domagano się wyboru rad robotniczych.

W gorącej dyskusji, jaka rozwinęła się początkowo w tej sprawie, padały głosy niezmiernie ostrej krytyki projektu C.R.Z.Z.

Jednym z najostrzejszych bodaj głosów w tej dyskusji był artykuł J. Urbana: „Magna carta libertatum” („Po prostu”, 30. 9. 1956). Wypowiadając się kategorycznie przeciw rozszerzeniu uprawnień rad zakładowych na sprawy produkcyjne w przedsiębiorstwie, daje on taką charakterystykę tych rad:

„Pod pojęciem Rada Zakładowa rozumiemy zazwyczaj grono związkowych urzędników, odznaczających się trzema cnotami: lojalizmem i posłuszeństwem w stosunku do dyrekcji, jednostronnością zainteresowań — wykonanie planu — z przydatkiem większej lub mniejszej obojętności w stosunku do interesów załogi — oraz specyficzną „pozycją społeczną” w zakładzie, pozycją urzędników wyobcowanych spośród załogi i bardziej związanych z administracją, niż z robotnikiem”.

W podobnym tonie ostrej krytyki związków zawodowych utrzymane są i inne artykuły, zamieszczane w prasie. Ale i ze strony związków zawodowych odzywało się coraz więcej głosów za wyodrębnieniem samorządu robotniczego w formie nowej, wybieranej przez załogi komórki — rad robotniczych, obok których istniałyby nadal dawne rady zakładowe, mające wyraźny cel inny: obronę interesów robotniczych. I to obronę nawet w stosunku do samorządu robotniczego, który nieraz, w dążeniu do osiągnięcia jak najwyższej rentowności przedsiębiorstwa, mógłby podejmować decyzje, sprzeczne z codziennymi lub ogólnymi interesami robotników, jak na przykład przeprowadzać redukcje, dążyć do nadmiernego podnoszenia cen swoich produktów, tolerować godziny nadliczbowe itp.

Takie stanowisko zajęło wreszcie oficjalnie X Plenum C.R.Z.Z. (13 stycznia br.), stwierdzając, że do rady robotniczej

należy zarządzanie przedsiębiorstwem, podejmowanie decyzji w sprawach gospodarczych. Natomiast rady załogowe ponoszą odpowiedzialność za sprawy warunków pracy i bytu załóg.

Zresztą rozbite dziś i zdeorientowane związki zawodowe nie mogłyby się podjąć niezmiernie trudnych zadań, jakie spadają na samorząd robotniczy; trudno się też dziwić, że nie wykazują one prawie żadnej inicjatywy i nie udzielają pomocy w organizowaniu rad robotniczych.

Dotychczas nawet nie przygotowano nowego projektu ustawy o radach załogowych, który uwzględniłby podział kompetencji i zakresu działania między obu radami. Niestety, praktyka wykazuje już szereg nieporozumień, sporów i braku współpracy tych dwóch przedstawicielstw tej samej załogi.

Tak wyglądają realne a trudne warunki, w jakich rozpoczyna pracę powstający w Polsce samorząd robotniczy.

Zastanówmy się teraz jaką podstawę jego działalności stanowią ostatnio uchwalone ustawy.

Ustawa o radach robotniczych przewiduje powoływanie tych rad w przedsiębiorstwach państwowych — na razie tylko w przemysłowych, budowlanych i PGR-ach. W drodze jednak uchwały Rady Ministrów, przepisy jej mogą być rozciągnięte i na inne przedsiębiorstwa państwowe.

Ustawa powiada, że rada robotnicza zarządza przedsiębiorstwem w imieniu załogi. Nie precyzując ściśle zakresu jej działania, wylicza przykładowo w dwunastu punktach, co do niej należy. Tak więc rada: ustala strukturę i schemat organizacyjny przedsiębiorstwa oraz kierunki jego rozwoju, uchwała plany roczne przedsiębiorstwa w ramach wskaźników narodowego planu gospodarczego, ustala zasadnicze wytyczne usprawnienia produkcji, racjonalizacji i podnoszenia wydajności pracy, ocenia działalność gospodarczą przedsiębiorstwa i zatwierdza jego roczne bilanse itp.

W zakresie spraw pracowniczych rada robotnicza: ustala zasadnicze wytyczne polepszania warunków bezpieczeństwa i higieny pracy, tabele płac (w ramach uprawnień przedsiębiorstwa i układu zbiorowego), normy pracy i sposoby premiowania, decyduje o podziale funduszu zakładowego oraz części zysku, przypadającego załodze, ustala regulaminy pracy.

Wszystkie czynności w zakresie spraw pracowniczych rada robotnicza wykonywuje w porozumieniu z radą zakładową, a w razie braku uzgodnienia między obu radami, decyduje bezpośrednio załoga.

W najbardziej skomplikowany sposób ustalony jest w ustawie stosunek między radą robotniczą a dyrektorem przedsiębiorstwa.

W niektórych projektach samorządów robotniczych, wysuwanych przez załogi, stawiano postulat, aby rada robotnicza miała prawo mianowania i odwoływania dyrektora.

Ustawa przewiduje jednak, że dyrektora i jego zastępców powołuje i odwołuje — po uzgodnieniu z radą robotniczą —

właściwy organ państwowy. Rada ma ze swej strony prawo występować z wnioskami w tych sprawach.

Choć rada robotnicza zarządza przedsiębiorstwem, dyrektor jego, który wchodzi z urzędu w skład rady, kieruje działalnością przedsiębiorstwa i ponosi za nie odpowiedzialność wobec władz nadrzędnych i załogi.

Będąc przełożonym wszystkich pracowników w przedsiębiorstwie jest również przełożonym członków rady, którzy nie są zwolnieni od wykonywania swoich normalnych obowiązków, wynikających ze stosunku pracy.

Dyrektor może zawiesić wykonanie uchwały rady, jeśli jest sprzeczna z przepisami prawa lub obowiązującym planem, a spór rozstrzyga właściwa jednostka nadrzędna.

Czy tak ustalony podział zadań i kompetencji między radą robotniczą a dyrektorem przedsiębiorstwa okaże się w praktyce realny, czy nie będzie on podstawą do szeregu konfliktów, które zresztą już mają miejsce w niektórych przedsiębiorstwach — to może wykazać dopiero dłuższa praktyka.

Ciekawe bardzo są uwagi na ten temat prof. E. Lipińskiego („Nowe Drogi”, 11. 12. 1956):

„Sprawa zarządzania przedsiębiorstwem stanowi splot elementów demokracji i fachowości, autorytetu i samorządu, wolności i podporządkowania, hierarchii i równości. Nie ulega jednak wątpliwości, że istnieją takie funkcje przedsiębiorstwa, które nie mogą być jednocześnie spełniane na podstawie dwóch zasad postępowania. Funkcje kierowania procesem produkcji, funkcje wyboru techniki produkcji, asortymentu produktów i przyszłego rozwoju przedsiębiorstwa są domeną autorytetu i fachowości i nie mogą być wykonywane w oparciu o zasadę demokracji. Zresztą tak samo, jak o funkcjach lekarskich w szpitalu nie mogą być podejmowane decyzje większością głosów załogi szpitalnej...

Podział funkcji między radą robotniczą a fachowym kierownictwem przedsiębiorstwa wynika z samych funkcji przedsiębiorstwa. To co jest zadaniem nauki i fachowych ekspertyz, spełnia kierownictwo. Ale załogi, reprezentujące społeczny punkt widzenia rady, są wysoce zainteresowane techniką produkcji i asortymentem produktów. Dlatego opinie rad robotniczych powinny być nie tylko brane pod uwagę, ale ich udział w przygotowywaniu ośnośnych decyzji jest środkiem, przy którego pomocy podnosi się poziom wiedzy ogólnej robotników, jako producentów, stanowiąc znakomitą szkołę dla talentów kierowniczych”.

Ale wróćmy jeszcze do dalszych punktów ustawy o radach robotniczych.

Rada wybierana jest przez załogę w tajnym głosowaniu, przy tym ustawa zaleca, by, w miarę możliwości, $\frac{2}{3}$ członków rady rekrutowało się spośród robotników. Rada jest odpowiedzialna przed załogą, która ustala jej statut.

Praca w radzie robotniczej ma charakter społeczny i nie jest wynagradzana; członek rady ma jednak prawo do otrzymania wyrównania straty poniesionej z tytułu pełnienia obowiązków w radzie. Bez zgody rady nie można go zwolnić z pracy ani przenieść na inne stanowisko.

Ustawa o radach robotniczych wiąże się bezpośrednio z ustawą o funduszu zakładowym na rok 1957, uchwaloną na tym samym posiedzeniu sejmku.

Jak stwierdzono w dyskusji sejmowej, wprowadzenie samorządu robotniczego nie usprawni samo przez się gospodarki narodowej. Muszą być stworzone ponadto bodźce materialnego zainteresowania załóg wynikami pracy przedsiębiorstwa.

Najprostszym rozwiązaniem tej sprawy byłoby ustalenie bezpośredniego udziału robotników w zyskach przedsiębiorstwa. To proste jednak rozwiązanie nie jest w obecnych polskich warunkach możliwe, ponieważ niepodobna jest dziś ustalić, które zakłady są rentowne, a które nie. Istniejący dziś sztuczny system cen w przemyśle doprowadził do tego, że nie odzwierciedlają one z reguły wartości towarów, nakładów pracy i materiałów.

„Ten system cen jest w wielu miejscach tak wadliwy, tak błędny, że osiągnięcie rentowności, uzyskanie zysków przez bardzo znaczną liczbę zakładów przemysłowych będzie — pomimo najlepszych chęci i największej ofiarności załóg — absolutnie niemożliwe.

Bo czyż może osiągnąć zysk na przykład kopalnia węgla, która sprzedaje swe „czarne złoto” po cenie 140 zł. za tonę, gdy koszt własny wydobycia kształtuje się w granicach 190 zł. za tonę? Czy może być rentowna kopalnia rudy żelaza, która sprzedaje magnetyt wzbogacony po 120 zł. za tonę, podczas gdy koszty własne wydobycia wynoszą 529 zł za tonę? Czy może osiągnąć zysk fabryka chemiczna, wytwarzająca sodę kalcyonowaną po 640 zł. za tonę, sprzedając ten artykuł po 550 zł. za tonę? Nie osiągnie zysku ani fabryka obrabiarek, sprzedająca po 225.500 zł. za sztukę frezarki „Torpedo”, których koszt produkcji wynosi 380.000 zł. za sztukę, ani F.S.O. na Żeraniu, sprzedająca wytwarzane kosztem 64.000 zł. za sztukę „Warszawy” po 31.000 zł., ani zakłady jedwabnicze, sprzedające jedwab surowy w cenie 28.500 zł za tonę, a produkujące ten jedwab kosztem 33.000 zł. tona, ani wiele, wiele innych przedsiębiorstw...” („Głos Pracy”, 17.12.56).

Zresztą sprawę jasno postawił wiceprezes Rady Ministrów, Jaroszewicz, podczas jednej z dyskusji w komisjach sejmowych:

„Uchwalenie już dziś szczegółowego aktu normatywnego o udziale załóg w zyskach przedsiębiorstw byłoby nieuczciwością ze strony posłów i rządu. Wypływa to z tego, że obecnie faktyczny zysk jest fikcją... obecna ekonomika produkcji — to abrakadabra. I dopóki prawo wartości nie zacznie u nas dochodzić do głosu, nie możemy obiecywać załogom nieistniejącego zysku” („Głos Pracy”, 15. 11. 56).

W tych warunkach — jako rozwiązanie tymczasowe na przeciąg jednego roku — przyjęto ustawę o Funduszu Zakładowym na rok 1957. Jednocześnie zaś przyjęto następującą uchwałę:

„Sejm wzywa rząd do przygotowania warunków ekonomicznych i organizacyjnych niezbędnych dla wprowadzenia w 1958 roku udziału załóg w zyskach przedsiębiorstw jako głównego bodźca materialnego zainteresowania pracujących, oraz wniesienia projektu odpowiedniej ustawy”.

Ustawa o funduszu zakładowym jest ustawą ramową. Mówi ona ogólnie, że na fundusz zakładowy przeznacza się część zysku, osiągniętego przez przedsiębiorstwo, ale mogą być na ten cel przeznaczone i inne środki (nie sprecyzowane bliżej w ustawie).

Fundusz zakładowy, którego wysokości ustawa nie ogranicza przeznaczony jest na: 1) nagrody i świadczenia dla pracowników oraz inne cele, związane z ich potrzebami; 2) na budownictwo mieszkaniowe dla pracowników oraz remonty zajmowanych przez nich mieszkań. Podział funduszu na te cele ustala rada robotnicza, z tym jednak, że na cel pierwszy nie może być przeznaczone więcej, niż 8,5% funduszu płac przedsiębiorstwa, co w praktyce oznacza w przybliżeniu wysokość jednomiesięcznego zarobku, czyli trzynastą pensję.

Ustawa przewiduje, że w najbliższym czasie poszczególne resorty ustalą sposób tworzenia funduszu zakładowego w różnych działach produkcji.

Dotychczas rozporządzenia takie się nie ukazały, choć Ministerstwo Finansów przygotowało już projekt rozporządzenia, które ustala ogólne zasady tworzenia funduszu zakładowego dla wszystkich przedsiębiorstw.

Nie ulega wątpliwości, że nawet wydanie tych wszystkich przewidzianych, czy już przygotowanych rozporządzeń wykonawczych nie stworzy dostatecznych bodźców ekonomicznych, które by miały zachęcić robotników do podnoszenia wydajności pracy. Robotnicy natomiast, wyczerpani do ostateczności niskim poziomem zarobków spodziewają się, że wraz z wprowadzeniem samorządów robotniczych poprawią się warunki ich bytu, że rady robotnicze potrafią lepiej gospodarować i uczynić przedsiębiorstwa rentownymi i to już w najbliższej przyszłości.

Ale i ustawa o radach robotniczych i ustawa o funduszu zakładowym nie rozwiązują same problemu samorządu robotniczego. Żeby mógł on spełniać rolę, jaką przewiduje ustawa o radach robotniczych, to jest zarządzać przedsiębiorstwem, niezbędne jest przyznanie zakładom pracy większej swobody w kierowaniu produkcją. Dotychczas bowiem musiały one ślepo wykonywać narzucane im z góry dyrektywy.

Próba załatwienia tej zasadniczej sprawy jest wydany jeszcze jeden akt prawny: uchwała Rady Ministrów o rozszerzeniu uprawnień państwowych przedsiębiorstw przemysłowych.

Uchwała ta pozostawia, jako nienaruszalną zasadę, centralne planowanie produkcji, które obejmuje nadal najważniejsze jej wskaźniki, jak: wartość produkcji towarowej, główne asortymenty, oraz fundusz płac. Zmniejsza ona jednak znacznie ilość ogólną wskaźników, (do ośmiu), które ograniczały niezmiernie swobodę przedsiębiorstw w podejmowaniu jakichkolwiek decyzji.

Uchwała pozostawia nadal ustalanie zasadniczych inwestycji w ramach bezpośrednich planów centralnych, decentralizuje jednak planowanie inwestycji uzupełniających, szczególnie jeśli chodzi o odnawianie sprzętu, remonty itp.

Centralnie decydowane są nadal zasady rozdziału materiałów, oraz ceny, choć niektórzy ekonomiści, jak na przykład prof. E. Lipiński („Nowe Drogi”, 11. 12. 1956) uważa, że pewne ceny, na przykład wyrobów włókienniczych powinny być wyznaczane na podstawie „porozumień pomiędzy dostawcami i odbiorcami”.

Ważną zmianą, z punktu widzenia pracowników, jest pozostawienie względnej swobody przedsiębiorstwom w układaniu szczegółowych tabel płac (tzw. taryfikatorów), które muszą się tylko mieścić w ramach centralnie ustalonego funduszu płac i ewentualnie umowy zbiorowej. Na zasadzie tego upoważnienia przedsiębiorstwa będą mogły teraz uregulować dziwołagi i niewspółmierności w stawkach płac, które doprowadzają do niczym nieuzasadnionej rozpiętości zarobków w tych samych oddziałach fabrycznych. Na przykład w Zakładach im. Janka Krasickiego (A-3) przeciętny średni zarobek za ostatnie 10 miesięcy wynosił: na montażu od 800 zł. do 4.000 zł., a w wydziale mechanicznym od 600 zł. do 6.000 zł. („Trybuna Ludu”, 3. 1. 1957). Co prawda, nie wydaje się, by rady robotnicze mogły przeprowadzić, bez znacznych trudności, najbardziej słuszne nawet obniżki i podnieść w ten sposób zarobki zbyt mało zarabiających robotników. Opory będą na pewno bardzo duże.

Uchwała o rozszerzeniu uprawnień państwowych przedsiębiorstw przemysłowych nie załatwia, oczywiście, całego problemu decentralizacji kierowania produkcją.

Scentralizowane administrowanie — z mora wszystkich zakładów pracy — przejawiało się, między innymi, w tworzeniu szeregu nadbudówek nad ich gospodarką. Przede wszystkim w formie tak zwanych centralnych zarządów, niezmiernie rozbudowanego aparatu, który najczęściej, ponad właściwymi ministerstwami, wtrącał się w każdy niemal szczegół pracy przedsiębiorstw i uniemożliwiał wszelką ich samodzielność i inicjatywę. Przeciwno tym nadbudówkom występują jak najostrzej zwolennicy demokratyzacji produkcji i samorządu robotniczego, proponując przeprowadzenie radykalnej reformy: zastąpienia centralnych zarządów przez branżowe zrzeszenia wytwórców.

Za tą koncepcją wypowiadają się również ekonomiści. Już podczas jednej z pierwszych większych dyskusji, zorganizowanej w listopadzie przez F.S.Ö. na Żeraniu, prof. Pajestka stwierdził, że „przedłużeniem samorządów w zakładach produkcyjnych winny być zrzeszenia wytwórców, oparte na zasadach szerokiego demokratyzmu, które zastąpią dotychczasowe centralne zarządy”. („Głos Pracy”, 15. 11. 1956).

Bardziej szczegółową propozycję w tej sprawie wysuwa N.O.T. (Naczelna Organizacja Techników), oddział warszawski, który poświęcił wiele czasu i pracy swych członków przy opracowywaniu projektu samorządu robotniczego. Projekt ten przewiduje, że przedsiębiorstwa powiązane wspólnymi celami gospodarczymi powinny tworzyć zrzeszenia branżowe, zorganizowane na zasadach samorządu. Zrzeszenia posiadałyby osobowość pra-

wną, koordynowałyby pracę przedsiębiorstw zrzeszonych, przeprowadzając wspólny zakup materiałów i sprzedaż, mogłyby organizować eksport, import, kooperację międzyzakładową i międzybranżową, mogłyby nawet organizować własne instytuty badawcze, biura usług technicznych itp.

Ostatnio powstają nawet konkretne projekty takich zrzeszeń dla poszczególnych działów produkcji. Został na przykład opracowany i złożony do Ministerstwa Hutnictwa projekt zrzeszenia dla przemysłu metali nieżelaznych; przemysł ten znajduje się w szczególnie trudnej sytuacji organizacyjnej, zależy bowiem od sześciu różnych centrali.

Na razie jednak wszystko są to tylko projekty. Nie tylko nie mówi się jeszcze o likwidacji centralnych zarządów, ale nie zostały wydane we właściwym terminie przepisy wykonawcze do uchwały Rady Ministrów o rozszerzeniu uprawnień państwowych przedsiębiorstw przemysłowych (mimo że powinny się były ukazać do 17 grudnia), co niezmiernie hamuje i utrudnia rozwój istniejących już i powstawanie nowych rad robotniczych (*).

Nie została też dotychczas przyjęta przez Radę Ministrów uchwała, o trybie zatwierdzania eksperymentów w poszczególnych przedsiębiorstwach, przygotowana przez — formalnie już rozwiązana — Komisję dla Spraw Eksperymentów Robotniczych. Projekty tych eksperymentów muszą być wprawdzie zaopiniowane przez Radę Ekonomiczną, która została powołana dopiero w końcu stycznia.

Toteż dwanaście pierwszych eksperymentujących zakładów (W.F.M., zakłady im. 22 Lipca — były Wedel, huta Baildon, kopalnia „Szombierka” i inne) pracują „formalnie rzecz biorąc — na kredyt. I stąd niemałe ich trudności życiowe” („Rada Robotnicza” Nr 1).

W tych warunkach trudno się dziwić, że na łamach prasy ukazują się coraz częściej niewesołe refleksje na temat samorządu robotniczego, że stwierdza się gwałtowne zahamowanie jego rozwoju po pierwszej fali ogromnego entuzjazmu, zapалу i zbiorowej chęci podjęcia trudnego zadania odnowy życia gospodarczego.

Artykuły, reportaże, notatki podają dodatnie i ujemne przykłady pierwszych przejawów działalności rad robotniczych. Notują one — obok rozumnych postanowień — przejawy demagogii, obok spokojnej pracy — wypadki wyrzucania („rozrabiania”) dyrektorów, rozprzężenia, rozluźnienia dyscypliny i spadku produkcji.

Ale najwięcej miejsca poświęca prasa omówieniu codziennych trudności, z jakimi borykać się musi powstający samorząd. Zestawia je „Trybuna Ludu” w artykule: „Co przeszkadza radom robotniczym” (24. I. 1957).

(*) Według ostatnich wiadomości („Rada Robotnicza”, Nr 3/57) większość ministerstw wydała zarządzenia w końcu grudnia ub. r. i w styczniu br.

Jak wynika z tego artykułu rady robotnicze powstały już w setkach przedsiębiorstw przemysłowych, budowlanych, P.G.R.-ach, co oznacza, że idea rad robotniczych przyjęła się i zapuściła korzenie. Ale rozwój ich uległ ostatnio zahamowaniu, stoi bowiem przed nimi cały szereg trudności. Są to, z jednej strony trudności wewnętrzne, wynikające z braku doświadczenia, z wiary, że można od razu załatwić pilne, ale skomplikowane zagadnienia wewnątrz przedsiębiorstwa. Również i stosunki między radami a dyrektorami przedsiębiorstw nie wszędzie układają się pomyślnie. Są dyrektorzy, którzy rozumieją, że samodzielność przedsiębiorstw, o którą walczą, jest nie do pomyślenia bez samorządu robotniczego, ale są i inni, o starym sposobie myślenia, którzy stawiają radom wszelkie możliwe opory i utrudniają ich pracę.

Gorsze jednak jeszcze są trudności zewnętrzne, spowodowane przez opór biurokracji, która przeciwstawia się zmianom gospodarki. Do tej kategorii zalicza „Trybuna Ludu” niewydanie dotychczas rozporządzeń wykonawczych do zasadniczej uchwały o rozszerzeniu uprawnień przedsiębiorstw, a ponadto szereg codziennych konfliktów między radami robotniczymi a nadrzędnym aparatem gospodarczym. Wiele centralnych zarządów nie liczy się z nowymi gospodarzami fabryk, pomija rady robotnicze przy podejmowaniu zasadniczych dla przedsiębiorstwa decyzji, narzuca im dyrektorów bez zgody rad — „to fakty, często, niestety, zdarzające się”.

„Trybuna Ludu” wierzy jednak, że te wszystkie sprawy dadzą się uregulować, że rady robotnicze — w ramach swoich obecnych kompetencji — poparte przez administrację, związki zawodowe, a przede wszystkim przez partię, „staną się tą siłą społeczną, która pomoże w stopniowej przebudowie modelu gospodarczego”.

Na krańcowo innym stanowisku natomiast stanęli St. Chęstowski i Wł. Godek w artykule pt. „Samorząd robotniczy w niebezpieczeństwie” („Po prostu”, 3/57). Atakują oni ostro nie tylko biurokrację, która „broni się wszelkimi sposobami” i „usiłuje storpedować już istniejące rady”, ale i same ustawy o radach robotniczych i funduszu zakładowym.

Według nich w radach robotniczych zasiadają „naprawdę najlepsi pracownicy”, wybrani „na ogół w naprawdę demokratycznych wyborach” a mimo to rady są bierne. Ale nie tylko dlatego, że „brak zarządzeń paraliżuje inicjatywę ludzi, zmusza wybrane rady do bezczynności, stwarza niebezpieczeństwo kompromitacji ich w oczach załogi”. Bo nawet, jeśli zostaną wydane zarządzenia wykonawcze, nie zmieni to wiele sytuacji rad, które nie mają nic do powiedzenia w najważniejszych sprawach, związanych z kierowaniem nowoczesną produkcją, to jest w sprawach:

„co produkować, ile produkować, za ile sprzedawać, od kogo i po ile kupować surowce i materiały potrzebne do produkcji. Czyli mówiąc innymi słowami: asortyment i wielkość produkcji, cena zbytu oraz zaopatrzenie...

W ten sposób nie zostało w zasadzie podważone w żadnym z najistotniejszych punktów dotychczasowe centralne zarządzanie produkcją przemysłową.

Krytykując kolejno szereg punktów obu ustaw, podkreślając niedostateczne uprawnienia rad w stosunku do dyrektorów, ustalenie zbyt niskiej granicy zysku, przypadającego do udziału dla załogi (13-ta pensja), dochodzą oni do wniosku, że :

„W obecnych warunkach istnienia centralnej dyspozycji — rola tych Rad (nie chcemy być złymi prorokami) jest przesądzona. Jeśli w najbliższym czasie nie zmieni się radykalnie system zarządzania przemysłem — Rady mogą się stać jeszcze jedną stalinowską fikcją, stwarzającą pozory, że masy rządzą...

„...Niech nikt nie wmawia, że sam fakt istnienia Rad przesądza o zwycięstwie nad stalinizmem. Mogą istnieć Rady i może istnieć stalinizm — te dwie rzeczy się nie wykluczają. Oczywiście rady w myśl wyżej omówionej ustawy” (o radach robotniczych — dop. autora).

Ale jednocześnie autorzy uważają, że :

„Istnieje obecnie wiele znamion świadczących o destalinizacji Polski. Jednak z wszystkich przemian najważniejsza jest — naszym zdaniem — akceptacja prawna instytucji Rad Robotniczych. I dlatego, że jest to zgodny z tendencjami rozwojowymi Polski kierunek zmian i dlatego, że Rady stanowią trwałą podstawę radykalnego przeobrażenia ustroju społeczno-ekonomicznego”.

I to wydaje się w tej chwili najważniejsze — samorząd robotniczy zdobył sobie prawo obywatelstwa.

Trudna jest droga, na jaką wkroczyli dziś robotnicy w Polsce. Niełatwe są próby zasadniczej reorganizacji gospodarki narodowej, ciężka jest walka z przeszkodami, stawianymi radom robotniczym przez aparat, który dotychczas kierował produkcją i nie chce z kierownictwa tego zrezygnować.

Ale jeśli zmiany mają być istotnie głębokie, jeśli ma być opanowany chaos i naprawione olbrzymie szkody, wyrządzone gospodarce polskiej przez poprzedni system — droga do tego nie jest ani łatwa, ani szybka. Zresztą utrudnia ją nie tylko niezmiernie ciężkie położenie gospodarcze, lecz również i skomplikowana sytuacja polityczna Polski.

Toteż wydaje się, że nie można oceniać dziś roli samorządu robotniczego po osiągniętych już czy też nie osiągniętych efektach. Trzeba ją oceniać raczej pod kątem prób realizacji tej rewolucji poglądów, o nieodwracalności której mówiła ankieta „Kultury”. Trzeba na eksperyment rad robotniczych patrzeć pod kątem widzenia zmian, jakie zaszły w świadomości robotników, którzy chcą wziąć w swoje ręce zarządzanie zakładami pracy, chcą przekształcić je — w istocie swej i treści — z przedsiębiorstw upaństwowionych na społeczne.

Statystyczne manowce

W toku roku 1956, a zwłaszcza w jego ostatnim kwartale byliśmy świadkami narastania swobody krytyki w krajowej prasie i w wypowiedziach przedstawicieli władzy — krytyki politycznej i krytyki gospodarczej. Razem z zanikaniem „drętwej mowy” w ideologii programowej, opadała także fala przesadnego samochwalstwa o dokonanym postępie gospodarczym, mnożyły się zaś rzeczowe naświetlania popełnionych błędów. Wybuchła żywiołowa potrzeba słyszenia i mówienia prawdy — całej prawdy, o stanie rzeczy, o punkcie wyjścia dla nowego etapu pracy — podejmowanej na ten raz w zgodzie ze społeczeństwem, w imię nadziei ponownie obudzonych i w oparciu o zbiorowe współdziałanie.

Inny język rządzących, zainaugurowany w przemówieniach Gomułki, pozyskał prawa obywatelstwa na VIII Plenum C.K. i zdawał się krzepnąć poprzez wypowiedzi do górników, czy do partyjnego aktywu. Zamierzenia gospodarcze postanowiono nadal opierać wyłącznie o materiał oczyszczony z „lakiernictwa” i wzbogacony możliwie bezstronną oceną metod i doświadczeń naszej społeczności, zdobytych czy wczoraj, czy znacznie dawniej. Zdawał się być ponownie nawiązany łańcuch kolejnych przemian historycznych i psychicznych, który jedynie może zapewnić społeczeństwu rozwojową ciągłość.

Górnicy usłyszeli, że poprawa systemu płac będzie nawiązana do systemu przedwojennego, rolnicy dowiadywali się, że spółki maszynowe i spółdzielczość mleczarska — zachowane w dobrej pamięci z okresu 20-lecia — mogą być regenerowane. Oświatowcy otrzymali obietnicę podniesienia poziomu szkół średnich, przez przywrócenie dwunastu lat nauki szkolnej przed maturą, na miejsce zbyt pośpiesznej 11-latki, a praca świetlic, bibliotek i wszelkich kursów w oświacie pozaszkolnej miałyby znów być powierzona różnorodnym zrzeszeniom i organizacjom — w przeciwstawieniu do szablonu oficjalnej i często zdrewniałej propagandy. Wszystko, każde poczynanie, miało już być ugruntowane na rzetelnym poznaniu stanu rzeczy, a więc i na prawdziwym obrazie statystycznym.

Im bardziej na serio przyjmowane są te zamierzenia, tym trwoźniej muszą być powitane nawroty do odepchniętych przez życie metod, do operowania statystyką dla porównań bezzasadnych, do szukania w uczernionym obrazie Polski 20-lecia już to usprawiedliwienia dzisiejszych braków, już to wyolbrzymienia powojennych sukcesów.

Przedwyborcze przemówienie W. Gomułki z 9. I., nadane

przez radio, nasuwa właśnie szereg obaw tej natury. Przemówienie to było odpowiedzią na pytania warszawskich robotników o sposób rozwiązywania bieżących trudności gospodarczych. Tok rozumowania Gomułki opiera się o twierdzenie, że obecne niedomagania ekonomiczne Polski są zupełnie inne niż przedwojenne. Dziś „wynikają na tle rozwoju gospodarki narodowej”, gdy w Polsce przedwojennej „trudności powstawały wskutek upadku tej gospodarki, wskutek zwięzania się produkcji”.

Nie było zapewne zamiarem W. Gomułki dowodzenie, że rządy zaborcze trzech cesarzy bardziej troszczyły się o byt poddanych Polaków, niż to czyniły władze odrodzonego państwa. Sama jednak intencja wykazania domniemanej wyższości komunistycznej gospodarki nie powinna by prowadzić do tracenia z oczu ciągłości wysiłków i ciągłości dorobku narodu naszego w samodzielnym budowaniu swego losu. Chcąc rozwijać poczucie ufności we własne siły, chcąc stosować polskie „samoistne szukanie drogi” i utrzymać pewność kroku w marszu bez obcych doradców — trzeba uznać każdą realną zdobycz swojej społeczności, choćby była owocem niemiłego systemu, choćby przypaść miała na rachunek politycznych przeciwników.

Oceny działania dawnego mogą być tylko wówczas realne, gdy je rozważamy na gruncie całości ówczesnej sytuacji. W przemowie Gomułki potępienie gospodarki 20-lecia ma wynikać z szeregu statystycznych porównań, wczoraj i dziś. Zostaje przy tym podkreślone, że liczby odpowiednie pochodzą z przedwojennego Rocznika Statystycznego. Ale wiemy, że prawdziwość samych liczb bynajmniej nie zawsze wystarcza.

Porównania statystyczne bywają argumentem wymownym i nieodpartym, gdy zestawienia są ściśle dobrane do celu, jakim mają służyć, a więc w warunkach bezspornej porównywalności — mogą zaś graniczyć ze śmiesznością, gdy narzucana tendencja każe im wybiegać poza ramy pamięci o rzeczywistości. Użyjmy przykładów.

Ocena poziomu konsumpcji, przeliczanej na głowę ludności, czy ocena poziomu oświaty przez porównanie procentu dzieci pozostających poza szkołą — mogą być słusznie dokonywane nawet w odległych etapach i niejako niezależnie od innych okoliczności. Celem tu jest proste stwierdzenie stanu wynikowego, w jakim się znajdował człowiek danej społeczności, już na skutek całego tysiąca przyczyn. Te zmiany na lepsze, które istotnie zaszły po drugiej wojnie, będą zawsze witane z radością, a spór może dotyczyć tylko tego, jaki powód odegrał rolę główną. Czy Ziemie Odzyskane przez swe lepsze zagospodarowanie, czy pomniejszenie rolniczego przeludnienia, czy umiejętniejsza gospodarka państwowa, czy inne a łatwiejsze rynki zbytu — to wszystkie tematy nęcające do analizy i do sensownego sporu.

W tym szeregu naturalnie jest miejsce i na ustalenie odpowiedzialności przedwojennych rządów za stan ówczesny kraju. Co mianowicie leżało w możliwościach czasu i warunków, a niespełnione — dawałoby dziś tytuł do biczowania tamtego pokole-

nia za winy i za złe metody, a co było nieuniknionym skutkiem zadawnionej biedy, żalosnego spadku po zaborcach, ciężaru postawy obronnej między Niemcami a Rosją itd., itd. Argumenty jednej strony, wskazujące na znaczny, pozytywny dorobek w krótkie lat dwadzieścia — argumenty drugiej potępiające powolność działania, czy ochronę przywilejów, a podnoszące wspałałość nowych, socjalistycznych metod organizacji, miałyby przed sobą szerokie pole do rozprawy i do szukania konkluzji użytecznych dla jutrzejszej pracy.

Zupełnie inaczej ma się rzecz, gdy przeliczenia porównawcze na głowę ludności dokonywane są dla niektórych gałęzi produkcji, przy niefrasobliwym pominięciu tego, że zmieniony teren państwa, inne zasoby surowcowe, inny warsztat produkcyjny, inny skład ludności i inne warunki zbytu odebrały sens porównaniu. Pamiętamy ów za czasów Minca klasyczny przykład propagandy dostatku opału, gdy zestawiano, ile kilogramów węgla opałowego dostarczano na głowę ludności w 1937, a ile w 1953 — przy lekceważeniu tego szczegółu, że w 1937 jakieś $3/4$ ludności opalało domy drewnem, a w 1953 ówa zwiększona dostawa węgla stanowiła nędzne zaopatrzenie niemal dla całej ludności.

Czy w porównaniach z przemowy W. Gomułki można uznać za miernik socjalistycznego postępu to stwierdzenie, że między 1938 a 1955 produkcja węgla wzrosła na głowę ludności z 1.054 klg. na 3.463 klg., gdy wiemy że *na obecnym terenie* Polski wydobywano przed wojną 66 milionów ton węgla, a nie 36 jak przyjęto w powyższym obrachunku i wiemy nadto, że produkcja ta przypadała na ludność o kilka milionów mniejszą, niż w naszej Rzeczypospolitej. Podobna sytuacja dotyczy niemal wszystkich produktów przemysłowych: stali, cementu, energii elektrycznej, tkanin itd. Wiemy również, że produkcja cementu, czy cegieł dopiero około 1954 dorównała produkcji tych materiałów na obecnym terenie przed wojną, a zaopatrzenie rolnictwa w nawozy sztuczne dotychczas jest znacznie niższe od przedwojennego. Statystyczne przypomnienie tego, że chłop wołyński czy poleski nie używał nawozów sztucznych, zapewne nie jest w stanie zrekompensować rolnictwu Ziemi Odzyskanych tego faktu, że dotychczas każdy ha dostaje i jeszcze przez szereg lat będzie dostawał mniej nawozów sztucznych niż mu wsypywano przed wojną.

Przez parę krótkich lat zachodnie publikacje ekonomiczne powtarzały naiwnie wszelkie zestawienia statystyczne polskiej propagandy oficjalnej. Otrząśnięto się jednak rychło i nie ma już dziś bodaj ani jednej szanującej się instytucji ekonomicznej, która by stosowała inne porównania w statystyce produkcji, jak odnoszące się ściśle do tegoż terenu, czyli do tegoż warsztatu. Również wewnątrz Polski, gdy krytyka poczęła odzyskiwać swe prawa doszła do głosu surowa ocena poprzednich metod statystycznych. Wznowiony w 1956 „Rocznik Statystyczny” przyjęty został głośnym wołaniem o więcej prawdy; jaskrawo tendencyj-

ne wydawnictwo, o powtarzanych wydaniach „Wież w liczbach” było w prasie wręcz wyszydzane. Zapewne zatem i na użytek wewnętrzny wznawianie dziś porównań jawnie bezpodstawnych — nie tyle przekona o wspaniałych rezultatach gospodarki wojennej, ile nakaze domagać się dalej pełnej prawdy.

Czynione porównania miały wykazać nie tylko wyższość gospodarki socjalistycznej, ale stwierdzić również, że gospodarka Polski w 20-leciu była „w zastoju lub w cofaniu się”. Dłuższy szereg liczb w interesującym nas przemówieniu poświęcony zostaje wykazaniu zniżki produkcji wielu artykułów przemysłowych w latach po kryzysie światowym z 1929-1930, nie wspominając jednak wcale o tym zjawisku, a przecież spod jego ciosów najsilniejsze gospodarki świata nie łatwo się dźwignęły. Gdy Polska w roku 1938 dla całości produkcji przemysłowej miała wskaźnik 119 (przyjmując rok 1928 za 100), całość przemysłu Stanów Zjednoczonych pozostawała przy wskaźniku 77, a Francja przy 82. Czy to były także gospodarki upadające?

Szczególnie jednak rolnictwo zostało obrane za teren porównań negatywnych. Ono miało dawać mniej zboża na głowę ludności, niż dawało przed powstaniem państwa, a hektary przynosiły mniejsze plony. Czyż jednak istotnie ilość zboża przeliczana na głowę całej ludności może być dobrym miernikiem postępu rolniczego?

W jednym tylko wypadku: wobec grożącej wojny i obawy odcięcia wszelkiego dowozu obrachunek taki bywa słusznie stosowany przez władze państwa i jest wówczas jednym z mierników pogotowia. Dla wszystkich innych celów, a zwłaszcza dla mierzenia postępu rolniczego jest to sposób liczenia zupełnie błędny. W pierwszym rządzie można mu zarzucić, że każda klęska ludnościowa, niezależna od tego, co się dzieje w rolnictwie, byłaby czynnikiem podnoszącym rozwój rolnictwa. A więc oświecimskie piece, czy workuckie łagry, czy masowy ruch emigracyjny oddziaływałyby dodatnio na wskaźnik. Ważniejsze zaś jeszcze jest to, że i w codziennym toku rzeczy przeliczenia porównawcze winny być bardzo ostrożne. Jakąż bowiem ma wartość wskaźnik dla czterech zbóż, a więc łącznie z owsem, obliczany dla lat przed pierwszą wojną i przed drugą, gdy w toku ćwierćwiecza przyszła trakcja samochodowa, skurczyła się ilość koni w miastach i Polska zmniejszyła zasiewy owsa o blisko pół miliona hektarów. Odrobinę poprawniejszy rachunek, obrazujący ilość zboża *chlebowego* na głowę ludności podaje nam tenże, cytowany przez mówcę „Rocznik Statystyczny” i wykazuje pewną zwykłą.

Podobnie zawodne jak przeliczanie „na głowę”, jest także wnioskowanie o produkcji na podstawie samych tylko plonów z hektara. Przemówienie Gomułki wytyka Polsce niepodległość, że gdy w latach 1909-1913 średni plon zbóż wynosił 12.4 cetnary z ha, to za lata 1934-1938 mieliśmy 11.4 c. i narzuca słuchaczowi mniemanie, że produkcja w ogóle zmalała. Tymczasem w okresie wskazanym produkcja ta wzrosła blisko o 15 procent.

Złożyły się na to dwa czynniki: 1) większa powierzchnia zasiewów na skutek uprawy nieużytków i ziem spod lasów (gdzie oczywiście plony z ha były mniejsze) i 2) skurczone posiadanie wielkiej własności na rzecz drobnej, a jak wiadomo bezspornie od czasu badań Wł. Grabskiego, gospodarka chłopska osiąga z każdych 100 ha ziemi więcej zbóż i ziemniaków niż miały folwarki, a to nawet pomimo niższych plonów na pojedynczym hektarze. Zawdzięczano to intensywniejszej kolejności upraw, czyli kurczeniu ugorów czarnych i zielonych, a więc wyższemu odsetkowi upraw użytecznych.

Naturalnie można mieć zastrzeżenia, czy wskazane czynniki, a zwłaszcza branie podług ziem lichych z nieużytków i spod lasu było „postępem”. Kraje bogate czynią wręcz odwrotnie, zalesiają grunty gorsze i znacznie podnoszą średni plon z ha, koncentrując uprawy na glebach żyznych (np. Francja w wieku XX-ym). Nasze przeludnienie rolnicze pełniło jednak swój dyktat z wielką bezwzględnością, nawet lichy warsztat rolny był pożądanym.

Poza powyższymi poprawkami statystycznymi, konieczną jest jeszcze uwaga, że przy wielkiej różnorodności produkcji rolnej, nawet realne kurczenie się jakiegoś artykułu i to wcale nie drugorzędne — nie daje jeszcze powodu do ponurych wniosków. W latach przedwojennych usiłowano skłonić rolnictwo do pomniejszenia produkcji żyta, które było w nadmiarze, a jako towar eksportowy traciło na cenie i było trudne do zbycia. Starano się przesunąć wysiłki rolnika ku produkcji zwierzęcej, istotnie szybko rosnącej i zajmującej coraz wybitniejsze miejsce w naszym bilansie handlowym. Znaczenie zboża malało i traktowanie go, jako główny miernik postępu rolniczego jest anachronizmem.

W rejestrze grzechów wytykanych 20-leciu znajdujemy również zniżkę produkcji cukru, a przecież wyrzeczenie się jego eksportu i dostosowanie produkcji do własnych tylko potrzeb było efektem świadomej polityki państwa. Gdy konkurencja cukru trzcinowego zepchnęła światową cenę do tego poziomu, że eksport cukru buraczanego wymagał wielkich dopłat od społeczeństwa (konsument krajowy płacił kilkakrotną cenę eksportową) — zastosowano wreszcie rozsądne zredukowanie eksportu jedynie do wyzbycia się nadwyżki, produkowanej jako rezerwy na wypadek nieurodzaju buraków (poniżej 20% całej produkcji), a obniżona cena wewnętrzna skutecznie rozszerzała konsumpcję.

Można przeto dziś z niepokojem śledzić nawrót do forsowania eksportu cukru. Nie są znane ceny, po których otrzymuje go Rosja, wiadome jest tylko, że cena wewnętrzna jest wysoka, a na rynku światowym utrzymuje się tak niska, że żaden kraj europejski nie podejmuje tej produkcji bez subwencji. Czy i ile dopłaca polski konsument do tego, by nasz rolnik konkurował z trzciną cukrową i z tanim robotnikiem kolorowym — czy też Rosja płaci cenę wyjątkową i to uzasadnia rozszerzanie plantacji buraków, nawet przy niskich plonach (około 30% niższych od przedwojennych na tymże terenie) i przy braku rąk do pracy

w rolnictwie. Czy nie zajdzie i w tej dostawie konieczność upominania się o korekturę rachunku, podobnie jak w sprawie węgla, gdzie wyrównanie wstecz zostało szczęśliwie przez W. Gomułkę osiągnięte. W każdym razie „grzech cukrowy” dwudziestolecia polegał nie na skurczeniu produkcji buraków, a na zbyt długim podtrzymywaniu drogiego eksportu cukru.



Zapewne jednak cierpliwość czytelnika jest już na wyczerpaniu. Cóż znowu z tymi ocenami rolniczymi, czyż zawsze wszystko wątpliwe? Czy nie można w końcu wiedzieć, jak to było z tym rolnictwem przedwojennym — rośło czy upadało? Ma Gomułka słuszość, czy jej nie ma?

Każda odpowiedź generalizująca daje tylko bardzo grube przybliżenie do prawdy. Ani porównania stosowanego „systemu” gospodarczego z wyobraźalnym innym, ani sumienne zestawianie statystyk obejmujących całość Rzeczypospolitej nie posunie nas poza stwierdzenie postępu, wprowadzie realnego, ale zbyt skromnego, by mógł odpowiadać ambicjom odrodzonego państwa, by mógł być uznany za właściwy wyraz dynamizmu narodu o świeżo przywróconej wolności i o wzmożonych siłach, po wejściu chłopów w szeregi pełnoprawnych obywateli kraju. Dopiero nawiązanie do przeszłości, dopiero spojrzenie poprzez losy i warunki każdej z byłych dzielnic zaborczych — pozwala sięgnąć bliżej prawdy.

Rolnictwo zaboru pruskiego pozostawało długie lata w ciepłarnianej atmosferze militarno-przemysłowego państwa. Wysokie ceny rolnicze, niskie przemysłowe i tanie kredyty, uporządkowane stosunki własności, wyzbycie się niemal przeludnienia rolniczego, dobre komunikacje i zorganizowany handel — wszystko sprzyjało intensywnej produkcji, podtrzymywanej dla zachowania samostarczalności na wypadek wojny. Wchodząc w skład Polski — kraju biednego, o koniecznym eksporcie rolnym, a więc o światowych, niskich cenach, a protegowanym przemysłu — musiało rolnictwo doznać wielkiego wstrząsu. Rola chronionego śpichrza i uprzywilejowanego dostawcy Niemiec zachodnich zmieniła się na rolę konkurenta w taności z płonami podolskiej, czy wołyńskiej ziemi, ze stadami z poleskich łąk i ze skrajną tanością pracy przeludnionej wsi całej reszty kraju. U wyjścia z ciepłarni czekał srogi wiatr. Za uzyskaną niepodległość narodową wypadło tej dzielnicy zapłacić pogorszeniem sytuacji ekonomicznej. Poprzednia intensywność w rolnictwie przynosiła straty. Wszystkie wskaźniki produkcji uległy obniżeniu i dopiero ostatnie lata przed wojną świadczyły o chwytniu równowagi na nowym poziomie.

Zupełnie odwrotnej przemiany doznał były zabór rosyjski, a zwłaszcza kresy wschodnie. Weszły one w ramy państwa o wiele mniej prymitywnego i zacofanego rolniczo od Rosji. Poprawa cen i warunków zbytu obok organizacyjnych i oświa-

towych pomocy państwa, obok poważnej reformy rolnej ze szczególnie rozległą komasacją — zrobiły swoje. Awans był bardzo znaczny, tempo rozwojowe takiego Wołynia było zbliżone do najlepszych przykładów w historii europejskiego rolnictwa, ale i cały był zabór rosyjski posuwał się naprzód zdecydowanie.

Sytuacja byłej Galicji była najmniej zmieniona. Ciężko tu przeludnienie wsi najbardziej jaskrawe, zamknięcie emigracji do Ameryki nie zostało niczym zrekompensowane. Szersza reforma rolna utknęła, głównie z racji fałszywego pojmowania „polskości” ziemi na terenach narodowo mieszanych, a działania organizacyjno-oświatowe nowego państwa mniejszą mogły odegrać rolę niż w byłym zaborze rosyjskim — nie tak jaskrawe było tło kontrastu. Tu mogło poważnie zagrać tylko szybkie uprzemysłowienie kraju, a to nie nastąpiło.

Jedyną zatem odpowiedzią ścisłą o niedawnej przeszłości naszego rolnictwa jest stwierdzenie, że było bardzo różnie. Dla rezultatów całości ważył przede wszystkim największy był zabór rosyjski i nakładał akcent postępu. Ale „statystyczne przeciętne” zamazywały w istocie nierówny przebieg ewolucji dzielnic. Wyodrębniony, poważny rozwój byłego zaboru rosyjskiego dosadnie uprzytamniał, jak należy zacieśniać zagadnienia postępu gospodarczego do samej sprawy systemu. Wyjście społeczeństwa spod obcej zależności było bezspornie czynnikiem głównym. Szybciej bowiem przemijają pokolenia i systemy, niż ulega zmianom psychika narodu, ceniącego wolność i pragnącego rządzić sobą.

Nie ujmuję to nic systemom. Nie podobna przeczyć, że przekreślenie licznych przeżytków kapitalizmu, dążenie do uspołecznienia środków produkcji, zwolnienie kraju od żarłocznego wyzysku obcego kapitału i stosowanie metody planowego, przyspieszonego rozwoju przemysłu — mogą stanowić właściwą drogę do dźwignięcia kraju zacofanego i podniesienia poziomu dobrobytu. Zdaje się jednak być równie pewne, że nawet słuszne w zasadzie dążenia chybają, gdy nie są oparte na świadomej woli społeczeństwa. Świeże doświadczenia Polski wskazują wyraźnie, że pośpieszna pogoń za lepszym systemem, przy zagęszczonym obcym doradztwie nie rozwiązuje trudności.

Nie sposób uznać, gdy słyszymy w przemowie Gomułki, że obecne trudności gospodarcze Polski są zupełnie inne, niż Polski przedwojennej. Brak środków na inwestycje, troska o równowagę bilansu handlowego, niemożność szybkiego podniesienia płac — to zagadnienia te same, to jakby się słyszało kłopoty Grabskiego, Matuszewskiego, czy Kwiatkowskiego. Zadawnione niedomagania Polski nie pierzchają przed systemem, ustąpią dopiero przed zorganizowaną pracą własną narodu. Już dziś niewątpliwie nie cisną się wszystkie troski dawne. Nie szuka już Polska miejsca na świecie dla swych emigrujących robotników, nie zmusza już Polska dzieci chłopskich do pozostania przy ziemi, choćby wbrew woli, dla braku innej otwartej drogi...

Toteż szanując wartość ludzkiego wysiłku w poszukiwaniu coraz to lepszych metod organizacji pracy społeczeństwa i sprawiedliwszego podziału dorobku, nie przestawajmy pamiętać, że miarą wartości systemu jest przede wszystkim dostosowanie do rozbudzonych już i świadomych dążeń społeczeństwa, że ciągłość pracy narodowej trwa nieprzerwanie, a bez poczucia i afirmacji tej ciągłości można się raczej zabłąkać na manowce statystyczne.

Juliusz PONIATOWSKI

„Pax” odsłonięty

Historia Stowarzyszenia „Pax” jest jednym z dziwów dwudziestego wieku, wykracza swoim pouczającym znaczeniem poza granice Polski i dostarcza obfitego materiału do rozmyślań. Jakby wyjęta z powieści „W oczach Zachodu” Conrada czy z archiwów carskiej Ochrazy, naładowana jest tą gęstością psychiczną, jaka powstaje kiedy splatają się ze sobą nierozzerwalnie duch i policja. Nic dziwnego, że zafascynowała francuskiego autora, który poświęcił jej grubą książkę (*). W pewnym sensie książkę można uznać za cenę zapłaconą przez grupę „Pax” za jej działalność zagraniczną. Terenem tej bardzo urozmaiconej działalności była w okresie „koegzystencji” po 1953 roku głównie Francja. Wobec dość słabych rezultatów w Polsce, gdzie werbowanie zwolenników wśród kleru przy pomocy szantażu UB natrafiało na niespodziewanie silny opór ludności, „misje” zagraniczne zmieniały się w deskę ratunku, bo wyolbrzymiając ich sukces można było przekonać przełożonych, że jest się potrzebnym. Aparat policyjny przychodził z pomocą, dając paszporty na wyjazd tylko „katolikom postępowym”, którzy przedstawiali się jako reprezentanci katolików polskich *tout court*. Z pomocą przychodziła też nazwa. Francuscy „katolicy postępowi” są formacją dla Polaków na ogół niezrozumiałą, bo nie pamięta się o szczególnych właściwościach kraju, gdzie „rewolucyjność” od stu lat uchodzi za część dobrego wychowania a sympatie do komunizmu mają niewyznaną podszewkę: sympatię dla Rosji Aleksandra III. Łączy się z tym pogarda dla barbarzyńców z Europy Wschodniej, dla których rządy terroru są dostatecznie dobre,

(*) Claude Naurois, „Dieu contre Dieu?”. Drame des catholiques progressistes dans une église du silence. Préface de Mgr. Lemaire, Evêque d'Otrus, Supérieur Général des Missions Etrangères de Paris. Editions Saint-Paul. Fribourg, Paris, 1957, pp. 297 (Cena 10 fr. szw.).

choć nie byłyby dobre dla Francuzów. Używając jednak terminu „postępowy” podróżnicy „Paxu” starali się wytworzyć złudzenie wspólnoty, na zasadzie: „ja mam włosy i brodę, ty masz włosy i brodę, więc musimy być krewni”. Wzbudzili wreszcie zainteresowanie.

Katolik Naurois (być może jest to pseudonim) żywi wobec ludzi „Paxu” więcej litości niż odrazy. Opowiada swoim postępowym rodakom niebываłe dzieje grupy, które, jak powiada, w ogóle nie mieszczą się w głowie człowieka Zachodu. Trudno w istocie o bardziej niesamowite widowisko: nieszczęśni niewolnicy, drżący ze strachu przed totalitarnym aparatem, zwracali się do swoich zagranicznych kolegów jako nosiciele dobrej nowiny, jako awangardowe skrzydło światowego katolicyzmu. Ich zadaniem było przekonywać opinię Zachodu — wtedy kiedy tortury doprowadziły biskupa Kaczmarka do stanu półświadości (wrzesień 1953), kiedy kardynał Wyszyński przebywał w więzieniu — że współzycie katolików ze stalinizmem rozwija się wspólnie. Co więcej, występowali z nową doktryną, w skład której wchodziła teza, że Kościół może być naprawdę wolny tylko w socjalistycznym (czytaj stalinowskim) ustroju i że, ponieważ zwycięstwo rewolucji (czytaj Rosji) jest nieuniknione, nikt inny jak oni sami są prototypem katolików jutra na całej kuli ziemskiej. Pojawiając się na różnych międzynarodowych zjazdach i zebraniach, wykorzystywali łatwowierność grup w rodzaju „Esprit” czy „Témoignage Chrétien” — łatwowierność czy też raczej dowolną ślepotę, bez której runęłaby cała frazeologia, uprawiana zresztą we Francji o tyle bezpiecznie, że nie zmienia ani na jotę francuskiej polityki.

Naurois nie wnika w personalia i takie litościwe zapuszczenie zasłony nad mnóstwem indywidualnych dramatów jest chyba słuszne. Zajmuje się obszerniej tylko dwiema postaciami: Piaseckim i Dobraczyńskim, jako wypadkami krańcowymi. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że Piasecki w więzieniu został uznany przez rosyjskich specjalistów za osobistość dostatecznie interesującą, żeby uniknąć szablonowego wyroku. Na odpowiedzialność autora podajmy, że dawny wódz „Falangi”, skazany na śmierć po prawej stronie Wisły w roku 1944, został „rozpracowany” przez dygnitarza świadomego trudności, jakie zapowiadał Kościół Katolicki, znacznie twardszy orzech do zgryzienia niż prawosławna cerkiew — generała NKWD Iwanowa Sierowa. Dobraczyński należy do innej kategorii. Charakterystyka jego wydaje się być całkiem trafna: przyłgął do postępowych katolików, bo uwierzył, że jest wielkim pisarzem — dzieła „polskiego Bernanosa”, jakim siebie mianował, nie mogłyby się, gdyby tego nie zrobił, ukazywać, wobec braku katolickich firm wydawniczych. Twórczość jego Naurois traktuje jako naśladowczą, z drugiej ręki, jako karykaturę francuskich pierwowzorów.

Pewne zdumienie autora budzi symboliczny niemal podział klasowy na „katolików postępowych” i katolików w Polsce. Za zasłoną dymną słów o robotnikach i rewolucji kryje się płochli-

wy rezerwat byłych właścicieli ziemskich z pewną ilością hrabiowskich tytułów (Łubieński, Krasiński). Natomiast hierarchia opierająca się podporządkowaniu Kościoła państwu składa się głównie z duchownych ludowego pochodzenia. Oto na przykład lista biskupów i wikarych kapitulnych uwieczonych przez UB.: kardynał Wyszyński (syn małego rolnika spod Łomży), Baziak, Adamski, Bednorz, Bieniek, Baraniak, Bernacki, Kaczmarek, Zink.

Sprawy ekonomiczne „Paxu” są wspomniane pobieżnie. Wiadomości w tym względzie dostarczyłby autorowi artykuł Leopolda Tyrmanda w warszawskim „Świecie” (z 18 listopada 1956 r.) pt. „Sprawa Piaseckiego”. Czytamy tam: „Są dane na to, aby przypuszczać, że działalność Piaseckiego nie była nigdy bezpośrednio subsydiowana, forma jaką znaleziono dla rozwiązania tego drażliwego zagadnienia należy do majstersztyków. Stworzono dwie centrale: przemysłową pod firmą INCO, zrzeszającą drobne zakłady produkcyjne, i handlową pod firmą VERITAS, monopolizującą handel dewocjonaliami i literaturą religijną. Obydwa te przedsiębiorstwa działają na zasadach rentowności inicjatywy prywatnej, korzystając jednocześnie z zasady wysokiego uprzywilejowania przedsiębiorstw państwowych. Rezultatem jest ogromna w polskich warunkach dochodowość — problem finansowania działalności politycznej „Paxu” rozwiązany został całkowicie, jeśli nie rzec, hojnie. W tych okolicznościach możliwe są wysokie pensje i zatrudnianie w oderwaniu od kryteriów ekonomicznych, z prostej tendencji wiązania ze sobą ludzi”.

Ku czemu innemu kieruje się uwaga autora: ku tekstom i dokumentom. Znając język polski, wspomagany przez przyjaciół Polaków (niektóre rozdziały, jak nas informuje, są pracą zespołową), zadał sobie trud przebicia się przez roczniki pism „Dziś i jutro”, „Słowo Powszechne” i innych paxowych wydawnictw. Nie przyszło mu to łatwo, bo musiał przewyciężyć nudę, jaka go ogarniała już po wchłonięciu niedużej porcji tej wykrętnej i zniewolonej prozy. Wykazał jednak rzadką pilność i napisał pierwszą monografię grupy na tle historii Kościoła w Polsce po 1944 roku. Książka jest w dużym stopniu analizą teologiczną — a zarazem czyta się ją niemal jak „science fiction”, do czego przyczyniają się i przedstawione zagadnienia i temperament piszącego.

Do roku 1917 najdoskonalszą tajną policją na kuli ziemskiej była carska Ochra. Jej tradycje nie zostały bynajmniej usunięte w cień, przeciwnie, rozwinięte i udoskonalone, posłużyły do rządzenia olbrzymim państwem i okazały swoją przydatność zwłaszcza w sferze religii, kiedy to Cerkiew, pozostając prawosławną w formie, stała się sowiecką w treści. Należy docenić gigantyczność i dalekowzroczność zamierzeń fachowców wychowywanych w dobrej szkole, kiedy zabierają się do przykrego dla siebie, bo mającego stolicę w Watykanie, katolicyzmu. Z książki Naurois dowiadujemy się, że w Leningradzie działa akademia

teologii katolickiej, z programem bez zarzutu. Profesorami są eks-księża, pupile otrzymują parodię święceń i odznaczają się znajomością filozofii św. Tomasza, św. Augustyna, prawa kanonicznego, doktryn mistycznych, większą nieraz niż prawdziwi księża. Dalekowzroczne zamierzenia Naurois określa jako chęć utrzymania katolicyzmu i wydrażenia go od wewnątrz, a więc *znaturalizowania religii*, czyli odcięcia jej od pierwiastka nadprzyrodzonego. Inaczej mówiąc słowo „Bóg” ma posłużyć do zabicia Boga. W tym świetle ukazuje rolę wyznaczoną grupie „Pax” i nie uważa za potrzebne zastanawiać się czy i w jakim stopniu jej członkowie działali świadomie skoro wyżej nici zbiegały się w ręku ludzi inteligentniejszych. Zarówno wielkość planu i niezwykła pomysłowość jego realizacji, jak szarość, drętwość i martwota zorkiestrowanych wypowiedzi „Paxu” (oznaka po której poznaje się kłamstwo) skłaniają go do wniosku, że cała ta walka z Kościołem, przy ciągłych zapewnieniach wierności, nie jest dziełem w skali ludzkiej to jest, że pionki porusza na szachownicy, jak go nazywa, „Inny” czyli po prostu diabeł. Podejrzenie to nie obejdzie zapewne bardzo paxowiczów, którzy nie zdają się wierzyć w istnienie Księcia Pychy. Nie zdają się też wierzyć w wiele innych nauk Kościoła, co naraża ich na przykrości. Katolicy z urzędowego przydziału, nienawidząc Watykanu, są skazani na picie z okropnymi grymasami święconej wody, bo gdyby stracili nazwę rzymskich katolików, ich polityczna użyteczność spadłaby do zera.

Nie-katolicki kronikarz miałby albo skłonność do czysto „agenturalnego” wytłumaczenia albo zapuszczałby się w psychologię — choć wtedy ugrzązłby w bagnach bez dna, dostępnych chyba tylko dla Rosjan. Katolicki kronikarz pracuje z czerwonym ołówkiem wybierając cytaty, bada jak zwiększały się stopniowo dawki filozofii historii, podmywając grunt religijny. Nie może oprzeć się podziwowi: oni *naprawdę* byli przekonani o swojej wielkości, choć dla czytelnika z zewnątrz ich artykuły są mgłą, papką, z trudnością nawet dającą się przetłumaczyć na francuski. Wyjaśnienia szuka w fakcie, że zagrzewali się i obkadzali wzajemnie, tracąc poczucie perspektywy. Hołdy dla wodza, Bolesława Piaseckiego, były zresztą obowiązujące i każdemu ruchowi jego pióra towarzyszyła cała kampania reklamy.

Dawki zwiększały się, aż do punktu szczytowego, jakim był traktat teologiczno-polityczny wodza: „Problemy zasadnicze”. U schyłku 1954 roku następuje zamknięcie wydziałów teologii na uniwersytecie warszawskim i jagiellońskim i otwarcie Akademii Teologii na Bieleńskich pod kontrolą „postępowców”. W grudniu tegoż roku Piasecki ogłasza pierwszy artykuł przedstawiający ideologię „Ruchu”.

Daty są pouczające. Wyciągnąć z nich można wnioski, jakich nie znajdzie się w monografii. Wiemy, że w kołach intelektualnych i wśród młodzieży pojawił się w roku 1954 ferment „odwilży” i że slogany stalinowskie traktowano już, w każdym

razie w rozmowach, jako godne tylko drwiny. Czym więc wytłumaczyć powagę, z jaką Piasecki właśnie wtedy wytacza cały ich arsenał w „kluczowym” dziele? Skąd ten brak wyczucia momentu? Odcięcie od dążeń i aspiracji całego narodu — mały zespół był nienawidzony przez wszystkich. Nie tylko chyba to. Jeżeli wkład marksizmu w dzieje myśli ludzkiej na dłuższą metę może okazać się wątpliwy, to daje on w każdym razie dialektyczną gimnastykę umysłu i pozwala uchwycić chwilę jako stanie się. Otóż istnieją mentalności niezdolne do przyswojenia dialektycznej „sprężynki”. O takich mówiło się w kołach katolickiej lewicy przed wojną, że mają „anima naturaliter endeciana”. Piasecki nigdy nie przeszedł przez marksizm. Od prawicowego totalizmu przeskoczył bezpośrednio do totalizmu stalinowskiego. Jego myśl poruszała się zawsze w tych samych trybach, zmieniał tylko terminologię. Stąd zapewne pochodzi jego sztywność. Jeżeli w październiku 1956 roku grał na grupę Natolin przeciwko Gomułce, ogłaszając 16. X. artykuł „Instynkt państwowy” w którym — jak to zrozumiała opinia publiczna — groził obcą interwencją, stało się to zapewne z wielu przyczyn. Paxowicze są ludźmi, na których raz dobrze w różnych więzieniach tupnięto i jakiegokolwiek wystąpienie przeciwko Koniecznościom Historii (czytaj: rosyjskim mocodawcom) budzi w nich zabobonny strach. Poza tym interes nakazywał trzymać z Natolinem: albo przyobiecane wysokie stanowisko dla wodza w rządzie (*Paliaki etoż reakcjonierzy, tak wot, dawaj, waźmiom reakcjoniera*) albo schyłek rządów UB i dogadanie się „liberałów” z hierarchią kościelną czyli kłeska dla „Paxu”. Niepoślednią jednak rolę mogła odegrać sama sztywność Piaseckiego, jego umysł anty-dialektyczny.

Zostawiając na boku większość sloganów, zatrzymajmy się nad tezą teologiczną (czy historiozoficzną) w „Problemach zasadniczych”. Ponieważ świat kapitalistyczny musi zginąć, katolicyzm, jeżeli chce przetrwać, powinien pozbyć się naleciałości epoki feudalnej i kapitalistycznej. Należy więc go oczyścić i ukazać samą istotę chrześcijaństwa, wyzwalać się z obawy, że „miłość do stworzeń może nam przesłonić miłość do Stwórcy”. Nieszczęście konserwatywnego katolicyzmu na tym polega, że zbyt podkreśla on „porządek Odkupienia” i Łaskę czyli kieruje uwagę człowieka ku pierwiastkowi zaziemskiemu, natomiast usuwa na drugi plan „porządek Stworzenia”, przez co zostaje poniżona godność pracy ludzkiej. Te dwa porządki powinny być uznane za równoległe. Chwali Boga nie tylko ten kto chce go chwalić, bo można go chwalić nie tylko *intencjonalnie* ale również *ontologicznie*, a więc przez same dzieła („budownictwo socjalistyczne”) i niezależnie od tego czy wierzy się czy nie wierzy w jego istnienie. Katolicy powinni się zrehabilitować wobec „ateistycznej partii klasy robotniczej” wykazując, że są gotowi wyrzec się biernej kontemplacji świata, będącej tylko pychą i lenistwem. Zrobią to, jeżeli wezmą udział w wyścigu produkcyjnym, zmieniającym oblicze ziemi. Nie powinni nawracać ateistów, ale

raczej wstydzić się, że ustępują w wydajności swoim braciom, którzy ontologicznie chwala Stwórcę. Religia powinna wykazać się swoją „funkcją produkcyjną, sprawdzalną w historii”.

Arbeit macht Frei. Orkiestra obozowa gra kiedy kolumny więźniów wychodzą do pracy, dla utrzymania pozorów rzetelności i dobrowolności (ontologicznej). Niedawno nakładem „Kultury” ukazał się tom opowiadań Leo Lipskiego „Dzień i Noc”, tak mniej więcej mający się do literatury „Paxu” jak malarstwo Hieronima Boscha do malarstwa Gierasimowa. Tytuł stąd pochodzi, że główne opowiadanie zbioru zdaje relację z wypadków jednego dnia i jednej nocy w obozie pracy przymusowej przy budowie kanału Wołga-Don. Rzecz dziwna, Piasecki, otwierając tę książeczkę, natrafiłby od razu na motto krótsze i trafniejsze niż jego wywody. Brzmi ono: „Niech będzie pochwalony obywatel Jezus Chrystus”. Co oznacza: Chrystus, owszem, pod warunkiem, że będzie pożyteczny dla państwa.

Filozofie pracy dzielią się już od dawna na dwa rodzaje — na te, które chcą służyć pracującemu człowiekowi i te, które chcą pomagać jego przełożonym. Pierwsze liczą się z faktem, że „nie samym chlebem żyje człowiek”. Drugie egzaltują wielkie osiągnięcia za obojętne jaką cenę i są filozofiami faraonów. „Piasecki — powiada Naurois — umieszcza pracę — „owoc Stworzenia” i „łaskę — owoc Odkupienia” na tym samym planie. Jego książka wykazuje całkowitą niewiedzę o porządku nadprzyrodzonym, więcej nawet: neguje ten porządek”.

Dzieło szefa przywitał chór pochwał w „Dziś i Jutro” i „Słowie Powszechnym”. Chwalił Micewski, Zabłocki, Danuta Gostyńska — która, cytując Arystotelesa, św. Tomasza, Orygenesusa unosiła się nad *spirytualizmem totalnym* mistrza — chwaliła (a co mieli robić) profesorowie Akademii Teologicznej na Bielanach. Największym figlarzem okazał się ks. prof. Seweryn Kowalski, który rozpytywał się nad stylem „godnym Tacyty” równocześnie przyznając, że głębia wyrażonych myśli jest trudno dostępna dla zwykłych śmiertelników, ze względu na „płodną zwięzłość” sformułowań.

Działo się to wszystko wiosną 1955 roku jakby nic z tego, co kipiało w Polsce, nie docierało do uszu zbyt zajętego swoim „Ruchem” grona. Zabawiano się w tępienie heretyków. Władysław Sehko ogłosił (brak czujności redaktora „Dziś i Jutro”) na Zielone Świątki artykuł czysto teologiczny, przedstawiając doktrynę Kościoła (jedność Stworzenia i Odkupienia za sprawą Ducha św.) i zaprzeczając przez to całkowicie Piaseckiemu. Ten numer starał się „Pax” wycofać z obiegu. Do przygwożdżenia odstępcy został wtedy odkomenderowany profesor Akademii na Bielanach, ks. Kwiatkowski.

Tymczasem w Watykanie badano teksty. Dekretem Świętego Oficjum z 28 czerwca 1955 roku „Problemy zasadnicze” Piaseckiego oraz tygodnik „Dziś i jutro” zostały umieszczone na indeksie. Tygodnik mimo to nie przestał się ukazywać. Nie wcześniej niż w rok z górą później sfuzjonował się z „Tygodni-

kiem Powszechnym" (zagrabionym krakowskiej Kurii i przekazanym przez UB wraz z tytułem, pupilom z „Paxu”) w pismo pod nową nazwą „Kierunki”. Dopiero Październik pozwolił na wznowienie „Tygodnika Powszechnego” przez dawny zespół redakcyjny „zwykłych” katolików.

Naurois doprowadza przygody „Paxu” do wczesnej jesieni 1956 roku. Książka jego, również ze względu na mało znane materiały (np. listy polskiej hierarchii kościelnej do Bieruta), zasługiwałaby na rozpowszechnienie także w innych językach. Należałoby życzyć, aby autor zaopatrzył ją epilogiem o losach grupy po nieszczęśliwym dla niej zdarzeniu, jakim było dojście Gomułki do władzy.



Jest rzeczą znaną, że człowiek nie widzi siebie z zewnątrz, oczami innych. Nie widzi również siebie z zewnątrz żadne środowisko. Dla czytelnika zachodniego opisana heca jest zjawiskiem klinicznym. Dla ich bohaterów rozwinęła się ona logicznie, świadczy o ich energii i pomysłowości. Jak się zdaje ich działania wynikały z następujących przesłanek: 1) Rosja zdobędzie władzę nad całą kulą ziemską (utrzymując wszędzie garnizony jak na Węgrzech?); 2) Katolicyzm albo się podda państwu albo zginie; 3) System rosyjski jest potworny i nieludzki a więc trzeba ratować co się da to jest własną skórę i wartości. Gdyż niewątpliwie wydając literaturę religijną (iakkolwiek bez „Imprimatur”, niekiedy tylko z „Auctoritatis Ordinarii”) „Pax” budował system samousprawiedliwień, który miał okupić i pomnażanie zwolenników przy pomocy obław policji i łgarstwa misjonarzy zagranicą. Miał złudzenie, że płaci cenę ale coś ocala i piana wściekłości na ludzi Watykanu, którzy „nie nie rozumieją” (to jest nie chcą uznać siły tanków) pojawiała się na ustach zupełnie szczerze. Inicjatywa zdawała się być własna i była rzeczywiście własna w tym stopniu, w jakim własnym prawem kieruje się sfalszowana kulka w ruletce, wygrywająca z górv upatrzone numery. Oczywiście używali, zależnie od indywidualnych kompleksów, najróżniejszych uzasadnień. Jedno ich łączyło: słaby bagaż intelektualny.

Weźmy okres ślubowań młodzieży oenerowskiej, albo z oenerowskimi ciągotami, na Jasnej Górze, jakiś rok 1938. Gdyby ktoś, obdarzony najśmielszą wyobraźnią, spróbował wtedy dać obraz przyszłości, nie odgadłby jakie zadania przypadną kiedyś niektórym z przywódców. Ówczesna, ośmielmy się użyć tego wyrażenia, współpraca a co najmniej cicha solidarność znacznej części polskiego kleru z młodzieńcami „robiącymi w katolicyzmie” i piekącymi przy jego ogniu totalitarną pieczeń, nie przynosi mu zaszczytu. Ulegając narodowej (z wieloma r w środku) atmosferze, biorąc narodowy obrządek za religijność, dopuszczając junctim między religią i polityką — hodował wrzód, który miał mu się później nieźle dać we znaki. Czego nie ma

w książce Naurois, to opisu gleby z jakiej wyrastają jednostki, uwrażliwione na „nakazy epoki”, które zawsze wydają się im pewnikiem. Zmianie ulegają u nich kolory i slogany, nigdy treść. Nie ma u Naurois zagadnienia odpowiedzialności polskiego katolicyzmu, jako pewnej formacji umysłowej, za narodziny „Paxu”.

Najgłośniejsza wówczas postać wśród prawicowej (czyli 80%) młodzieży — kim był Bolesław Piasecki? Nie da się zaprzeczyć, że wywierał wpływ magnetyczny, że powołany był na wodza. Intrygujący przez swoją milkliwość (słowo z ust wodza jest na wagę złota), blond bestia, otoczony przez adiutantki. Choć może słowo wódz nie jest tutaj właściwe, może raczej był powołany na księcia. Książę nie musi wyrażać swoich myśli. Wódz-demagog musi, choć, jak wykazały przykłady, znajomość logiki nie jest do tego potrzebna. Wskazana jest jednak pewna znajomość fragmentów zwulgaryzowanej wiedzy. Piasecki, zgodnie z upodobaniami dwudziestego wieku, budował ideologię, chciał być teoretykiem swego Ruchu czyli „Falangi”. Tutaj przegrywał. Zaintrygowany tą postacią (ciekawych ówczesnej aury można odesłać do powieści „Mury Jerycha” Tadeusza Brezy) zadałem sobie trud, żeby przeczytać programowe dziełko silnego człowieka o „rewolucji narodowej”. Wykraczało ono poza przeciętność tylko przez to, że, nawet jak na czasy dętosłowania, było zupełnym bełkotem. „Styl godny Tacyta” sprowadzał się do operowania zdaniem idealnie pustymi, wypranymi z rzeczywistości, które oddźwięk mogły budzić tylko u wielbicieli poddanych kolektywnie hipnozie.

Koła, które nazywano wtedy „żydo-masońskimi” patrzyły na tę fermentującą bogoojczyźnianą Polskę ze zgrozą. Katolicy w tych kołach byli nieliczni, ale byli. Jako przykład mogę przytoczyć jednego z moich przyjaciół, który zawsze był uważany za „żydomasona”, zawsze skrupulatnie chodził do kościoła, po wojnie nie wstąpił do Partii i chodzić do kościoła nie przestał, swój nieufny stosunek do polskiego katolicyzmu zachował, a każdą wzmiankę o „Paxie” zbywał tym samym parsknięciem, jakim zbywał kiedyś „Falangę”. Pomimo wielkich wstrząsów historycznych, zachowała się do dzisiaj coś jakby ciągłość środowiska tak zwanych intelektualistów. Awansowało ono społecznie po wojnie (Ważyk zajął miejsce Radziwiłła, Przyboś hr. Tarnowskiego) znieprawilo się nieźle przez zrośnięcie się z „aparatem”, ale przetrwał kodeks elitarny zabarwiony snobizmem. Rzecz ciekawa, powojenna grupa Piaseckiego, złożona przecie z redaktorów i piszących, notowana była w tym środowisku jako poniżej poziomu. Partyjni ostrzegali swoich przyjaciół przed aferą nieczystą, bardziej powściągliwi mrugali tylko znacząco. Natomiast „katolicy zwykli” (i bez totalitarnej przeszłości) iak Stefan Kisielewski, Jerzy Turowicz, Stanisław Stomma mieli, mimo że ich gnębiono, w świadomości środowiska (przysłumionej lękiem) pełne prawo obywatelstwa. Granie Piaseckiego na Natolin w październiku da się zinterpretować jako przedłużenie starego kon-

fliktu z intelektualami, tym razem szalejącymi odwilżowo. „Noc długich noży” miał tym razem zrealizować generał Witaszewski.

Polski katolicyzm, jako siła konserwatywna, przechylająca szalę na rzecz prawicy, był od dawna przedmiotem troski kół intelektualnych. „Pax” jest parodią innego prądu, który zrodził się w początku lat trzydziestych w wileńskiej organizacji studenckiej „Odrodzenie”. Próbę ożenienia katolicyzmu z marksizmem zrobił wtedy Henryk Dembiński. Intencje jego były czyste, niechęć do „anima naturaliter endeciana” i do „katabasów” wynikała z tych cech umysłu, po których poznaje się lewicowca. Chociaż jednak skłonny do retoryki, Dembiński był człowiekiem wykształconym i dość szybko zrozumiał, że godzenie nieadekwatnych doktryn prowadzi tylko do mętniactwa. Został więc komunistą, co zresztą nie rozwiązało wcale jego wewnętrznych trudności.

Katolicyzm może współżyć z najrozmaitszymi ustrojami społecznymi — nie wiele podobieństw znajdzie się pomiędzy Rzymem Justyniana, Florencją XIV-go wieku, Francją III Republiki, Stanami Zjednoczonymi Eisenhowera. Nie widać powodów, dla których nie mogłby współżyć z gospodarką socjalistyczną. Tylko w totalitarnym kapitalizmie państwowym z urzędową filozofią obowiązującą wszystkich nie ma dla niego miejsca. „Zbliżenie” pomiędzy nim i marksizmem jest w ogóle niemożliwe, z tego choćby względu, że ten ostatni podaje się nie za filozofię a za naukę. Wolno przypuścić, że rezultat działalności „Paxu” jest wręcz odwrotny do zamierzonego. Przez swój parodystyczny charakter skompromitował on wszelkie próby przerzucenia doktrynalnego pomostu i doprowadził do jasnego podziału na dwie sfery, zgodnie z przypowieścią o monecie, którą daje się Cezarowi.

Warto jednak nie zapomnieć o korzeniach „Paxu” to jest o identyfikacji Naród-Kościół, o tym zroście, jaki powstał głównie chyba wskutek oporu przeciwko różnym zaborcom. Stąd ta zaciekłość w mobilizowaniu Kościoła jako siły politycznej — albo zaślanianie się nim i podgryzanie go od wewnątrz. „Pax”, nie ma co owijać w bawelnę, jest tworem „Polaków-Katolików”. Znacznie przyjemniejszym dla mnie osobiście typem są Polacy bez tego dodatku i katolicy bez tego dodatku — choćby zdarzyło się, że są narodowości polskiej i wyznania rzymsko-katolickiego.

Czesław MIŁOSZ

Najnowsza historia Polski

Historia Dwudziestolecia

Drugi tom *Najnowszej Historii Polski* Wł. Pobóg-Malinowskiego, obejmujący lata : 1919-1939, ukazał się z dwuletnim opóźnieniem. Mimo ogromnych rozmiarów (665 stron), jest to dopiero pierwsza część. Druga, poświęcona losom Polski w latach drugiej wojny światowej, ukaże się na wiosnę tego roku.

Można różnie zapatrywać się na tak długą zwłokę w wypełnieniu zobowiązania wobec subskrybentów polskich z całego świata, nie sposób jednak, biorąc książkę do ręki, odmówić autorowi okoliczności łagodzących. Planowane przez niego pierwotnie ramy 320 stron w toku pracy okazały się niewystarczające. Gdyby szło o studium odosobnionego epizodu historycznego, do którego znaleźć można źródła w jednej bibliotece, albo, w najgorszym razie, w bibliotekach jednego miasta, czy choćby kraju, złe rozplanowanie czasu i rozmiarów pracy wymagałoby surowej krytyki. Co innego jednak, gdy chodzi o historię dwudziestu lat bytu państwowego i pięciu lat wojny, pisaną w warunkach emigracyjnych, na podstawie źródeł rozproszonych, przeważnie znajdujących się poza krajem pobytu piszącego. Teoretycznie autor popełnił błąd w punkcie wyjścia : nie należy, mówią reguły, przystępować do redagowania książki przed zebraniem wszystkich materiałów. W praktyce zastosowanie tej zasady nie leżało w możliwościach pisarza emigracyjnego, który dopiero po zebraniu części środków w drodze subskrypcji rozpocząć mógł poszukiwanie źródeł i badanie ich w kilku krajach.

(*) Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza Historia Polityczna Polski*. 1964-1945. Tom drugi. Część pierwsza. Londyn, 1956.

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

W miarę postępu swych studiów dokonywał autor odkryć rewelacyjnych i to nie tylko dla nas, czytelników, ale dla niego samego, tak przecież związanego swą pracą naukową z najnowszą historią Polski. Wł. Pobóg-Malinowski miał od dawna ustaloną reputację pracowitego szperacza archiwalnego. W toku pisania swej książki zgłębił nie tylko archiwa znane, istniejące w Instytucie Gen. Sikorskiego, ale zdołał uzyskać dostęp do archiwów Prezydenta Rzeczypospolitej, dotychczas nietkniętych przez badaczy. Przystudiował olbrzymią ilość oficjalnych wydawnictw archiwalnych i zbiorów dokumentów, angielskich, amerykańskich i francuskich, oraz książek, rozpraw, artykułów i wspomnień, rozproszonych w czasopiśmie polskich i obcych, a na historię 25-lecia mogących rzucić światło. Łuki w archiwach naprowadziły go na źródła żywe, skłoniły do zbierania relacji wśród żyjących, wybitniejszych uczestników, lub współtwórców wydarzeń. Stworzył w ten sposób własne, bezcenne archiwum relacji, zachowując dla przyszłych historyków źródła, które bez jego inicjatywy prawdopodobnie nigdy by nie powstały. Poszukiwanie relacji doprowadziło do odkrycia mniej, lub bardziej ważnych, ale dotychczas zupełnie nieujawnionych archiwów prywatnych. W rezultacie autor stanął przed kopalnią materiałów i przed alternatywą: napisać, stosownie do zobowiązania, tom o 320 stronach, ale bez możliwości wykorzystania odkrytych przez siebie i nieznanym społeczeństwu źródeł, czy też zaryzykować dwa lata pracy dodatkowej i potrojenie rozmiarów książki, w nadziei, że subskrybent wybaczy opóźnienie i wzrost ceny, skompensowane bogactwem treści. Wybrał drugi termin alternatywy i chyba słusznie. Nie popełnimy przesady, stwierdzając że dokonany został wysiłek, który byłby olbrzymi w warunkach normalnych, a który w warunkach emigracyjnych może być uznany za nadzwyczajny. Nie wiadomo, jak prędko podejmie się inny historyk polski wykonania pracy, wymagającej podobnego wysiłku. Wątpliwe, aby to mogło nastąpić na emigracji, skoro nie nastąpiło w ciągu pierwszego dziesięciolecia jej dziejów. Można z całą pewnością ustalić, że żaden przyszły historyk dwudziestolecia państwowości polskiej i pięciu lat wojny, ani żaden poważny publicysta, czy pisarz polityczny nie będzie mógł pominąć książki Pobóg-Malinowskiego i przejść nad nią do porządku bez względu na swój do niej, lub do jej autora, stosunek. Ta książka jest nie tylko pierwszym, źródłowym opracowaniem, jest także cennym dla przyszłych badaczy przewodnikiem do źródeł, tak opublikowanych, jak jeszcze nie ujawnionych.

Z naukowego punktu widzenia jest ona dziełem kunsztu dojrzałego, wydoskonalonego w ciągu wieloletnich studiów i wysublimowanego w głębokim przeżyciu epoki. Pobóg-Malinowski był zawsze pisarzem obozu Piłsudczyków i biografem Józefa Piłsudskiego. Tym razem nie wszyscy spośród jego przyjaciół politycznych przyjmą tę książkę z zadowoleniem. Jest w niej widoczna, bardziej, niż kiedykolwiek przedtem, troska o wyjście poza ramy orientacji politycznej i o wzniesienie się na taki poziom,

z którego byłoby możliwe ogarnąć spojrzeniem całość wydarzeń we właściwych proporcjach. Sądy o partiach politycznych w Polsce wypadają surowo, a jak chodzi o prawicę, wręcz bezlitośnie, nie oszczędzają jednak Piłsudczyków, zwłaszcza w okresie pomajowym, szczególnie po śmierci Piłsudskiego. W stosunku do Brześcia autor zajmuje postawę wyraźnie negatywną, braki i wynaturzenia rządów pomajowych odsłania z bólem, ale i z odwagą. W stosunku do ludzi jest, powiedzmy, pesymistycznie obiektywny, a wyraża się to w rozdzielaniu razów na prawo i na lewo, w podkreślaniu, często w przerysowywaniu wad i błędów, w wyprowadzaniu na światło dzienne raczej mniej szlachetnych pobudek działalności publicznej. Gdyby ktoś powiedział, że Pobóg-Malinowski jest niesprawiedliwy, musiałby przyznać, że jest niesprawiedliwy wobec wszystkich, że uprawia obiektywizm *à rebours*, że stosuje równie dotkliwą krytykę wobec wszystkich ludzi i wszystkich kierunków politycznych, działających w okresie dwudziestolecia. Nie ulega wątpliwości, że prawica walczyła z Piłsudskim, zarówno w okresie kongresu wersalskiego, jak w czasie wojny polsko-ukraińskiej i polsko-sowieckiej, jak później wreszcie, przed i po maju, bez skrupułów, i nieraz z wątpliwym zrozumieniem interesu państwa. Było jednak w stosunku prawicy do Piłsudskiego więcej obarczeń przeszłości i zabobonnego lęku o wpędzenie Polski w żydo-masońską niewolę, niż prawdziwej nienawiści, a tam, gdzie ona istniała, byłaby niezrozumiała gdyby nie miała wytłumaczenia. Nie można znaleźć tego wytłumaczenia inaczej, jak w gwałtownym starciu się ciasnego nacjonalizmu, zmierzającego do państwa narodowego, z koncepcją z początku federacyjną, a po jej załamaniu się w 1920 roku ponadnacionalistyczną, poszukującą dla Polski własnej pozycji między Niemcami i Rosją w celu uczynienia z niej ośrodka przyciągania dla słabych sąsiadów. Był ten nacjonalizm polskiej prawicy krótkowzroczny, nie liczył się z duchem epoki, nie widział, że w dwudziestym wieku naród dwudziestopięciomilionowy nie posiada żadnych szans zasymilowania dziesięciu milionów mniejszości narodowych, ani trzymania ich w posłuchu, jego antysemicka podstawa ideowa musiała prowadzić z czasem do hitlerowskich niemal wynaturzeń, był jednak określoną orientacją polityczną, zmuszającą swych zwolenników do zajmowania takiej, a nie innej postawy, zupełnie niezależnie od stosunku do jednostki, wywierającej wpływ na rozwój państwa polskiego w kierunku odmiennym.

Z wyraźnym żalem pisze Pobóg-Malinowski o odchodzeniu PPS po 1918 roku od Piłsudskiego i jego koncepcji rządzenia, a nawet od jego programu polityki zagranicznej, zarówno w latach 1919-1921, jak i później, ale zdaje się nie dostrzegać, że od chwili minięcia przystanku „Niepodległość” socjalistyczny tramwaj polski nie mógł posuwać się gdzie indziej, jak tylko w kierunku realizowania socjalizmu i że powrót do wierności doktrynie był nieunikniony z chwilą, gdy cel pośredni, żeby nie powiedzieć uboczny (z punktu widzenia doktryny) został osiągnięty.

nięty. Bez tego rozstania PPS nie mogłaby pozostać na socjalistycznej drodze. Wzajemne ciążenie do siebie starszych Piłsudczyków i starszych socjalistów, związanych wspólną przeszłością w walce o niepodległość, trwało do końca, były okresy politycznego zbliżenia i nawet współdziałania, ale nic już nie mogło powstrzymać logicznego raczej biegu wydarzeń. Rewolucja majowa bez rewolucyjnych konsekwencji, jak z dumą podkreślał Piłsudski, miała na celu dokonanie konsolidacji młodego i słabego państwa, oraz zakończenie procesów zjednoczeniowych, jako warunku dla następnego etapu reform społeczno-ustrojowych. Nie można się dziwić, że PPS, partia socjalistyczna, poparliszy, choć nieproszona, przewrót majowy, pragnęła rewolucyjnych konsekwencji, a jej rozczarowanie musiało przekształcić się w opozycję. Dzisiaj, z dystansu historycznego wiemy, że na postęp w kierunku socjalizmu mogą sobie pozwolić narody zasobne, a próby jego realizacji metodami rewolucyjnymi, w krajach ubogich, wewnętrznie niedostatecznie skonsolidowanych, były przeprowadzane, jak dotychczas, tylko w drodze przymusu, poprzez poniżenie jednostki i obniżenie stopy życia ludności. Z dystansu historycznego patrząc, skłonni będziemy sądzić, że eksperyment konsolidacyjny Piłsudskiego był usprawiedliwiony i konieczny jako ewentualne przygotowanie do ewolucji w kierunku socjalistycznym, ale w okresie samych wydarzeń mogło to uchodzić uwadze ludzi PPS, nie stawiając automatycznie pod znakiem zapytania uczciwość pobudek ich działania.

Przejmujący jest obraz „Polski bez Piłsudskiego”, pełen rewelacji wstrząsających nieraz, społeczeństwu polskiemu, a nawet ludziom, tkwiącym głęboko w życiu politycznym, dotychczas nieznanym. Z jednej strony szamotanie się Piłsudczyków, pozbawionych busoli, usiłujących dochować wierności zmarłemu wodzowi, stąd poszukujących przykładów w jego działaniu, w sytuacjach już nieaktualnych, z drugiej strony opozycja, zagubiona w jałowej negacji, niezdolna do porozumienia się i stworzenia wspólnego programu działania, nie marząca już prawie o powrocie do udziału w rządach. Z jednej strony procesy podziałowe na szczytach obozu rządzącego i próby rozszerzenia bazy rządzenia, nie doprowadzone do końca, z drugiej strony, opozycyjnej, rezygnacja ze śmielszych inicjatyw, wtedy właśnie, gdy mogły one paść na grunt podatny. Po raz pierwszy ujawnione zostały i wniesione na karty historii, rojące się od rewelacyjnych szczegółów, takie sprawy, jak zagadnienie następstwa po prezydencie Mościckim, tragedia Sławka, stosunek między Zamkiem i Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych, przyczyny rezerwy Piłsudczyków wobec gen. Sosnkowskiego, opartej nie na pewności, a na domniemaniu tylko, jakoby Piłsudski był mu niechętny po maju 1926 roku. Na tle stosunku Zamek-G.I.S.Z. wyjaśnia autor sprawę głośnego okólnika o drugiej osobie w państwie, charakteryzując dobitnie pogwałcenie zasad konstytucyjnych, które Piłsudski sam szanował i szanować polecał. „Nie walczone z jego imieniem, lecz pod osłoną tego

imienia obalano jego zasady", oto ocena nie tylko tego, ale i innych sprzeniewierzeń wobec wskazań, przez Piłsudskiego udzielonych słowem, czynem, lub przykładem.

Podobnie, jak przy sądach, wypowiedzianych o opozycji, dostrzec się daje skłonność autora do wyolbrzymiania czynnika personalnego, lub ambicjonalnego w wypadkach, w których przyczyny konfliktów wśród Piłsudczyków były głębsze i miały charakter programowy, lub nawet ideowy. Nie byłem nigdy związany z grupą „Naprawy”, ale znając niektórych jej przywódców i wybitniejszych działaczy, jej wydawnictwa, należące do najciekawszych w polskiej literaturze politycznej, jej działalność społeczną równie rozległą, jak poważną, nie mógłbym tej grupie odmówić znamion wyraźnie zarysowanej osobowości politycznej i prawa do przejawiania jej na równi z innymi kierunkami. Dążenie min. Kwiatkowskiego do autonomii wewnątrz rządu i do skupienia pod swym kierownictwem resortów gospodarczych choć sprzeczne z konstytucyjną zasadą jednolitości rządu, tłumaczy się chyba nietyle względami ambicyjnymi, ile podziałem rządu na dwa zespoły, prezydencki i Rydzowy, oraz powierzeniem premierostwa jednej z najbardziej wprawdzie mało znanych postaci w życiu polskim, ale odznaczającej się na pewno wygórowaną skłonnością do identyfikowania sztuki rządzenia państwem z ważnym skądinąd zagadnieniem utrzymania porządku.

Doskonale odtworzył autor i wyświetlił proces narastania autorytetu Rydza Śmigłego, odpowiadający instynktownej skłonności społeczeństwa do skupienia się przy zagadnieniu obrony państwa, skoro klasyczne formacje polityczne uległy rozproszkowaniu i przestały wypełniać swe zadanie organizowania woli mas. Z chwilą wyeliminowania od przodowniczej roli w życiu politycznym Sławka i Sosnkowskiego i wobec niedostatecznej popularności Miedzińskiego, ograniczonego w swej działalności, jeszcze za życia Marszałka, do terenu parlamentarnego, prasy i kulis, wyrośnięcie Rydza Śmigłego, którego wypowiedzi, pełne zdrowego sensu, nikogo nie drażniły, było nieuniknione, wciągając niepotrzebnie w orbitę polityki wewnętrznej najlepszego z naszych generałów. Poczucie odpowiedzialności, wynikającej z wyniesienia go na pozycję drugiej osoby w państwie i następcy Prezydenta, zaciąży fatalnie na jasności myśli Naczelnego Wodza w nieszczęśliwej kampanii wrześniowej i doprowadzi go do tragicznej decyzji opuszczenia granic państwa wraz z tymi, którzy, jak Prezydent i Rząd, mieli obowiązek to uczynić.

Wielką zasługą Pobóg-Maliowskiego jest wprowadzenie do historii Polski okresu dwudziestolecia problemów mniejszościowych, zwłaszcza żydowskiego i ukraińskiego, dotychczas przemilczanych, pomimo, że ciążyły zarówno na polskiej polityce wewnętrznej, jak zagranicznej. Dla młodego pokolenia, zwłaszcza wyrosłego w kraju, po wojnie, rewelacyjne będzie odświeżenie problemów, obecnie już nieistniejących, a jeżeli, to w innym wymiarze i w innym ciężarze gatunkowym. Dowie się ono rzeczy

tak zadziwiających, a przez urzędową historiografię komunistyczną fałszowanych, jak to, że Polska niepodległa nie była antysemicka, że jedyne stronnictwo, programowo antysemickie, brało udział w rządach tylko epizodycznie, a problem nadmiaru Żydów w Polsce był wielką troską działaczy i polityków żydowskich, którzy razem z rządem poszukiwali rozwiązań. Fakty współdziałania z neo-sjonizmem, z Żabotyńskim, z Weitzmannem, późniejszym pierwszym prezydentem Izraela, szkolenie instruktorów „Irgunu”, organizacji bojowej, która w wysokim stopniu przyczyniła się do stworzenia niezależnego państwa żydowskiego, rzucają zupełnie nowe światło na sprawę żydowską w Polsce międzywojennej, nie umniejszając właściwej grozy sytuacji, polegającej na istnieniu w tym czasie przeszło trzymilionowej masy, przeważnie nędzarzy, dławiącej, jak polip, choć nie ze swej świadomej winy, rozwój polskich miast i życia gospodarczego.

Przedstawienie problemu ukraińskiego uderza szczerością, która nie pomija nawet faktów, uchodzących, jakże nieraz słusznie, za wstydlive. Autor ugina się wyraźnie pod ciężarem tego doniosłego zagadnienia, którego społeczeństwo polskie, żyjące w euforii świeżo odzyskanej, własnej państwowości, nie doceniało i ogranicza się raczej do pracowitego uszeregowania faktów pozytywnych i negatywnych, niczego nie zatajając, a poprzestając na odważnej analizie, która go doprowadza do bezradnego rozłożenia rąk. Czytelnik, wyrobiony politycznie, opierając się na materiale, dostarczonym przez tę książkę, będzie musiał dokonać sam syntezy, przed którą wstrzymał się autor i wysnuć niewątpliwą chyba wniosek, że w granicach z 1921 roku Polska nie mogła być ani państwem narodowym, ani narodowościowym. Nie mogła być państwem narodowym z powodu posiadania blisko trzeciej części ludności niepolskiej, nie mogła być państwem narodowościowym o ustroju federacyjnym, gdyż ziemie ukraińskie i białoruskie należały w przytłaczającej większości do Rosji Sowieckiej i stamtąd, a nie tylko z Niemiec była Polska bezustannie zagrożona irredentą. Dla konstytucyjnej idei „Rzeczypospolitej — wspólnego dobra wszystkich obywateli” trzeba było powolnie i mozolnie zjednywać dopiero zarówno opinię polską, jak opinię mniejszości narodowych autochtonskich, zwłaszcza ukraińskiej. Nawet ten zorganizowany politycznie odłam narodu ukraińskiego, który z U.N.D.E.M. na czele poszedł z nami na ugodę, traktował ją jako tymczasowe załatwienie sprawy, nie wyrzekając się dążenia do niepodległości. Zagadnienie mniejszości narodowych, zarówno żydowskiej, jak ukraińskiej i białoruskiej z jednej strony, a niemieckiej z drugiej strony, w tej formie, w jakiej ciążyło nad Polską między dwiema wojnami, należy już chyba do okresu, historycznie zamkniętego.

Jeżeli chodzi o politykę zagraniczną, to społeczeństwo polskie, z natury bardzo wrażliwe, a politycznie dopiero dojrzewające, miało niewątpliwą skłonność do ulegania sugestii epizodów, zapoznając linie rozwojowe i warunki, które wpływały na ich

bieg. Hołdy, składane Beckowi po jego mowie, odrzucającej pretensje Hitlera w maju 1939 roku były tak samo przesadne, jak krzywdzące były oskarżenia i potwarze, rzucane na niego przedtem i potem. Pobóg-Malinowski poświęca w swej książce wiele miejsca kongresowi wersalskiemu i konferencji w Spa, bo w tym to właśnie okresie zarysowały się obiektywne warunki, w których musiała się następnie rozwijać polska polityka zagraniczna do katastrofy 1939 roku i które w dużym stopniu trwają i obecnie. Trudno o słuszniesze sformułowanie, jak to, że stosunek wielkich mocarstw do Polski był pochodną ich stosunku do Rosji, wszystko jedno, carskiej, czy komunistycznej i że polityka polska musiała się z tym liczyć. Teheran i Jalta mają swoje wytłumaczenie w Wersalu i w Spa, podobnie, jak linia Curzona. Wrogi Polsce cynizm Churchilla i Roosevelta jest tylko wzmocnioną odbitką cynizmu Lloyd George'a, a Bevin z roku 1945 jest tym samym Bevinem, który z bezprzykładną ignorancją sprzeciwiał się w 1920 roku pomocy materialnej dla Polski „reakcyjnej” w jej walce z „demokratyczną” Rosją Sowiecką.

Doskonale opracowany rozdział: „Taganrog-Moskwa-Kijów” jest źródłowym studium naradzania się samodzielnej polityki polskiej, której kulminacyjną próbą realizacji była umowa z Petlurą w kwietniu 1920 i operacja na Kijów. Wbrew opinii wybitnych nawet pisarzy i publicystów polskich to poszukiwanie dla Polski własnej drogi w układzie stosunków międzynarodowych i związane z nim zacięte spory, wynikało nie tyle z doktrynalnego starcia się koncepcji państwa narodowego z koncepcją Jagiellońską, ile z oceny warunków obiektywnych, dokonanej przez Piłsudskiego, a uchodzącej uwadze ludzi i partii, powolniej, niż on wyzwalających się z orientacji politycznych okresu przedniepodległościowego. Pod koniec życia Dmowski poszedł dalej w krytycznym stosunku do Francji, niż kiedykolwiek Piłsudski. Zmiażdżenie Polski przez Niemcy i Rosję we wrześniu 1939 roku było w wielkim stopniu następstwem załamania się koncepcji Piłsudskiego rozszerzenia przestrzeni między Niemcami i Rosją i zorganizowania jej w zespół państw, powiązanych wspólnymi interesami. Widział on w realizacji tej koncepcji element polskiego systemu bezpieczeństwa, równoległy do sojuszów z państwami zachodnimi, których nigdy nie był pewny z uwagi na ich tęsknotę do odnalezienia i pozyskania rosyjskiego partnera.

Dopóki trwały warunki obiektywne, towarzyszące tworzeniu się państwa polskiego w latach 1918-1921, a trwały one do roku 1939 i później, dopóty polska polityka zagraniczna dwudziestolecia, łącznie z okresem Becka, miała swoje uzasadnienie, bez względu na wszystkie niezręczności i błędy w jej wykonaniu.

Historia polskiej polityki zagranicznej okresu dwudziestolecia w ujęciu Pobóg-Malinowskiego prowadzi do wniosku o niezmiernej wadze: polityki polskiej nie wolno zamknąć w dylemacie: z Niemcami czy z Rosją, bo odpowiedź na ten dylemat jest tylko jedna: zależność. Jak wiemy, dylemat ten narzuca

krajowi Rosja Sowiecka, szkalując politykę Polski Niepodległej zarzutem orientacji proniemieckiej i przeciwstawiając jej własny system protekcyjny. Książka Pobóg-Malinowskiego otworzy oczy młodemu Polakom w kraju na dwudziestoletni wysiłek poszukiwania własnej, polskiej drogi między Niemcami i Rosją i może będzie zasiewem pod podobny wysiłek w zmienionych warunkach polityczno-geograficznych.

Przy powierzchownej lekturze książka Pobóg-Malinowskiego wywiera, w pierwszej chwili, wrażenie deprymujące. Jeden z krytyków literackich zauważył niedawno, że literatura emigracyjna odznacza się pesymizmem. Możliwe, że ta książka doświadcza w pewnym stopniu klimatu, w którym powstała. Słyszałem opinię, że po jej przeczytaniu można zwątpić w naszą dojrzałość do życia państwowego, tyle w niej faktów świadczących o zacofaniu, ciemnocie, zaciętrzewieniu, warcholstwie, samolubstwie grup i jednostek, braku odpowiedzialności wobec państwa, wspólnego dobra obywateli. Słyszałem obawy o wpływ zniechęcający, jaki ta książka może wywrzeć na młodzież, nie znającą Polski przedwojennej.

Wspomniałem wyżej o zbyt silnym wysunięciu w tej książce na pierwszy plan czynnika personalnego, który często przesłania podłoże polityczne, lub ideowe, uzasadniające w świecie wolnym spory i zatargi. Z tym zastrzeżeniem nie widzę w tej książce niczego, co wystawiałoby Polakom gorsze świadectwo, niż jakimkolwiek innemu narodowi. Pod warunkiem, oczywiście, że weźmie ją do ręki czytelnik o pewnym poziomie kulturalnym, a nie analfabeta polityczny, no i z zastrzeżeniem, że nie jest ona ani podręcznikiem szkolnym, ani książką do nabożeństwa. Życie narodu jest sprawą, niestety, o wiele bardziej skomplikowaną, niż zabawa grzecznych dzieci. Są w nim nie tylko cnoty, ale i brudy, nie tylko słońce, ale i plamy. Literatura apologetyczna nauczyła nas frazeologii, nie mającej pokrycia w rzeczywistości. Wolę szczery rachunek sumienia z wyliczeniem wszystkich grzechów, bo tylko uświadamiając je sobie, możemy z nimi walczyć. W relacji Pobóg-Malinowskiego społeczeństwo polskie, a nawet jego elita polityczna nie przedstawia się gorzej, niż jakiegokolwiek inne. Na pewno mniej u nas było nadużyć finansowych, korupcji, zabójstw, zdrady, ograniczenia wolności kardynalnych, może nieco więcej zacofania, warcholstwa, prostactwa, oszczerstw i zaciętrzewienia. Czytelnik nie powinien zapomnieć, w toku czytania tego ogromnego tomu, o pierwszym rozdziale, w którym autor charakteryzuje pokolenie, działające w latach : 1918-1939. Uformowało się ono w trzech różnych państwach zaborczych, w trzech różnych klimatach psychicznych i szkołach myślenia, a jego patriotyzm polegał przede wszystkim na walce z państwem, które było obce i objętne, albo znieprawdzone. Nasze partie i ich działacze wnieśli do życia w niepodległej Polsce metody i tradycje sporów orientacyjnych, kiedy zwalczały się w tajności i po ciemku, więc w zaślepieniu. Tworzenie państwa spadło na pokolenie, umie-

jące raczej walczyć z państwem. Stuletnia przerwa w tradycji państwowej musiała ciążyć przez pewien czas nad życiem polskim.

Straszliwe ubóstwo Polski było w znacznej mierze dziełem zaborców, wstrzymujących się od inwestycji na kresach swych państw, przeznaczonych na pola bitew, a w pewnym stopniu skutkiem zniszczeń wojennych. Trzy zabory, które weszły w skład państwa polskiego, nie miały połączeń komunikacyjnych, ani powiązań gospodarczych. Trzeba było dopiero stworzyć. Państwo o dziwnych granicach posiadało w swym łonie prawie jedną trzecią ludności niepolskiej, narzędzie obcej irredenty, ciągle zagrażającej rozkładem. Trzeba było czasu, aby ten obszar o przypadkowym kształcie i z tyloma obciążeniami skonsolidować i przekształcić na normalny organizm. Mimo wszystkich błędów i wad polskich, mimo wszystkich przeszkód, wznoszonych przez obce ręce, był niewątpliwy postęp. Polska zaczynała rozwijać się gospodarczo, społecznie, kulturalnie i uspakać politycznie. Przewrót majowy nie narzucił obroczy paraliżującej, Piłsudski nie stworzył monopartii, a jego system, świadomie nie przetworzony w konstrukcję prawną-organizacyjną, jak w dyktaturach, wygasł, gdy zabrakło płomienia i w miarę, jak społeczeństwo polskie uczyło się żyć we własnym państwie, jak dochodziło do głosu pokolenie, później zwane „średniackim”, któremu obce były tradycje okresu niewoli. Kto o tym pamiętać będzie, tego nie wprowią w depresję fakty, odsłonięte nieraz brutalnie, czasami zbyt często a zawsze z chęcią niezatajenia niczego. Czytelnik krajowy, po przeżyciu 12-tu lat rzeczywistości, wobec której nasze przedwojenne stosunki przypominają sielankę, przyjmie tę książkę z zadowoleniem, może właśnie dlatego że nie jest ona bezkrytyczną apologią dwudziestolecia a mówiąc o przeszłości tyle gorzkich prawd, skuteczniej może działać, jako przeciwwaga leninowsko-stalinowskiego zakłamania, szerzonego w Polsce w okresie Bieruta i Rokossowskiego. Sekcja polska radia francuskiego otrzymuje z Polski setki listów od ludzi wszystkich zawodów i poziomów wykształcenia, domagających się tej książki. Nie udźwignie tego ciężaru wydawca, którym jest sam autor. Powinienby się tym zająć jakiś emigracyjny organizm społeczny.

Na zakończenie kilka uwag formalnych.

Zbyt mała ilość rozdziałów, 13 w stosunku do 665 stron tekstu, czyni książkę mało przejrzystą. Druk niesłychanie zwały, mały garmont, nuży przy czytaniu. Pragnąc w jak najszerzych rozmiarach wyzyskać zebrany przez siebie materiał, autor wyraźnie nadużywa odsyłaczy, które służą mu nie tylko, jako uzupełnienie tekstu, lub wskazanie źródeł, ale często, jako równoległy do tekstu głównego nurt wykładu. W tych warunkach odszukanie fragmentu, czy epizodu będzie sprawiło niemałe trudności czytelnikowi, który historii dwudziestolecia nie zna i dla którego ta książka będzie pierwszym źródłem.

Sprawa indeksu nazwisk i nazw miejscowości, wymienionych w książce, to paląca konieczność naukowa, której zlekce-

ważenia nie można sobie po prostu wyobrazić. Niestety, pełny indeks nazwisk i nazw geograficznych do obydwuch tomów wymaga 40 stron druku, a tego nie wytrzyma nawet obecna już powiększona cena książki. Autor, nie mając doświadczenia wydawniczego, popełnił ten błąd, że mimo potrojenia rozmiarów tomu nie śmiał podwyższyć ceny tak, aby pokryła wszystkie koszty i został wobec tego zmuszony do zastosowania drakońskich, a raczej, powiedzmy szczerze, niedopuszczalnych oszczędności. Jakkolwiekbyśmy na tę sprawę patrzyli, trzeba uratować pełną wartość naukową tej książki, która przestała być własnością Pobóg-Malinowskiego a stała się jedną z najchlubniejszych pozycji polskiego dorobku piśmienniczego na emigracji. Powinny znaleźć się środki na wydanie uzupełnienia, które zostałyby następnie rozesłane do wszystkich subskrybentów i nabywców. Uzupełnienie to, powinno by zawierać, oprócz indeksu nazwisk i nazw geograficznych, także co najmniej jeden szkic i jedną mapę.

Mam na myśli szkic do bitwy sierpniowej, bez którego zrozumienie idei i przebiegu największego, naszego zwycięstwa w wojnie o niepodległość jest zupełnie wykluczone. Czytelnik emigracyjny, z nielicznymi wyjątkami, nie rozporządza innymi mapami Polski, jak jednoarkuszowe, lub ściennie. Nie znajdzie na nich Serocka, Nasielska, Karczewa, Góry Kalwarii, Kocka, Sławotycz, Kałuszyna, Tłuszcza, a nawet Radzymina i Dęblina. Nie znajdzie rzek, jak Wisznica, Wilga, Bystrzyca, a często nie znajdzie nawet Wieprza i Wkry. Nie zrozumie niczego.

Podobnie paląca jest konieczność umieszczenia w uzupełnieniu chociaż jednej mapki. Powinnaby ona zawierać granice obszaru, uwolnionego w listopadzie 1918 roku i stanowiącego bazę rozwojową państwa, linię traktatu wersalskiego na zachodzie i północy, linię najdalejszego zasięgu oręża polskiego w 1920 roku, linię z 1792 roku, linię Dmowskiego, linię traktatu ryskiego i linię Curzona.

Z tymi wszystkimi zastrzeżeniami, nieuniknionymi, gdy chodzi o dzieło o takich rozmiarach i w tak ciężkich warunkach stworzone, trzeba stwierdzić, że książka jest znakomita i zajmie w historiografii polskiej pozycję pierwszej konstrukcji źródłowej, obejmującej okres dwudziestolecia niepodległości i losy Polski w ciągu pięciu lat drugiej wojny światowej. Czyta się ją łatwo z uwagi na jasność i potoczność stylu, nieco uroczystego, bo autor należy do wielbicieli Żeromskiego. Pewien nadmiar przymiotników, superlatywów i synonimów, zgrupowanych zwykle po trzy, zdradza manierę. Drobiazg to bez znaczenia. Nie potrzeba czekać na ukazanie się drugiej części żeby stwierdzić, że Wł. Pobóg-Malinowski, jako historyk, wypełnił swoje zadanie emigranta politycznego.

Polonica na uniwersytetach kanadyjskich

W Kanadzie, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, wiele uczelni jest instytucjami prywatno-publicznymi. Zostały założone i często znajdują się nadal w rękach i pod kontrolą poszczególnych grup wyznaniowych. Nie znaczy to oczywiście, że uczelnie mają charakter czysto wyznaniowy, a więc, że zespoły profesorskie oraz studenckie należą do określonego wyznania. Wszystkie uczelnie, niezależnie od tego komu podlegają, są dostępne dla studentów wszystkich wyznań, posiadają profesorów różnych wyznań, oczywiście z wyjątkiem wydziałów teologicznych. Wyznaniowość wyższych uczelni nie jest również naruszeniem zasady wolności akademickiej, wolności nauki. Katolicki uniwersytet OO. Oblatów w Ottawie, dokładniej jego wydział medyczny, we wstępie do programu wykładów na rok 1955-1956 głosi „iż nie wierzy by należało ‘wolności akademickiej’ używać jako pretekstu do nauczania systemów niszczących wszelkie formy wolności”.

Wychodząc z tego stanowiska wydział ogłosił rodzaj dekalogu, zapewne obowiązującego nie tylko Uniwersytet Ottawski lecz i wszystkie uniwersytety katolickie w Kanadzie, oraz w Stanach Zjednoczonych. Brzmi on :

„Wierzimy w Boga.

Wierzimy w osobistą godność ludzką.

Wierzimy, że człowiek posiada pewne prawa pochodzące od Boga a nie od państwa.

Jesteśmy przeciwni wszelkim formom dyktatury głoszącym, iż „totalny człowiek” należy do państwa.

Wierzimy w świętość ogniska domowego jako podstawy społeczeństwa.

Wierzimy w naturalne prawa własności prywatnej, lecz oczywiście ta własność posiada zobowiązania społeczne.

Wierzimy, że Praca posiada nie tylko prawa lecz i obowiązki.

Wierzimy, że Kapitał posiada nie tylko prawa lecz i obowiązki.

Jesteśmy zdecydowanie przeciw wszelkim formom prześladowania względnie nietolerancji na tle rasowym, koloru skóry, języka oraz religii.

Wierzmy, iż wolność jest świętością ale prawo regulujące wolność mieści w sobie święte zobowiązania.

Wierzmy w wyrażanie tych wszystkich podstawowych wolności Chrześcijańskiej Demokracji i swobodnie, otwarcie podejmujemy rozprawę z wszelkimi odmianami fałszywej demokracji.

Wierzmy, po krótko, w naukę Chrystusa i Jego Kościoła i uważamy, iż moralność musi regulować życie osobiste, rodzinne, gospodarcze, polityczne i międzynarodowe, o ile cywilizacja nasza ma pozostać”.

Oprócz takich deklaracji uczelnie wyznaniowe są regulowane przez prowincje, ale nie brak i pośredniej ingerencji rządu federalnego. Czynne są również uczelnie świeckie, rywalizujące z wyznaniowymi. I one nie są instytucjami czysto publicznymi, gdyż opierają się na dotacjach i fundacjach prywatnych, korzystając jednocześnie z pomocy rządów prowincjonalnych oraz rządu federalnego. Rozwój uczelni jest wprost proporcjonalnie uzależniony od wspomnianych dotacji. I tak na przykład uniwersytet Mc Master w Hamilton, Ont., który był uczelnią założoną i prowadzoną przez kongregację baptystów prowincji Ontario i Quebec, przeszedł — wskutek braku środków finansowych — na uczelnię świecką. Władze uniwersyteckie stwierdziły, że wyznaniowy charakter uniwersytetu wpłynął hamująco na dotacje prywatne (zarówno jednostek jak i zrzeszeń przemysłowych) wobec czego postanowiono, iż kongregacja zachowa jedynie wydział teologiczny przekazując wszystkie pozostałe kolegium świeckiemu.

Ustrój wewnętrzny uniwersytetów kanadyjskich jest również odmienny od europejskich. Wydziały nie są sztywne i nie są odpowiednikami europejskich. Różne instytucje działają w ramach uniwersytetów jako oddziały wydziałów. Prawie na wszystkich uczelniach poszczególne wydziały prowadzą kursy letnie, które pozwalają nie tylko na dokończenie dyplomantów lecz zastępują normalne studia uniwersyteckie. Uniwersytety kanadyjskie były i są nastawione przede wszystkim na dostarczenie krajowi najbardziej niezbędnych pracowników fachowych stąd największy nacisk kładzie się na wydziały praktyczne. Donatorzy wpłacając uniwersytetom pewne sumy, czy to w formie finansowania katedr czy stypendiów studenckich, lokują niejako kapitał, który winien przynieść godziwe odsetki. Przemysł stalowy, maszynowy, elektryczny czy naftowy nie jest zainteresowany w wychowaniu sinologów czy egiptologów, romanistów czy sławistów, ale inżynierów, pracowników nauk technicznych. Student, względnie jego rodzice, dokładnie obliczwszy koszty lat uniwersyteckich, wybiera taki przedmiot studiów, który w możliwie krótkim czasie zwróci z naddatkiem te koszty i zapewni młodemu człowiekowi należyte dochody. I dlatego też, w zależności od popytu rynkowego, Uniwersytety w Kanadzie wydały kadry prawników, lekarzy i inżynierów, natomiast stosunkowo mało pracowników innych dziedzin. Brak na przykład tutaj nauczycieli wszelkiego typu i od kilku lat pokrywa się ten brak na rynku brytyjskim. Nie tylko zresztą ten.

Centralny aparat urzędniczy uległ szybkiej rozbudowie dopiero w latach ostatniej wojny. Obecnie wymaga się od urzędników państwowych studiów uniwersyteckich. Służba zagraniczna jest bardzo młoda, lecz rozwija się szybko i wchłania świeże, młode siły — absolwentów różnych fakultetów. Zapewnia ona stałą pracę dyplomantom nauk humanistycznych, które uchodziły dotąd za „niepraktyczne”. Jest wysoce prawdopodobne, że powstanie tych nowych możliwości wpłynęło w dużym stopniu na powstanie działów

slawistycznych a przede wszystkim na rozwój rusycystyki. Nie jest więc przypadkiem, że powstanie tych wydziałów poprzedziło wprowadzenie języka rosyjskiego w następujących uczelniach: University of Western Ontario w London; Mc Master University, Hamilton; Queen's University, Kingston. W dalszym ciągu na wszystkich wydziałach slawistycznych, rusycystyka zajmuje czołowe miejsce a wielu studentów innych wydziałów studiuje dodatkowo język rosyjski, historię ZSSR, itp.

Wydziały slawistyczne, względnie katedry języków i literatury słowiańskiej, istnieją obok wyżej już wymienionych trzech uczelni, na następujących: University of Manitoba, Winnipeg; University of British Columbia, Vancouver; University of Alberta, Edmonton; University of Saskatchewan, Saskatoon; University of Toronto; Université de Montreal; McGill University, Montreal; Université d'Ottawa. W zespole wykładowców przeważają specjaliści europejscy, w tym uchodźcy powojenni. W tej grupie niewątpliwie najpoważniejszym i najczynniejszym pracownikiem naukowym jest prof. Jarosław B. Rudnycki z Uniwersytetu Manitoba. Cały zespół polskich slawistów rozpoczął również swoją działalność po wojnie, dokładniej w latach 1948-1949. Z przybyciem slawistów europejskich datuje się powstanie i rozwój tych studiów na wymienionych uniwersytetach. Bez ich wkładu mielibyśmy przypuszczać jedynie katedry rosyjskie.

Uczelnie zachodnich prowincji, a więc Manitoby, Alberty, Saskatchewan i Brytyjskiej Kolumbii, obok rusycystyki mają katedry ukraińskie a polonistyka znajduje się na ostatnim miejscu. Katedry ukraińskie obsadzone są przez ukraińskich profesorów a studenci również są pochodzenia ukraińskiego. Najczęściej są to synowie względnie wnukowie imigrantów. Trzeba pamiętać, że w trzech pierwszych wymienionych prowincjach, odsetek ludności ukraińskiej jest poważny i że stanowią one centrum ukraińskiego osadnictwa rolnego. Druga i trzecia generacja ukraińska odgrywa poważną rolę i w miastach. Pierwsza fala ukraińskiej inteligencji dała prawników i lekarzy a dalsza wypełnia luki na innych odcinkach.

Polonistyka usadowiła się mocno na dwóch uniwersytetach katolickich: OO. Oblatów w Ottawie i OO. Dominikanów w Montrealu. Obecny dział nauk słowiańskich na uniwersytecie ottawskim, który powstał w czerwcu 1953 roku, wywodzi się z założonego w 1949 roku „Institut Est et Sud Européen”. Obecnie wykłada tam sześciu profesorów, w tym dwaj poloniści: prof. dr. Jan Wanczycki, sekretarz dziekana wydziału sztuk, i prof. Paweł Wyczynski. Profesorowie N. Lewicki i dr Wiktor Litwinowicz (z Warszawy) wykładają język i przedmioty rosyjskie podczas gdy profesorowie V. Kaye (syn niedawno zmarłej w Ottawie znanej działaczki, dziennikarki ukraińskiej, senatorki R.P. Olgi Kisielewskiej) i C. Bida zajmują katedry ukraińskie. Niektórzy z tych profesorów prowadzą również wykłady na innych wydziałach.

Znajdziemy jednakże Polaków-wykładowców na różnych wydziałach, ogółem około 20: a więc dr T. Jost, geograf; Roman Gajda, kartograf; dr Jerzy Wojciechowski, filozof; dr Stanisław Judek, ekonomista; dr Teodor Blachut, fotogeometria; dr Witold Rodys, nauki polityczne; dr Henryk Papee (syn ambasadora przy Stolicy Apostolskiej) chemik. Na wydziale medycznym wykładają: dr Stanisław Bobra, dr Antoni Fidler, dr Konstanty Maziec i dr Zygmunt Menzyk (wyjechał już do Stanów Zjednoczonych). W Instytucie psychologii wykłada prof. dr W. Szyryński, cieszący

się wielkim wzięciem jako praktykujący lekarz. Zestawienie nasze nie jest pełne, lecz stanowi dostateczną ilustrację polskiego „stanu posiadania” na tej uczelni. Fakt, że większość parafii polskich w Kanadzie jest Oblackich niewątpliwie zaważył na tym żywym zainteresowaniu się polskimi pracownikami naukowymi przez uniwersytet ottawski.

W centrum studiów słowiańskich Uniwersytetu Montreal znajdują się między innymi następujący Polacy wykładowcy: dr Teodor Domaradzki, kierownik centrum, profesor literatury i kultury polskiej; dr Jerzy Adamkiewicz, historia; dr Wacław Babiński, historia ekonomii i geopolityka; Maria Mazur, instruktorka kultury i historii sztuki; mgr Mieczysław Nowojski, lektor geografii; dr Ludwik Rabcewicz-Zubkowski, język polski i cywilizacja słowiańska; dr Piotr Radwański, prehistoria i etnografia; mgr Kazimierz Rowicki, literatura polska; dr Mieczysław Sangowicz, historia i zagadnienia geopolityczne; dr Henryk Wójcik, rusycystyka. Na kursach wakacyjnych wykładają dodatkowo inni profesorowie. Ponadto znajdujemy jeszcze na tym uniwersytecie następujących polskich pracowników naukowych:

Dr. Wincenty Adamkiewicz, docent, fizjologia; Maria Olga Podoska, asystentka, bakteriologia; dr Maria Dobija-Domaradzka, asystentka, bakteriologia; dr Kazimierz Berse, docent, chemia; dr Władysław Openchowski, profesor, fizyka; Zofia Lechno-Wasiutyńska, starsza asystentka, fizyka nuklearna; ks. dr Stefan Wierciński, docent, filozofia chrześcijańska; dr Boleśław Szczeniowski, profesor, termodynamika.

Zespół polski Mc Gill University w Montrealu przedstawia się następująco:

Adam Bursa, asystent, biologia; Lucyna Kapica, asystentka, bakteriologia; dr Wacław Kozakiewicz, profesor, matematyka; dr Olgierd Lindan, asystent, medycyna kliniczna; dr Helena Mahut, wykładowczyni, psychologia; Irena Mazurkiewicz, asystentka, farmakologia; dr Wojciech Nowaczyński, asystent, biochemia; dr Jerzy Olszewski, docent, neuro-anatomia; dr Hanna Pappius, asystentka, biochemia; dr Wiesław Pierozyński, docent, neurologia; mgr Tadeusz Romer, docent, literatura francuska; Andrzej Schalley, asystent, biochemia; inż. Juliusz Stachiewicz, wykładowca, termodynamika; inż. Jan Schreiber, wykładowca, architektura; dr Stanisław Skoryna, chirurgia; dr Wacław Kozakiewicz, profesor, matematyka; dr Olgierd Lindan, asystent w Montrealu docentem chemii jest dr Ludwik Ujejski.

Te dane orientacyjne ilustrują wcale poważny wkład Polaków do wyższego szkolnictwa, do rozwoju nauki w Kanadzie. Dla uzyskania pełnego obrazu należałoby umiejscowić Polaków pracujących na placówkach naukowo-badawczych poza uniwersytetami, co jednak stanowi zagadnienie oddzielne.

Centrum studiów sławistycznych Uniwersytetu Montrealskiego przystąpiło do wydawania kwartalnika, pierwszego czasopisma sławistycznego w Kanadzie. W pierwszym numerze polonistyka wysunęła się na czoło, gdyż znajdujemy cztery artykuły z tej dziedziny. Wydział sławistyczny na Uniwersytecie w Toronto powstał w 1949 roku dzięki dotacji Fundacji Rockefellera w wysokości 100.000 dolarów na okres pięciu lat. Pierwszym jego kierownikiem był kanadyjski sławista profesor Shor, w ostatnim roku akademickim miejsce jego zajął młody uczonec dr Jerzy Łucki, syn senatora R.P. Ostapa Łuckiego. I tutaj główny nacisk położono na rusycystykę. Ponad 80 procent studentów studiuje rosyjski. Prof. Łucki wyjaśnia, że prowadzi się wykłady

z zakresu kultury słowiańskiej, które oczywiście uwzględniają kulturę polską. Pragnąłby wprowadzenia polonistyki, ale jak dotychczas nie ma na to funduszy ani też studentów. Organizacje ukraińskie przeznaczyły dla studentów przedmiotów ukraińskich stypendia po 150 dolarów rocznie. Dotacja na katedrę ukraińską wynosi 10.000 dol. Kongres Polonii Kanadyjskiej, okręg Toronto, zakupił z funduszu Mickiewiczowskiego książki dla Wydziału za sumę 500 dol. Jest to skromny, lecz cenny dar.

Prof. Łucki, mówiący oczywiście doskonale po polsku, skończył w 1937 roku gimnazjum we Lwowie, a studia uniwersyteckie odbywał w Berlinie, Cambridge, Birmingham, wyjaśnia dalej iż zainteresowanie sławistyką wzrasta wprawdzie powoli, lecz systematycznie. Studenci pochodzenia słowiańskiego stanowią minimalny odsetek. Dotkliwą bolączką jest brak należytej biblioteki. Utyskiwania prof. Łuckiego, którego wydział posiada 5.000 tomów z olbrzymią przewagą pozycji w języku rosyjskim, dzielają wszystkie wydziały sławistyczne.

Księgozbiór słowiański i wschodnio-europejski Uniwersytetu Montrealskiego liczy około 3.900 tomów, w tym około 1.200 poloniców, a Uniwersytetu Ottawskiego około 3.000 tomów, w tym 1.500 poloniców. Wszystkie uniwersytety przystąpiły do uzupełnienia swoich księgozbiorów. Biblioteka uniwersytecka w Toronto pozyskała doskonałego pracownika w osobie dr. Wiktora Turka, wnikliwego i solidnego historyka osadnictwa polskiego w Manitobie, który zajmuje się między innymi działem słowiańskim, co daje gwarancję iż uzupełnienie księgozbiorów pójdzie w należytych kierunku.

Sławistyka jest w Kanadzie jeszcze bardzo młoda. Przed nowym pokoleniem sławistów stoją ogromne zadania.

Benedykt HEYDENKORN.



POMOC DO POLSKI LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOSC

Katalog 100 popularnych paczek
oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)
na żądanie. Przyjmujemy zamówienia ze
wszystkich części świata.

HASKOBA LTD.

— 121, Earls Court Road, London. S.W.5.

Telefon : FREmantle 7888/9

Przekształcamy Nagrodę Literacką „Kultury”

OPINIA SĄDU KONKURSOWEGO

Na ostatni konkurs nadesłano *dziewięć* rękopisów, to jest mniej niż na konkursy poprzednie. Wynik ten tłumaczyć można osłabieniem zainteresowania konkursem wśród piszących emigrantów lub po prostu faktem, że piszących na emigracji jest niewielu, że czas ich jest ograniczony przez inne zajęcia i nie starcza go na większą produkcję literacką.

Za tym ostatnim przypuszczeniem przemawia nie tylko liczba, lecz i inne właściwości nadesłanych rękopisów. Większości uczestników konkursu nie brak na pewno talentu. Wielu posiada szerokie i różnorodne doświadczenie, sprzyjające twórczości literackiej. Utwory ich nie stoją jednak na poziomie ich talentów. Widoczna w nich chwiejność kompozycji, niezrównoważenie wewnętrzne i pobieżność opracowania są brakami wynikającymi zazwyczaj z pracy w pośpiechu. Żaden z nadesłanych utworów nie wykazuje większej ambicji artystycznej. W niektórych dostrzec można próby sprostania wymaganiom popularnych magazynów, jak gdyby autorzy tych utworów przygotowywali się do pisania zarobkowego.

Z nadesłanych utworów sąd konkursowy wyróżnił trzy: szkice pt. „U źródeł życia”, górujące nad innymi świeżością talentu, lecz nierówne i niewykończone; „Chleb moich braci”, utwór przedstawiający karierę cywilną byłych polskich lotników w Kanadzie, wyróżniający się interesującym wyborem tematu i starannością opracowania, lecz grzeszący brakiem równowagi wewnętrznej, niezbędnej rodzajowi epickiemu; wreszcie opowiadanie z stosunków argentyńskich pt. „Recreo”, uderzające talentem, któremu nie dorównuje jednak ambicja artystyczna i budowa utworu.

Sąd Konkursowy nie przyznał nagrody żadnemu z tych utworów i — wyciągając wnioski także z całości nadesłanych rękopisów — zaproponował wydawnictwu „Kultura” następujące zmiany w regulaminie nagrody literackiej „Kultura” :

1) Rozciągnięcie nagrody „Kultura” udzielanej utworowi literackiemu napisanemu na emigracji również na książki wydane w ciągu roku. Formuła ta pozwoli w przyszłości na nagrodzenie utworu wydanego już, jeśli wśród nadesłanych na konkurs rękopisów żaden nie będzie odpowiadał wymaganiom sądu konkursowego.

2) Stworzenie równoległej nagrody literackiej „Kultura”, w tej samej wysokości pieniężnej, przyznawanej utworowi literackiemu wydanemu w Polsce, lub nadesłanemu w rękopisie z Kraju. W razie nagrodzenia rękopisu krajowego, „Kultura” podejmie się jego wydania, podobnie jak będzie to mieć nadal miejsce przy nagrodzeniu rękopisu emigracyjnego.

OD WYDAWNICTWA

Przychylając się do wniosku sądu konkursowego „Kultura” ustala na rok 1957 dwie nagrody literackie: krajową i emigracyjną, w wysokości 100.000 franków fr. każda. O nagrody te mogą się ubiegać autorzy niewydanych rękopisów, które winny być nadesłane do redakcji „Kultura”, podpisane nazwiskiem autora, przed 1-szym grudnia 1957. W razie nagrodzenia rękopisu, „Kultura” podejmuje się jego wydania. Jeśli żaden z rękopisów nie zostanie nagrodzony, „Kultura” przyzna nagrodę autorom książek (krajowej i emigracyjnej), wydanych w ciągu roku 1957.

Autorzy i wydawnictwa proszeni są o nadsyłanie książek dla członków jury na adres Redakcji „Kultura”.

REDAKCJA

Wyróżniony obraz Z. Turkiewicza

Nagroda Plastyczna „Kultury” na rok 1957 przyznana została Zygmuntovi Turkiewiczowi za obraz „Marynarz w barze”.

Zygmunt Turkiewicz jest malarzem zamieszkałym w Anglii od roku 1946. Urodzony w roku 1912 w Lubelskim, ukończył Liceum Krzemienieckie oraz Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie. Bierze udział w Kampanii Wrześniowej jako podporucznik 6 pp. Legionów. Internowany na Łotwie, wywieziony do Rosji (Kozielsk, Łubianka, Butyrki, Gruzowiec) wraca do wojska w chwili jego powstania w ZSSR. W armii generała Andersa zajmuje następnie stanowisko kierownika działu plastycznego Wydziału Propagandy. Jest także autorem Albumu rysunków „Monte Cassino”, wykonanych w czasie akcji.

Po wystąpieniu z wojska wraca do malarstwa, pracuje stale w bardzo ciężkich warunkach materialnych. Otrzymuje nagrodę, ufundowaną przez Polskie Oddziały Wartownicze w Niemczech, zdobywa następnie jeszcze dwie nagrody na konkursach angielskiego miesięcznika „Furnishing” (projekt na dywan i projekt na tkaninę). Wystawiał w Beaux Arts Gallery w Londynie.

Obraz nagrodzony „Marynarz w barze”: ciepłe i zimne zółcie w tle. Głębokie ciemne zielenie i czarny błękit ubrania i czapki. Chłodne tony fajki. Szaro-różowy obrus na stole. Szaro-perłowe światła i różowe refleksy na twarzy.

Zamieszczamy reprodukcję zakupionego obrazu.

REDAKCJA

Ostatni polski encyklopedysta

WSPOMNIENIE O JÓZEFIE MICHAŁOWSKIM

Rodzinną anegdotą burżuazja ogłupia swoje dzieci. Poprzez pokolenia przekazuje się płaskie zwykłe i pozbawione konturów historyjki. Tworzą one rodzinną „historię”. W powiedzonkach

dziadków, wypadkach wujów i legendarnych roztargnieniach ciotek rozpoznają się rodziny podobnie jak narody w bitwach i dumnych wypowiedziach „wielkich ludzi”. A wtedy Wuj Franciszek: „Nie do mnie tak Panie, nie do mnie...” Ciotka Klara jej na to: „*Après vous, Madame...*” Prababka była w Paryżu kiedy wieża Eiffel miała tylko jedno piętro... Na ten bal dziadek sprostował HOMARY... Oto już fundamenty rodzinnego mitu, formuły wtajemniczenia w „godność”, „prostotę” i „hojność”. Inteligentni skądinąd ludzie gotowi są przekazywać te recepty klanowego ezoteryzmu, które błyszczą im tylko widomym blaskiem. Proust dziwi się kiedy zabawny i bystry Bloch cytuje idiotyczny kalambur: odkrywa potem że ten kalambur, zasłyszany od ojca przez dziesięcioletniego Blocha, zachował dla niego prestiż nietknięty przez późniejszy rozwój.

Jeśli zaczynam wspomnienie o Józefie Michałowskim od tej napaści na wspominkarstwo whistem, bridżem i polowaniem pływające poprzez polskie ziemiaństwo, to dlatego, że anegdota i historyjka zajmują tak dużo miejsca w rodzinie Michałowskich i w życiu Pana Józefa, ale są *inne*, przeobrażone: stoją na granicy twórczości artystycznej. Trzeba je z miejsca wyodrębnić od innych „tradycji” rodzinnych, które uwieczniają epizody normalne, chcąc jak gdyby chronić klan od śmierci magiczną i powtarzającą się formułą o chybionej kuropatwie czy zjedzonych 24-ch pączkach. Michałowscy zbudowali, kapryśnie i szczerze, w ustnej, nietrwałej i niezapisanej formie, polski teatr absurdu. To co dali w Anglii Edward Lear, we Francji Jarry czy Alphonse Allais, Michałowscy tworzyli po małopolskich dworach, chichocząc po kątach w przerwach między lekturą Micheleta i Gibbona. Michałowscy: Pan Józef i Pan Władysław, jego dawno zmarły brat, byli prekursorami Gombrowicza. Myślę że mieli prawdziwy talent. Pan Józef miał go na pewno. Ale wychowany w intelektualnej i poważnej tradycji owej znikomej mniejszości polskiego intelektualnego ziemiaństwa, miał zabobonny kult do wielkich brodaczy dziewiętnastego wieku. Michałowscy, Górcy, Morawscy, kilka innych rodzin, to w morzu zamożnego ziemiaństwa oddanego kartom, polowaniom, resursom i Klubowi Myśliwskiemu, jakby znikomy odpowiednik jakiejś polskiej tradycji „whigowskiej”: liberalni, towarzyscy, zafascynowani kulturą i nauką. Dla Pana Józefa pojęcie „dzieła” łączyło się z „Decline and Fall of the Roman Empire” (dwadzieścia cztery tomy, trzy metry na półce), z brunatnymi grzbietami „Histoire du Consulat et de l'Empire”, z zapachem lipskiej drukarni na pożółkłych stronach Mommsena, z „*oeuvres complètes*” Bruckhardta, pisanymi na przestrzeni pięćdziesięciu lat. Może marzył mu się czasem przykład chorowitego Gibbona, który pół życia spędził jeżdżąc pocztowymi karocami po Europie Karolingów, zanim zaczął w Lozannie opisywać gasnącą świetność Rzymu? Pamiętam jak mówiąc o szczęściu cytował mi Pan Józef post-scriptum Gibbona: jego spacer nad Lemanem po napisaniu ostatniej strony „Schyłku i Upadku”. Józef Michałowski miał w swojej rzym-

skiej bibliotece, która ofiarował po pierwszej wojnie światowej Polskiej Akademii Umiejętności wszystkie te wielkie dzieła i wiele innych. Ale były mu one także bliskie wewnątrznie, stanowiły dla niego wzór oddechu, pracy całego życia, dokumentacji. Dlatego zapewne jego dowcip, żywa i kapryśna wyobraźnia, prawdziwy smak słowa i ironia z jaką lubił przebijać najpoważniejsze banały nie wyraziły się inaczej jak w rozmowie, jak w zbiorze historyjek i powiedzonek, jak w urojonych postaciach które wraz z bratem powołał do życia i z którymi gawędził do końca w najbardziej nieoczekiwanych chwilach. Niektóre jego historyjki zapowiadały styl całej literackiej awangardy, którą wyprzedził o kilkadziesiąt lat: teatrzyk Gałczyńskiego, sztuki Ionesco. Pamiętam opowiadanie o „polskiej wdowie”, która jedzie bryczką „z welonem i kłopotami”. Dużą rolę grała w nim dykcja, zwięźanie samogłosek, skandowanie słów: „Czym się wdówę zajmuje? — Zej-mu-je-się-in-té-ré-sé-mi...” Albo długie rozważania semantyczne, dotyczące najczęściej używanych w polskich dworach słów: czym jest „ręczna robótką”? Co to znaczy „dużo podróżował”, „człowiek wykształcony” czy „dobre wychowanie”. Rzadko tak się śmiałem jak przy tych błyskotliwych i nieodtworzalnych wywodach, którymi Pan Józef pieczętował śmierć skostniałego języka. Czasem przerywał nam rozmowę, niewidzialny Cyckarz, imaginacyjny totumfacki Michałowski, rodzaj małopolskiego Sancho-Pansy, który zwykle mówił bardzo nietaktowne prawdy. — „Proszę nam nie przeszkadzać, mój Cyckarzu”, uciszał go Pan Józef, ale na moje nalegania powtarzał z czym się znów Cyckarz wyrwał.

Polska nie jest szczęśliwym krajem dla ekscentryków. W dziewiętnastym wieku zimowali po kresowych matecznikach, robiąc krótkie wypady do wileńskiego czy lwowskiego George’a. Wybaczano im chętnie pijaństwo, łowieckie blagi, ramolowate „przysłowia”, metrowe wąsy. Rzadszym egzemplarzem był ekscentryk cywilizowany, który tak ożywił szarżyznę wiktoriańskiej Anglii. Franciszek Fiszer żył życiem kawarnianym, chyba raczej oderwany od warszawskiej ulicy, dowcipnej i żywej, ale przywiązanej do własnego stylu. Może dobrze się stało że Józef Michałowski spędził ostatnie czterdzieści lat życia w Rzymie. Ściślej mówiąc, w trójkącie starego Rzymu między Panteonem, Palazzo Venezia i Piazza Navona. Znali go tam i lubili wszyscy: drobni rzemieślnicy, dorożkarze, sprzedawczynie w cukierni Ruschena, kwiaciarki na Placu Hiszpańskim, garzoni (bo przecież nie „kelnerzy”) po tavernach i trattoriach. „Il Conte Furioso” — słynne gniewy Pana Józefa skojarzyły go w mitologii rzymskiego ludu z Orlandem Tassa — rozmawiał zawsze ze wszystkimi. Jedno z bardziej antypatycznych utartych pojęć polega na rzekomej bliskości „arystokracji” i „ludu”. Jest to banał chętnie kulturowany przez arystokrację (gdyż podkreśla jej pogardę do „klas średnich”) i nieraz chętnie przyjmowany przez „lud” (gdyż uzasadnia jego niechęć do „burżuazji”). W stosunkach Michałowskiego z Rzymianami nie było śladu tej fałszywej

poufałości, opartej na umownym „zachowaniu dystansów”, na feodalnym anachronizmie. Jednym ze stałych konceptów Michałowskiego była „scala di benevolenza”, rodzaj cenzurki życzliwości, po której wszyscy jego znajomi jeździli niemal co dzień w dół i w zwyz. — „Gdzie jestem dziś na Scala di Benevolenza?”, zapytywała ciekawie sprzedawczyni gazet. — „Baaardzo wysoko”, odpowiadał poważnie Michałowski. Bywały epizody bardziej dramatyczne. Bezkompromisowy antyfaszysta, Pan Józef bardzo się zmartwił konkordatem zawartym pomiędzy Watykanem i Włochami Mussoliniego. Przypisywano wówczas Piusowi XI powiedzenie, że dla dobra Kościoła podpisałby pakt nawet z wysłannikiem diabła. Pan Józef jechał wtedy któregoś dnia rzymskim tramwajem razem z dużą grupą zakonnic. Poczciwe siostry nagle zauważyły, że ten piękny, wysoki, starszy pan z Legią Honorową w butonierce zachowuje się dziwnie. Kurczy się, wydaje z siebie niepokojące dźwięki, operuje parasolem pod połam płaszczem niby ogonem. Kiedy zakonnice dobrze już nastraszone, skupiły się w czarne stadko pod skrzydłami przełożonej, Michałowski zapytał nagle grobowym głosem: — „Czy siostry wiedzą, kim jestem?” — „N-n-nie...”, zaszemrały siostry. I wtedy huk: — „*Sono l'inviato del Diavolo*, jestem wysłannikiem diabła i właśnie jadę do Watykanu...” Popłoch sióstr, radość innych pasażerów.

Jeśli zaczęłem od tej strony najłżejszej Józefa Michałowskiego, od jego humoru, zabawnych kaprysów, uroczej wyobraźni, to dlatego że najbardziej go bodaj za to wszystko lubilem. Ale jeśli tak było, to znów dlatego, że ten prawdziwie twórczy, absurdalny humor był połączony z olbrzymią kulturą, z imponującą dyscypliną naukową. Michałowski miał coś z „wiecznego studenta”, ale na modłę bardziej osiemnastowieczną niż współczesną. Nie wiem ile lat spędził w Oxfordzie, na Sorbonie, w Heidelbergu. Nie wiem jakie miał dyplomy, podejrzewam, że brał się do nowej gałęzi wiedzy nie dlatego, że coś „ukończył”, ale że wpadł na jakiś świeży trop. Był olśniewającym dyletantem, ale tak przepojonym szacunkiem dla nauki rzetelnej, że ten szacunek paraliżował go w jego pracy. Z kilku książek do których się zabierał w ciągu życia ukazała się bodaj tylko jedna mała praca — wstęp do francuskich pamiętników Rozalii z Lubomirskich Rzewuskiej, która była świadkiem Wielkiej Rewolucji Francuskiej. W ciągu kilkunastu lat przyjaźni, często słyszałem o innych projektach. Przede wszystkim o wielkiej biografii Księcia Adama Czartoryskiego, nad którą Michałowski pracował ze trzydzieści lat. Myślę, że przeczytał wszystkie dostępne źródła. Wiem, że drobnym, regularnym pismem zapisane notatki na małych kartkach papieru (jakże lubił i szanował Pan Józef cały aparat pracy bibliotekarskiej i archiwalnej) zajmowały niezliczone skrzynie i szuflady (*). Były to naukowe tkaniny Penelopy.

(*) Notatki te pozostawił Józef Michałowski profesorowi Marianowi Kukielowi, którego dzieło o Czartoryskim wysoko cenił.

Sama myśl o ukończeniu i wydaniu choćby części zaczętej pracy przejmowała Michałowskiego przerażeniem. Jerzy Giedroyc prosił go kiedyś o jeden choćby rozdział „Czartoryskiego” dla „Kultury”. Michałowski wykręcał się, bronił, wreszcie, osaczony przez niezrażonego niczym redaktora wybuchnął: „Czy Pan sobie nie zdaje sprawy, że zanim cokolwiek wykończę muszę mieć sposobność przestudiowania archiwów w Leningradzie?” Ostatecznie, po przewertowaniu wszystkich dostępnych archiwów, „Czartoryski” został odłożony, a Pan Józef przystąpił do pisania — po francusku — dzieła o Abbé de Saint-Pierre, osiemnastowiecznym autorze „Projet de Paix Perpétuelle” i jednym z prekursorów europejskiej idei federalnej. Tutaj znów ciążyła na nim chorobliwa sumienność. Po dwóch bodaj latach oznajmił mi z zadowoleniem: „No, na szczęście mam materiały do pierwszego rozdziału. Przystudiowałem całe prawodawstwo XVII i XVIII wieku francuskie, niemieckie i rosyjskie”. Z tego bogactwa notatek, zapisków, z lat spędzonych po bibliotekach, filtrowały rzadkie tylko zdania do wersji ostatecznej dzieła. Józef Michałowski był niemal maniakiem stylu, zapatrzonym w lapidarne i eleganckie wzory francuskiego XVIII wieku. W każdym własnym zdaniu chciał słyszeć autentyczne echo Montaigne’a czy La Bruyère’a. Zapowiadał mi czasem wizytę w moim mieszkanku na Zatybrzu, zawsze listem wyczelowanym, w którym „l’imparfait du subjonctif” grał rolę floretu czy pióropusza. Drapał się na moje strome czwarte piętro, żeby odczytać mi małą karteczkę: „*Toutefois, l’Abbé de Saint Pierre... quoi qu’on ait pu, erronément, prétendre...*” Sam głos zdradzał zachwyt nad formułą, gramatycznym popisem, subtelnym użyciem archaizmu.

Spotykaliśmy się czasem w ciągu tych lat we trójkę z innym naszym przyjacielem, posłem duńskim w Rzymie, Tage Bullem. Bull jest najbardziej oszałamiającym erudytą, jakiego kiedykolwiek spotkałem i rywalizacja tych panów była kapitalna. Pamiętam kolację u Bulla, na tarasie Palazzo Anguillara, może w dwa lata po wojnie. Mówiliśmy o bombie atomowej i stąd o katastrofizmach w różnych literaturach różnych wieków. Raptem przyszedł mi na myśl jeden z sonetów Scève’a, ale nie mogłem go zacytować: „Jest taki wiersz, poety francuskiego... XVII wiek... tam jest właśnie o zniszczeniu całego świata...”, tłumaczyłem niezdarnie.

— „Wiem — przerwał mi Tage Bull — Maurice Scève: „*Sur un monde détruit, le temps dort, immobile...*”

Józef Michałowski długo podejrzewał żeśmy przygotowali tę scenę z góry z Bullem. — „*Il est très fort, le Danois...*”, oświadczał, jak o sportowym konkurencie.

To były ostatnie lata. Całą wojnę przebył jeszcze Pan Józef jako dyrektor polskiej placówki Akademii Umiejętności w Rzymie, na Vicolo Doria. Placówka była jego dziełem, jego dzieckiem, opierała się o bibliotekę, którą on sam ofiarował Akademii. Zarządzał nią sprawnie, nieubłaganie i szczęśliwie. Wcho-

dziło się po schodach tak płaskich, jak tylko w starych rzymskich pałacach. Wnętrze nadał Michałowski swój własny styl: bielone ściany, wielkie renesansowe stoły z ciemnego dębu, na stołach już stopy książek. Półki z książkami zajmowały każdą wolną przestrzeń, nawet w jego własnym pokoju sypialnym. W bibliotece był Pan Józef oświeconym tyranem. Przez wszystkie lata wojny przychodził do niego dwa razy na tydzień na pierwsze ranne śniadanie jego kuzyn Ksawery Skrzyński, równie uroczy zresztą erudyta. Któregoś dnia Skrzyński stojąc przed drzwiami słyszy, że po drugiej stronie ktoś czyha, groźnie sapiąc. Otwiera mu Michałowski, w białej koszuli po kostki, grożąc mu pięścią: — „Noga twoja tu już nigdy nie postanie! Wprowadziłeś nieład do biblioteki!” — „Ja? Jakto? Kiedy? Nigdy nie zabrałem żadnej książki do domu!” — „Ale *zostawiłeś* na stole jedną z własnych książek. Czy nie wiesz że liczba książek w bibliotece musi się zawsze zgadzać?”

Pierwszy raz po wojnie, po pięciu latach niewidzenia, byłem u Michałowskiego w roku 1945, kiedy dojechałem do Rzymu z Niemiec, gdzie służyłem w I Dywizji Pancerniej. Zastałem go w strasznym stanie nerwów i przygnębienia. Wokół tego szlachetnego człowieka i jego daru dla Polski toczyła się walka polityczna w której brano pod uwagę wszystko — prócz jego losu i przydatności biblioteki. Smutny zbieg okoliczności chciał, że ambasadorem „Polski Ludowej” w Rzymie był wówczas profesor Stanisław Kot, dawny przyjaciel Michałowskiego, który go nadzwyczaj wysoko cenił i lubił. Pamiętam jak dziś jak Michałowski wciągnął mnie do swego pokoju i zaczął płakać: — „Ja zwariuję, ty nie masz pojęcia co oni ze mną robią”. Oni: z jednej strony Kot, z drugiej emigracja. Wydaje się nie do wiary, że nie można było — wówczas — znaleźć rozwiązania które by pozwoliło Panu Józefowi pozostać dyrektorem placówki którą stworzył. Michałowskiego pozbawiano nie tylko schronienia, ale i celu w życiu. Kaleczono i zmieniano charakter placówki, zmuszając jej założyciela do usunięcia się. Co prawda w parę lat później, po likwidacji Akademii Umiejętności, placówkę rzymską przejęła ambasada. Zarządzał nią zapewne jakiś politruk. Nigdy w okresie stalinizmu nie byłby Michałowski poszedł na żadną współpracę z reżymem. System totalitarny oparty na kłamstwie, nędzy ludu, policji, łapsach, hipokryzyjnym szowinizmie, kulcie Rosji i nienawiści do Zachodu łączył w sobie wszystko to co było Michałowskiemu najbardziej wstrętne.

Pan Józef był jednym z rzadkich świadomych i konsekwentnych liberałów polskich — nie konserwatystów. Uczuciowo i ideowo nawiązywał do Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Miał kult do wszystkich jej wielkich postaci, choć oczywiście Mirabeau był mu bliższy od Robespierre'a. Pamiętam, jak mówił mi kiedyś, skandując: — *Les Droits de l'Homme et du Citoyen...* o to chodzi, o to chodzi...”, i nagle, wpadając w jeden ze swoich gniewów: „Ty myślisz że ja gadam głupstwa? Ale przecie *nigdy* w Polsce nawet tych elementarnych praw się człowiek nie

doczekał..." Michałowski nie cierpiał Piłsudskiego, a jeszcze bardziej sanacji i pułkowników. Była to awersja niemal chorobliwa. Piłsudskiemu wyrzucał „zdradę socjalizmu". Mimo że tyle węzłów krwi i nieprzerwanych nigdy więzów przyjaźni łączyło Michałowskiego z polską arystokracją, pamiętam jak oburzał się na „Nieśwież" niemal równie gwałtownie jak na Brześć. Uniwersalizm i antynacjonalizm Michałowskiego oddalały go naturalnie od Endeków. Politycznie w Polsce najbliżsi byli mu ludowcy. Do Francji przywiązany był w równym chyba stopniu co do Polski. Miał zresztą wielu francuskich przyjaciół, między innymi Barrère'a który był jednym z najwybitniejszych ambasadatorów Francji. Francji skłonny był nawet wybaczyć zbyt wiele. Anglię i życie angielskie znał niemal równie dobrze i miał kult dla angielskiej literatury. Jego politycznym ideałem był właśnie Gladstone.

Przeżytek XIX wieku? Może. Ale o ileż bardziej chłonny i otwarty na wszelkie nowe prądy, o ileż bardziej pozbawiony przesądów od wielu ludzi którzy mogliby być jego wnukami. Ostatni raz widziałem Michałowskiego ubiegłego lata. Był już przygwożdżony chorobą, martwił się, że od kilku tygodni nie może pójść do biblioteki. W wielkim, ciemnym pokoju (zasłonięte okiennice chroniły nas od ulicznego skwaru), wychudły Michałowski w białej nocnej koszuli przypominał mi Don Kiszota z rycin Doré'go. Jakże chciwie wypytywał się o wszystko: życie literackie we Francji, zagadnienie algijskie, przemiany zachodzące w Polsce. Mówiliśmy o Nennim i Togliattim, których znał osobiście. Cenił inteligencję i czytanie Togliattiego, ale nie wierzył aby jakikolwiek przewodca partii komunistycznej na zachodzie mógł się usamodzielnąć od Moskwy. — „Na to trzeba buntu robotników..." — mówił, wspominając o Poznaniu. Co do Nenniego, już wówczas wierzył że się połączy z Saragatem. Wiele włoskich polityków których jednocześnie spotkałem mniej miało politycznego wyczucia.

Był smutny. Myślę, że czuł zbliżający się kres życia i że cierpiał nad tym, że nie pozostawia po sobie nic trwałego. Przypuszczałem wówczas, że żywił przez całe życie nadzieję doprowadzenia czegoś do końca. Ale, już w trakcie pisania tego wspomnienia, opowiedziała mi Maria Czapska zdarzenie które rzuca inne światło, bardziej tragiczne, na życie Michałowskiego. W roku 1937 Maria Czapska, pracująca wówczas nad swoją „Ludwiką Sniadecką" namawiała Michałowskiego, jak później Giedroyc, na wydanie „Czartoryskiego". Michałowski jak zwykle bronił się, certował, przytaczał argumenty o leningradzkim archiwum. Wreszcie kiedy Maria Czapska nalegała dalej (rozmowa toczyła się przy stole w obecności innych gości), Michałowski wyjął pudełko zapalek, nakreślił na nim parę słów i podał Czapskiej. Było na nim jedno zdanie: *Je suis un raté*.

Smutno mi na myśl, że chodząc co dzień przez kilkadziesiąt lat do archiwów i bibliotek, gromadząc notatki, robił to Michałowski bez *iluzji* przyszłej twórczości, z poczuciem własnej bez-

silności. Smutno tym bardziej, że tylko bliscy mu ludzie mogli wyczuwać, że są formy życia, umysłowości, twórcze i zapładniające przez sam fakt istnienia i że Józef Michałowski był „twórczy” w tym znaczeniu. Był ekscentrykiem, dyletantem, erudyta, ale tak wykończonym, o tak wyraźnych duchowych i estetycznych konturach, że paskudne francuskie pojęcie „ravage” (w którym jest dość karierowiczowska aluzja do powodzenia zewnętrznego) w żadnej mierze się do niego nie stosuje.

O Czarotoryskim będą pisać inni historycy. Rozmowy Józefa Michałowskiego, jego uroku, manieryzmów nawet, nie odtworzy nikt.

Na tym właściwie chciałem zakończyć ten szkic. Ale nie sposób nie wspomnieć o paru osobach, których przyjaźń, czujność i żywa pomoc sprawiły, że ostatnie lata Michałowskiego nie były ani samotne, ani materialnie tragiczne. Myślę tu przede wszystkim o księżnej Marguerite i księciu Rofredo Caetani, ludziach wyjątkowej kultury i o rzadkim talencie przyjaźni i o pani Marii Lasockiej, która otaczała Pana Józefa codzienną serdecznością i opieką.

K.A. JELEŃSKI

Manfred Kridl

Profesor Manfred Kridl nie żyje. Wiadomość nie tylko obejdzie wszystkich, którzy lepiej znali tego ironicznego i dobrego człowieka. Jest ona również przypomnieniem, że generacja historyków polskiej literatury, wychowanych w dobrej szkole i mało skłonnych do ulegania przejściowym modom, ma już nie wiele przedstawicieli.

Jako profesor polonistyki Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, Kridl wywierał wpływ nie tylko w swojej uczelni. Zwolennik metody badań formalnych, która była w pewnym stopniu reakcją na opis dzieła literackiego głównie od strony treści, znajdował naśladowców na wszystkich uniwersytetach i był jedną z najbardziej popularnych postaci wśród młodych specjalistów. Wpływ jego nie ograniczał się zresztą do sfery naukowej. Ten humanitarysta i liberał umiał zdobyć się na gwałtowność kiedy należało walczyć z atmosferą wodzostwa i palkarstwa, coraz bardziej zgęszczającą się w latach trzydziestych.

Kridl wyjechał z Wilna na wiosnę 1940 roku, jakiś czas wykładał na uniwersytecie w Brukseli, następnie wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie został profesorem w Smith College. W Ameryce kierowały się przeciwko niemu ataki pra-

sowe pewnych kół emigracyjnych, bo nigdy nie ukrywał swoich liberalnych przekonań. Po wojnie odwiedził Polskę i otrzymał tam propozycję objęcia stanowiska dyrektora Instytutu Badań Literackich, jaki właśnie tworzone. Tę propozycję odrzucił, wychodząc ze słusznego, jak się wkrótce okazało, założenia, że używano by go tam tylko jako fasady. Wolał Stany Zjednoczone mimo niewielkich szans, że uda mu się tam wykładać literaturę polską zamiast — jak to jest udziałem większości slawistów — rosyjską.

W 1948 roku powstała przy uniwersytecie Columbia pierwsza w Ameryce pełna katedra literatury polskiej (to jest z prawem udzielania doktoratów). Stało się to możliwe dzięki porozumieniu uniwersytetu z władzami w Warszawie, ściślej dzięki poparciu człowieka, stanowiącego pod wieloma względami wyjątek w kołach partyjnych, Zygmunta Modzelewskiego, ówczesnego ministra Spraw Zagranicznych. Czas okazał we właściwej perspektywie kampanię prowadzoną przez prasę polonijną przeciwko Kridlowi i Katedrze. Wbrew podawanym wówczas informacjom, należy stwierdzić, że kandydatura prof Kridla nie została wysunięta przez Warszawę. Wysunął ją jeden z najwybitniejszych na świecie slawistów, prof. Roman Jakobson, wówczas wykładający na Columbii, następnie na uniwersytecie Harvard.

Manfred Kridl był sceptykiem i wszelkie totalitarne pomysły, zarówno z prawa jak z lewa, traktował ze złośliwym humorem. Zawdzięczam mu wiele rozmów, wesołych kiedy mówił o nicości „socrealizmu”, gorzkich, kiedy przyznawał swoją bezsilność wobec zbliżającego się zniszczenia polonistyki przez zespół Instytutu Badań Literackich. Te rozmowy, toczone w New Yorku, były równie mało podobne do dawnych, w łódce na Trockim jeziorze, jak mało podobne są dwie epoki. Nigdy jednak nie umiałem oddzielić osoby Kridla od krążganków i arkad wileńskiego uniwersytetu. Do listy nazwisk, na której figurują: nasz pierwszy rektor Piotr Skarga, Poczobutt, Śniadeccy, Lelewel, Grodecki, Marian Zdziechowski, niech będzie dodane nazwisko uśmiechniętego fanatyka uczciwej wiedzy o literaturze — Manfreda Kridla.

Czesław MIŁOSZ

Od sloganu do brzozy

Nowatorskie ruchy literackie, czy w ogóle artystyczne, nie przynosiły swym adeptom ani bogactw, ani sławy. Przynajmniej w pierwszym okresie. Tak zwane społeczeństwo, średnio tępe i średnio zachowawcze, nie może i nie chce włączyć nowiny ludzi odbiegłych naprzód czy w bok pomiędzy sprawy i poglądy uświęcone powszechnie. Często genialny malarz, bądź poeta — nie zaznawszy za życia niczego więcej poza żarliwą sympatią jakiegoś „maniaka” mecenasa — dopiero w wiele lat po śmierci przyjmuje hołd burmistrzów i wyfraczonych akademii...

I może właśnie to trwanie, uporczywe i samotne, pośród powszechnej obojętności, jest jednym z najistotniejszych bodźców artysty.



W przeciwieństwie do dawnych prądów literackich socrealizm był w dziejach naszej kultury pierwszą inowacją estetyczną, która popłacała (i to w pełnym znaczeniu tego słowa), zapewniając równocześnie twórcy rzecz o wiele cenniejszą w kraju totalitarnym: bezpieczeństwo polityczne. Każdemu, kto w latach 1949-1953 wystąpił w Kraju z prozą lub wierszem, pisząc dzieła, które „przyspieszają przemiany świadomości w szerokich masach nowych czytelników i przez to ułatwiają na przykład wykonanie planów produkcyjnych” (1) dwie ręce naraz wypłacały hojne honorarium. Włączono go do grona uśmiechniętych i pozujących do fotografii „budowniczych Polski Ludowej”, dawano

(1) Jerzy Putrament, *Przemysłnictwo ideologiczne w krytyce*, „Nowa Kultura”, nr 7, 1953.

mu mieszkanie w Warszawie poza wszelkimi kolejnościami i od-
tąd mógł wieść życie beztroskie. Mógł się nawet zapisać do
Klubu Myśliwych przy Związku Literatów i chadzać na poło-
wania. Nie trzeba oczywiście pominąć jednego drobiazgu: ró-
żowe okulary, raz włożone, przrastały do oczu, a nogi, raz
ściągnięte na „baczność”, pozostawały w tej postawie. Wiedzą
o tym jeszcze dzisiaj — chociaż pamięć zaczyna ich zawodzić —
pisarze średniego pokolenia. Wie o tym jeszcze lepiej kilku
dziennikarzy.

O „pryszczatych” nie wspominam. Byli w wieku, kiedy
pewnych spraw można nie rozumieć, kiedy potrzeba umieszczo-
wienia młodzieńczego entuzjazmu i pierwszej wiary jest pragnie-
niem naczelnym, silniejszym od formującej się dopiero (i w ja-
kich warunkach!) moralności.

Nie mogłem nie pomyśleć o tamtych sprawach i czasach,
wziąwszy do ręki ostatnią książkę Broniewskiego. Historia tego
poety ilustruje bowiem najdokładniej niejednokrotnie już oma-
wiany proces *dobrowolnego ubezwolnienia* poety i oddania nie-
zależnego dotychczas pióra na usługi sprawie nazywanej nieucz-
ciwie „powszechną”.

W latach 1949-1953 Broniewski podporządkowuje się nie
socjalizmowi, lecz jego stalinowsko-radkiewiczowskiej formie. Że
nie był to socjalizm, wiemy już dziś wszyscy, choćby ze źródeł
tak pewnych jak Putrament, czy Koźniewski.

W tym miejscu postawmy pytanie: Czy dlatego iż tak bar-
dzo wierzył w socjalizm Broniewski zgodził się na jego mon-
strualną parodię? Czy też, aby móc żyć spokojnie, poeta zamknął
oczy na nędzę i nieszczęście swych braci Polaków?

Ani jedno, ani drugie. Cokolwiek Broniewski przeoczył (za-
harowaną i głodującą „przodującą” klasę robotniczą), cokolwiek
puścił mimo uszu (wieści o Bezpiece i Różańskim) wszystko to
uczynił dla SŁAWY. Uczynił to z pełną świadomością
i dlatego nie mogę się zgodzić z Matuszewskim, który twier-
dzi (2) że powodem do napisania „Słowa o Stalinie” nie było
„karierowiczostwo, płaszczenie się” lecz — jak tego chce Matu-
szewski — „wielkoduszność” poety.

Wczorajsi stalinowcy przybierają dziś pozy żałosne i niczym
Jan Chrzciciel ciągną przez kraj dotknięty „gomułkowszczyzną”
mając jedną odpowiedź na zarzuty: „Teraz to łatwo, napadać
na mnie”, i ronią głośnie westchnienie... Tylko że Matuszewski
upraszcza (chyba nieświadomie...) sprawę, zwężając zagadnienie
kolaboracji Broniewskiego do napisania „Słowa o Stalinie”.
Machnijmy ręką na ten poemat, napisany z „wielkoduszności”,
z wdzięczności za więzienie N.K.W.D. i otwórzmy *Wiersze Ze-
brane* (3) Władysława Broniewskiego. Tom ten daje wyczerpu-
jącą odpowiedź, zawiera bowiem 18 wierszy i poematów (po-
cząwszy od strony 265) gdzie czytamy:

(2) *Nowa Kultura*, nr 2, 1957.

(3) „Książka i Wiedza”, 1952.



*Pięknie jest myśleć, że w Moskwie
żyje Stalin.
Pięknie jest myśleć, że w Moskwie
myśli Stalin.*

*Bierzemy te myśli jak rad,
promienny zawsze.
Kraju Republik Rad
naprzód!*

(Nadzieja)

Fragment ten, równie „wielkoduszny” Broniewski napisał w trzy lata po „Słowie o Stalinie”.

*Górniku, ręce twoje tęgie,
Ludowej Polsce dajesz węgiel.
Do garści kilof! Czyś gotowy
wykonać plan twój — czyn majowy?
Masz więcej, prędzej dobyć z sztolni,
na węgiel czeka naród wolny,
niech pędzą krajem czarne skarby
dla pieców naszych, hut i fabryk.
Markiewka, Pstrowski są przykładem,
i my jak oni, my ich śladem;
przysłowie będzie: „Jak górnicy”,
bo oni pracy przodownicy,
żarliwe serca, twarde ręce;
gorliwiej, prędzej, lepiej, więcej.*

(Nasz Maj, str. 270)

Tym razem nie chodzi już o „kult jednostki”, którego wspomnianie, czy wypominanie źle widzą jego wczorajsi czciciele (4). Tym razem Broniewski daje popisowy utwór socrealistyczny: schlebający tak zwanemu człowiekowi pracy, ukazujący mu dobrodziejstwa płynące z jego pracy i... na koniec zachęta: *schneller! schneller!*, tyle że powiedziana po polsku...

Tym, którzy w tych hurrasocrealistycznych wierszach chcieliby się dopatrywać po prostu głupoty, poeta przeciwstawia świadomy pogląd na rolę literatury, rolę i zadania pojęte według uchwał szczecińskich:

*Młot, kielnia, motek, kilof i pióro,
plug za traktorem, mosty w dal.
I ty tam pójdziesz, literato:
słowo — stal.*

(Pierwszy Maja, str. 276)

Nie trudno być prorokiem w kraju rządzonym totalitarnie, zwłaszcza kiedy proroctwo pokrywa się z uchwałami Partii... Przy dobrej woli można również ujrzeć swój naród, robotników, ich dzieci i żony, jak żyją szczęśliwie i syto. Nawet choćby to były lata 1950-1954.

(4) Cytowany już artykuł K. Matuszewskiego w 2 nr. *Nowej Kultury*.

*Co mi tam opowiadać,
co było, a czego nie będzie!
Chcę rozpowiedzieć radość
wszędzie.*

*Wydobyliśmy tyle a tyle
ponad normę. Wiadomo.
Niech dzieci spytają: „Ile
chleba z masłem przybyło do domu?”*

*Niech żona spyta: „Dlaczego
niezmęczony i taki radosny?”
Mąż odpowie: „Bom robił dla swego,
dla socjalizmu, dla wiosny”...*

(*Byt określa świadomość, str. 280*)

Jeżeli Gałczyński, czy nawet Tuwim nie grzeszyli rozumieniem problemów społecznych i politycznych, a „szarym człowiekiem” posługiwali się jako jedną ze strun „nastrojowych”, o tyle kto jak kto, ale Broniewski, pisząc powyższe słowa, winien był wiedzieć więcej o robotniku, i jego rodzinie, o chlebie i maśle ich dnia powszedniego i o ich radości... A tymczasem szczęśliwy poeta gestem lekkim i kapryśnym odpędza myśl, „co mi tam opowiadać co było...”, „chcę rozpowiedzieć radość wszędzie...”

Jeszcze większy niesmak niż rymowane „produkcyjne” slogany budzi doklejanie Partii Bieruta i Radkiewicza kart wspamiętanej przeszłości, które Broniewski wyszarpuje z historii Polskiej Partii Socjalistycznej. Poeta nie widzi, czy też nie chce wiedzieć, co socjalizm broniący robotnika przed wyzyskiem, a co „socjalizm” Polski Ludowej, więzieniami i głodem wzmacniający „dyscyplinę pracy”. W jednym i tym samym wierszu potrafi Broniewski nie tylko zestawić bohaterów „Proletariatu” z pogańską strofą „Węgiel, przędza, żelazo. Prędzej i lepiej...” ale krwawe i ciężkie dzieje ruchu robotniczego w Polsce ukazuje jako etapy, których ukoronowaniem jest... Polska Ludowa!

Wiernopoddanie interesom Partii, tak można określić postawę ideologiczną Broniewskiego w tamtych latach. W poemacie o generale Świerczewskim przedstawia poeta również Powstanie warszawskie:

*Powstanie! Błysło i zgasło.
Znow serca mróz ogarnia.
Czeka na rozkaz i hasło
Druga Armia.*

(*str. 304 i 305*)

„Błysło i zgasło”!! Sześćdziesiąt trzy dni walczyło i konało na przemian! Nie dziwny się pocie, że unika myślenia, lub że myśli w ślad za Partią. Sam wyznaje to — nawet z dumą — w wierszu skierowanym przeciw imperialistom, kapitalistom i podżegaczom, a zatytułowanym lapidarnie *Im*.

.....
Nie straszcie bombą atomową.

*My odwracamy rzeki
 i płyną tam, dokąd chcemy.
 Lekceważymy wieki.
 Nie chcemy wierzyć: wiemy.*

*Wiemy...
 To, co wiedział Marks,
 Lenin, Stalin...
 Wiemy! Chcemy!
 Nasz marsz —
 w socjalizm.*

(str. 297)

Gdyby te wiersze nie były płacone nagrodami, zaszczytami, odśłanianiem pomnika Mickiewicza, i atmosferą „narodowego uwielbienia”, którą ówczesne kierownictwo Partii otoczyło poetę, można by mówić o idealizmie. Niestety, godząc się odgrywać rolę lokalnego Majakowskiego, dyrygenta przyśpieszającego lirycznie tempo pracy, Broniewski — autentyczny poeta rewolucyjny, konfiskowany przez przedwrześniową cenzurę — autor wierszy, które zapalały serca młodych socjalistów i komunistów, staje się urzędnikiem czerwonej biurokracji. Dla sławy Broniewski wypiera się nawet swych dawnych, a dziś tak bardzo niewygodnych miłości. *Wiersze Zebrane*, nie zawierają pięknego hołdu złożonego u stóp trumny Andrzeja Struga... Może dlatego że była tam mowa o „mundurze strzeleckim” i o „pogardzie dla niepełnego zwycięstwa”...? I znowu smutny paralelizm, bowiem w latach pięćdziesiątych książki Andrzeja Struga, nawet jego nazwisko, obłożone były oficjalnym przemilczeniem...

Biorąc pod uwagę ton i treść ówczesnych wierszy Broniewskiego, mając w pamięci to wszystko co musiał przeżywać nasz naród w latach terroru i głodu — postawę poety określam słowem surowym, ale jedynym na jakie zasługuje: oportunizm.



W roku 1956 Broniewski ogłasza małą książeczkę wierszy (5), zawierającą garść liryków skupionych wokół pamięci o tragicznie zmarłej córce. Część tych utworów pisana była za jej życia, trzon jednak tomiku stanowią wiersze, w których poeta zawarł swój ból.

O takich książkach nie powinno się pisać za życia poety-ojca. I może nawet sam autor powinien był odłożyć druk swoich trenów. Jest w tym coś co aż przeraża, ten jakiś pośpiech życia nowoczesnego, ten zmechanizowany ruch pisarza, aby rzecz dopiero co napisaną rzucać pod ołów linotypu. Po kilku latach nie tylko łatwiej byłoby mówić o tych w bólu poczętych strofach —

ale i sam autor miałby czas zastanowić się i być może przydać trwalszych rysów liryce pojętej jako epitafium.

Tymczasem to co otrzymał czytelnik jest zaledwie brulionem. Świadczy o tym przede wszystkim styl gawędy, rozwijania przed czytelnikiem całego filmu uczuć, zamiast ukazania mu kilku stałorytów, przejmujących swą ostatecznością i świadczących o „wstydzie uczuć”...

Już w „Mazowszu” Broniewski robił wrażenie kogoś kto próbuje cudzego głosu, tonu „łżejszego”, piosenki, ale wówczas można było myśleć że jest to chęć przełamania w sobie „jednotonowości”, owego twardego rymu robociarza, który tak płomiennie umiał nieść i przekazywać wiarę w słuszność sprawy człowieka. W *Ance* obserwujemy, niestety, dalsze rozluźnienie struktury lirycznej wiersza, graniczące chwilami z prozą. Okazuje się, że o ile Broniewski włada świetnie celnym wierszem typu „Komuny Paryskiej”, o tyle nucenie przychodzi mu coraz trudniej. Mało tego. Czując jak gdyby nieprzydatność swej własnej strofy, coraz widoczniej korzysta z osiągnięć na tym polu Gałczyńskiego. *Anka* zawiera wiersze, którym — jeżeli chodzi o dykcję — patronują: wczesny Skamander i Gałczyński z okresu 1950-1953.

*Więc sny? I znów jestem w Płocku,
i znów konwale (psiakrew),
a w Radziwiu kączęcie i jaskry
i o świecie, i o północku.*

*Należałoby pójść do Brwilna
albo do Łącka.
Sprawa nie bardzo pilna,
ale tam taką łączką,*

*taką łączką, gdzie pachną storczyki
nad jeziorem przecudnie modrem,
gdzie czeremcha naprawdę dzika,
gdzie fale takie modre...*

(str. 43 i 44)

Podobnie po sztubacku (i pod Gałczyńskiego...) wesole są wiersze: „Jeszcze o filmie” i „Anka”. To samo nadużywanie zaimków dla wywołania wrażenia poufalej rozmowy, ten sam chwyt pisania wiersza, udając przy tym że się go nie pisze.

*O tej Wiśle ja nie powiedziałem
tobie tego, com pragnął,
ale wierz mi, że naręczem całem
tobie wiersz by się ugiął i nagnął...*

(str. 17)

Poprawność językowa obowiązuje wszystkich, a przede wszystkim tych, których składnia daleka jest od szaleństw i meta-logicznych „niegramatycznościów”... Wpływ Gałczyń-

skiego widoczny jest również w częstej i taniej łezce. W „Słowicznym okrucieństwie” pisze Broniewski:

*W tej strofie, prawie safickiej,
jest pewien szwindel:
Chcę jeszcze pogadać z Ickiem
Gulkindem*

*o jego myślach w getcie,
gdy wystrzelił ostatni nabój.
Słowiki wtedy śpiewały przecież
na zabój!*

(str. 40)

Celowo pomijam wszystkie akcenty socrealistyczne, obecne nawet w tym tomiku, sądząc bowiem iż są to ostatnie, dogasające gesty poety, który po czasie musztry i stadnego „marszu w socjalizm” wraca w twórczą samotność. Nie mogę jednak pominąć słów samego poety, gdy mówi o swej poezji:

*Mógłbym tak pleść bez końca
z poetyckiego nawyku...*

(str. 38)

.....
*To nie bzdury, nie bzdury, Aniu,
ja jednak jestem poetą,
chciałbym wiersz napisać o wielkim kochaniu —
nie to!*

(str. 22)

Dwa powyższe cytaty zawierają i dwoma odległymi granicami obejmują twórczość Władysława Broniewskiego. Trwa i pracuje, między beztroską a trwogą. Życzymy mu, aby trwoga o przyszłość wiersza była jego najczęstszą myślą. A wtenczas powstaną nowe liryki, tak piękne i kamienne jak ten, który przepisujemy z Anki:

BRZOZA

*Przeciw smutkom coś pocznę,
o! brzozo!
Usnę, ależ się ocknę,
coś się we mnie rozpęta,
by pamiętać, pamiętać,
o! brzozo!*

*Córko moja nieżywa,
o! brzozo!
pieśni nić niegodziwa
chce mnie spętać trumiennie
i — zatruta — być we mnie,
o! brzozo!*

Jakże rozpacz wyrazić, gdy żyję,
o! brzozo!
kiedy słowa nijakie, niczyje,
a ja powiem rozpaczę
słowom, że nic nie znaczą,
o! brzozo!

Marian PANKOWSKI

Biblioteczka „Po Prostu”

I

Zespół „Po Prostu” określono by w krajach anglosaskich jako „a pressure group” (nie znam odpowiednika tego terminu w języku polskim i nie podejmuję się go ukuć). *Pressure groups* są w krajach anglosaskich uświęconą przez tradycję formą społecznej i politycznej działalności. One to propagują idee mniejszości, zyskują dla nich niejednokrotnie opinię publiczną i stwarzają tak silną presję na rządy — każdy rząd jest w pewnym sensie konserwatywny — iż ustępują one przed opinią, reformują stare prawa i inicjują nowe.

Grupa „Po Prostu” ma już na swoim rachunku nielada osiągnięcia. Rozpoczęła od tego, iż w okresie drętwej mowy stworzyła tygodnik, który czytał każdy kto tylko zdołał zdobyć egzemplarz, co nie było rzeczą łatwą, tak z powodu stosunkowo niewielkiego nakładu, jak i przeszkód stwarzanych przez partyjnych bonzów. Rola „Po Prostu” w postępie „odwilży” jest zbyt dobrze znana, by trzeba ją było przypomnieć. Przecież mówiono w Polsce, wprowadzając z pewną przesadą, iż „odwilż” jest dziełem „Po Prostu”. Po „rewolucji październikowej” grupa „Po Prostu” zadała *coup de grâce* ZMP i zapoczątkowała organizację ruchu młodzieżowego na jakichś rozsądnych podstawach. Na łamach tygodnika toczy się nieprzerwana kampania o ideologiczną rewizję tego, co się czasem nazywa komunizmem, czasem socjalizmem, a co przybiera kształt programu społecznej lewicy, silnie osadzonej w polskiej rzeczywistości, wolnej od dogmatów, skupiającej marksistów, socjalistów i radykałów. Polska nie odnajdzie „własnej drogi do socjalizmu”, a gdy ją odnajdzie — na tej drodze się nie utrzyma, bez przeciwstawienia tendencjom nacjonalistycznym, konserwatywno-katolickim zwartego i silnego obozu demokratycznej społecznej lewicy.

Do tych osiągnięć przeszłości dodać obecnie należy nową inicjatywę — również charakterystyczną dla działalności *pressure*

groups — biblioteczkę „Po Prostu”. Ta biblioteczka składa się z niewielkiego rozmiaru broszur, poświęconych aktualnym sprawom politycznym w najogólniejszym tego słowa znaczeniu, a przeznaczonych dla szerokich kół czytelników. Od autorów broszur, o ile dobrze rozumiem intencje redaktorów, wymaga się, by wyjaśniali znaczenie obiegowych idei i pojęć, często zniekształconych w przeszłości lub powtarzanych bez zrozumienia ich sensu, przekładali je na język praktyczny i pobudzali do dyskusji nad sprawami spornymi. Broszurki tego typu mogą spełnić doniosłą rolę w kształtowaniu i ewolucji opinii publicznej, a w rzeczywistości polskiej stanowią nowość. Zamiast broszur propagandowych minionego okresu, powtarzających z uporem utarte formułki, czytelnik otrzymuje do ręki broszurę, w której nikogo się nie agituje i do niczego nie nawołuje, natomiast rozważa się i dyskutuje sprawy budzące szerokie i żywe zainteresowanie. Takie były, jak się zdaje, intencje redaktorów biblioteczki, lecz nie wszystkie dotąd wydane pozycje te intencje spełniają (1).

II

Na tomik „Sprawy Sumienia” Tadeusza Kotarbińskiego składają się cztery artykuły drukowane w 1956 roku w łódzkiej „Kronice” i „Przeglądzie Nauczycielskim” oraz w 1947 roku w „Płomieniach”. Omawiają one zagadnienia etyki niezależnej problem antysemityzmu, podstawowe obowiązki nauczyciela, sposoby urabiania poglądów na świat i życie. Ten ostatni artykuł należał swego czasu do najbardziej atakowanych wypowiedzi Tadeusza Kotarbińskiego, gdyż w mrokach nadchodzącej nocy stalinowskiej był on zwartą i bezkompromisową obroną postawy badacza i racjonalnego sposobu myślenia. Gdy dziś ten artykuł ponownie jest dostępny cieszymy się samym faktem, lecz nade wszystko powrotem do działalności społeczno-wychowawczej jego autora. Odsunięcie w latach ubiegłych Tadeusza Kotarbińskiego od działalności publicznej odbyło się kosztem wszystkich spraw dobrych i słuszych, których był on zawsze biegłym i wpływowym obrońcą. Okres ubiegły przysporzył mu dodatkowego jeszcze autorytetu w oczach ogółu, w szczególności jednak ludzi zbyt młodych, by znać go mogli z jego działalności w przeszłości. Radość i satysfakcję obudzają wiadomości o tym, iż Tadeusz Kotarbiński zajmuje znowu należne mu miejsce w życiu naukowym kraju, działalności publicznej i społeczno-wychowawczej. Symboliczną i nie tylko symboliczną wymowę ma okoliczność, iż „Spra-

(*) Tadeusz Kotarbiński, *Sprawy Sumienia*, str. 43. Stanisław Ossowski, *Ku Nowym Formom Życia Społecznego*, str. 74. Kazimierz Biskupski, *Władza i Lud*, str. 112. Stanisław Ehrlich, *Praworządność-Sejm*, str. 67. Eugeniusz Kuszko, *Wolność w Systemie Dyktatury Proletariatu*, str. 127. Redaguje zespół: Jerzy Piłudowski, Ryszard Turski, Janusz Kuczyński, Mieczysław Sroka. Adres Redakcji: „Książka i Wiedza”.

wy Sumienia" są pierwszą wydawniczą pozycją biblioteczeki „Prostu”.

W „Sprawach Sumienia” największą aktualność i doniosłość przypisać chyba trzeba artykułowi „Zagadnienia Etyki Niezależnej”. Etyka niezależna to etyka niezależna od religii, również niezależna od ideologii lub filozoficznego światopoglądu. Jakkolwiek bowiem rzeczy się mają w strukturze bytu i w świecie stworzonym przez człowieka, głos sumienia nie zmienia swych nakazów i zakazów. Ono jest również źródłem wiedzy o tym, co złe i dobre. Albowiem budujemy etykę niezależną, której zasadnicze zręby, normy i problemy Kotarbiński zarysowuje, wsłuchując się w głos sumienia, a jego nalegań nic innego zastąpić nie jest w stanie. To jest bodaj wniosek najważniejszy artykułu, wniosek stary jak świat, lecz na nowo znaleziony w gąszczu trudności naszych własnych czasów z ich przewrotami i komplikacjami w wszelkich dziedzinach zbiorowego i indywidualnego życia :

„Etyka niezależna jest niezależna jeszcze w tym sensie, że własnego głosu sumienia nie podobna zastąpić głosem cudzym. W istocie rzeczy każdy z nas... odwołuje się przede wszystkim do własnego sumienia. Ono jest dla każdego z nas sędzią nad sędziami. Ono wydaje w każdej sprawie moralnej sąd surowy, bezwzględny, ostateczny”.

III

Rozprawka „Ku Nowym Formom Życia Społecznego” Stanisława Ossowskiego miała losy podobne do artykułu Kotarbińskiego w „Płomieniach”. Pisana była w okresie hitlerowskiej okupacji i wyszła po raz pierwszy w 1943 roku jako druk konspiracyjny. Po raz wtóry ukazała się drukiem z niewielkimi zmianami w 1947 roku. Potem ślady jej się gubią, a jej autor pozbawiony został praw nauczania i odsunięty od wpływu na młodzież. Ukazuje się teraz ponownie jako przedruk wydania z 1947 roku z inicjatywy młodego pokolenia, które przez lata było chronione przed wychowawcą uznającego bogów, jakich państwo nie uznaje. Dla pełni obrazu dodajmy, iż dzisiaj Ossowski jest znowu czynny na katedrze socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, kieruje sekcją socjologii Komitetu Filozoficznego PAN i reprezentuje polską socjologię na gruncie międzynarodowym.

Nie jest rzeczą przypadku, iż rozprawa Ossowskiego mogła się ukazać jako niezmienny przedruk wydania z 1947 roku. Sprawy w niej poruszone są obecnie równie aktualne jak były w 1947 roku. Ossowski daje w swej rozprawce jasną i zwięzłą analizę pojęcia demokracji, jej tradycyjnych form, osiągnięć i niedomagań, wraz z zaleceniami dotyczącymi jej nowoczesnej postaci, która wymaga rozszerzenia pojęcia demokracji ze sfery politycznej na społeczno-gospodarczą. Dzisiaj jest rzeczą powszechnie uznaną, iż między zjawiskami gospodarczymi a politycznymi i kulturalnymi istnieje ścisła zależność. W humaniza-

cji wszystkich dziedzin życia zbiorowego, nade wszystko w pozabawieniu wykształcenia charakteru przywileju dla wybranych, oraz w uspołecznieniu życia gospodarczego (co znaczy coś znacznie więcej niż upaństwowienie środków wytwórczości), widzi Ossowski skuteczniejsze lekarstwo na wady demokracji politycznej niż metody półdyktatorskie, dyktatorskie i różnorodne fikcje totalistyczne odwołujące się do „woli ludu” dla zatarcia śladów. Szczególną aktualność mają rozważania poświęcone czynnikom stabilizującym i umacniającym demokratyczne formy życia społecznego, jak również dyskusja zjawisk społecznej patologii, wyrastających z traktowania zjawisk ekonomicznych wyłącznie w kategoriach ekonomicznych lub z prób godzenia demokracji z uciskiem. Grupa obywateli uznanych z tych lub innych przyczyn za obywateli drugiej klasy, każda grupa uciskana, „staje się ropnym miejscem, z którego sączy się jad zatruwający cały organizm”. Zatruiwa on nie tylko teraźniejszość, lecz również i przyszłość, gdyż nie można wychowywać rzetelnych obywateli praktykując jednocześnie tolerancję krzywdy, upośledzenia i samowoli.

IV

Pozostałe trzy broszurki zajmują się ściśle praktycznymi zagadnieniami i wśród nich palmę pierwszeństwa oddać trzeba tomikowi „Władza i Lud” Kazimierza Biskupskiego. Jest to broszurka doskonała, a jej walory występują tym wyraźniej, gdy się ją zestawia z „Praworządnością” Stanisława Ehrlicha.

Tematem broszury Biskupskiego jest socjalistyczny konstytucjonalizm. W związku z tym pojęciem autor dyskutuje — posługując się jego terminologią — sprawy zwierzchnictwa ludu, systemu przedstawicielstwa, wymiaru sprawiedliwości, praw i obowiązków obywatelskich oraz prawa wyborczego. Autor nie ma trudności w wykazaniu, iż w teorii zasady socjalistycznego konstytucjonalizmu mają wyższość nad zasadami konstytucjonalizmu burżuazyjnego. W teorii można zawsze skonstruować system bardziej konsekwentnie demokratyczny niż wszystkie dotąd znane. Biskupski zdaje sobie jednak sprawę — na czym polega jedna z głównych zalet jego broszury — iż zasady konstytucji i ich realizacja to dwie różne rzeczy. Zdaje on sobie sprawę z różnicy nie tylko między zasadami konstytucyjnymi i ich realizacją, lecz również z faktu, iż realizacji zasad nie można pozo-
stawić na łaskę i niełaskę osób, powołanych do tego, by ją wprowadzać w życie. Socjalistyczny czy jakikolwiek inny konstytucjonalizm to sprawa zależna od istnienia i charakteru odpowiednich instytucji, ustaw i prawnej procedury gwarantujących prawa poręczone konstytucją, kultury prawno-politycznej całego społeczeństwa i nade wszystko ludzi sprawujących ster władzy. Biskupski przystępuje do dyskusji problemów socjalistycznego konstytucjonalizmu z tego właśnie punktu widzenia i dla tego ma w każdej z poruszonych spraw rzeczy ważne, słuszne i pożyteczne do powiedzenia.

W broszurze Biskupskiego czytelnik znajdzie również sformułowania, które nie łatwo jest mu zrozumieć. Jednym z nich jest na przykład stwierdzenie, iż konstytucjonalizm socjalistyczny odrzuca z koncepcji Monteskiusza podziału władz zasadę „równowagi”, wzajemnego hamowania lub ograniczania się trzech władz, oraz zastępuje ją zasadą bardziej postępową nadrzędności władzy ustawodawczej (organu przedstawicielskiego w terminologii Biskupskiego) nad władzą wykonawczą. Przyjmując zasadę podziału władz Monteskiusza przyjmuje się jednocześnie, iż każda z władz posiada pewne funkcje, jakich pozostałe nie posiadają, z czego wcale jeszcze nie wynika, iż można z tego wyprowadzić nadrzędność jednej z nich nad pozostałymi. Drugą rzeczą, znacznie poważniejszą, jakiej czytelnik nie jest w stanie zrozumieć, to niefrasobliwe pominięcie najistotniejszego zagadnienia realizacji konstytucjonalizmu w Polsce, mianowicie zagadnienia stosunku wszystkich trzech władz, równych lub nierównych, do Partii. W rzeczywistości Partia ma w Polsce pełnię władzy i fakt ten ogranicza funkcje władz w schemacie Monteskiusza, jakie mają stanowić fundament polskiego socjalistycznego konstytucjonalizmu. Pomijanie milczeniem tego faktu, podstawowego w polskiej rzeczywistości, stwarza niebezpieczeństwo, iż rozważania natury prawno-politycznej powrócą znowu w krainę cieni i fikcji. Przyczyny nie mające nic wspólnego ze względami prawno-politycznymi mogą prowadzić do uznania istnienia czwartej władzy — Partii, nie mieszczącej się w ramach konstytucjonalnych. Można się także zastanawiać, w jaki sposób godzić tę pozaprawną konieczność istnienia czwartej władzy z systemem konstytucyjnym przewidującym tylko trzy władze. Można dalej rozważać w jaki sposób zapewnić najsprawniejsze działanie tradycyjnych trzech władz przy istnieniu władzy czwartej mając na uwadze maksymalny w danych okolicznościach pożytek dla praworządności i ogółu obywateli. Lecz zamknięcie oczu na te sprawy, w szczególności w broszurze — powtórzmy to raz jeszcze — pod wieloma względami doskonałej, jest intelektualnym unikiem lub niedopatrzeniem wymagającym poprawek w następnych wydaniach.

Kto pragnie zaciągnąć się łykiem stalinowskich oparów wienien, przeczytać „Praworządność-Sejm” Stanisława Ehrlicha, kto zaś chce sobie tej przyjemności zaoszczędzić niech nie bierze tej broszury do ręki. Czegóż bowiem w niej nie ma. Ponoć źródła ograniczeń „jawności działalności politycznej partii robotniczej” szukać trzeba w nawykach nabytych w okresie konspiracji. Przymus administracyjny to skutek zlekceważenia prawa wartości. „Nagminne (sic!) przestrzeganie prawa” nie polega na przestrzeganiu obowiązujących norm prawnych, lecz takiego ich zespołu, który pozostaje w zgodzie z obiektywnymi prawami społecznymi. „Ścisłe przestrzeganie prawa nie oznacza dosłownego jego rozumienia”. Porównanie Partii do siły motorycznej, a organów państwowych i organizacji społecznych do transmisji nie budzi zastrzeżeń Ehrlicha, jeżeli Partia przekazuje siłę

motoryczną poprzez swoich członków, a nie jednego zaufanego. Wówczas można transmisję nazwać sojuszem i zagadnienie jest rozwiązane. Suwerenność Partii jest warunkiem suwerenności Sejmu, w którym wszystko działać się będzie doskonale, gdy tylko Front Narodowy jest poważnie traktowany. Partia nie ogranicza samodzielności Sejmu, jeżeli zadowala się ogólnymi wytycznymi zamiast wydawać szczegółowe dyrektywy. Wprowadzenie instytucji prezydenta mogłoby utrudnić walkę z kultem jednostki. Cała broszura roi się bądź o pseudo-problemów, bądź od pseudo-rozważań, bądź od połączenia obu. Należy przed nią przestrzec czytelnika, który zawierzając firmie — biblioteczce „Po Prostu” — szuka w niej rzeczowych rozważań i dyskusji nad rzeczywistymi zagadnieniami.

V

Pozostawienie omówienia broszury Eugeniusza Kuszko na koniec nie oznacza, iż traktować ją należy jako najmniej godną uwagi i zainteresowania. Różni się ona jednak od pozostałych, ponieważ zwraca się raczej do członków Partii niż do szerokiej publiczności, jest polemiką o marksizm i jego właściwą interpretację przeprowadzoną z pozycji „demokratycznych” przeciw „stalinowskiemu dogmatykom i sekciarzom”. Taka była intencja, lecz treść broszury jest bogatsza. Kuszko nie jest „talmudystą” i w polemice bardziej zależy mu na tym, by dojść do prawdy niż aby mieć rację. Dążąc do tego celu dochodzi do wniosków daleko odbiegających od prawd potocznie uchodzących za marksizm. Tak na przykład Kuszko wywodzi, iż demokracja burżuazyjna nie rozwiązuje wprawdzie zagadnień społeczno-ekonomicznych, lecz jest pierwszym w dziejach świata ustrojem dającym szerokim masom „wolność walki o wolność”. Nie jest prawdą, o czym przekonują fakty, iż w kapitalizmie monopolistycznym ustaje postęp techniczny. O „prawie pauperyzacji” klas pracujących w ustroju kapitalistycznym można mówić tylko w sensie względnym. Oczywiście jest bowiem rzeczą, że im wyższy jest poziom gospodarczy tym wyższa jest również stopa życiowa. Przemoc klasowa i dyktatura proletariatu nie oznacza negowania ustaw, lecz ustanawianie ustaw z woli klasy panującej i opartą na nich praworządność. Nie ma panowania klasy robotniczej bez wolności klasy robotniczej. Ucisk burżuazji sprowadza się do pozbawienia burżuazji władania środkami produkcji i władzy politycznej.

Najciekawsze rzeczy Kuszko ma do powiedzenia w sprawie wolności słowa i myśli. W „konkretnych warunkach historycznych” istnieć może konieczność ograniczenia tych swobód. Ograniczenia te tylko wówczas są konieczne, jeżeli okoliczności „lokalne i narodowe” nie dopuszczają pełnej swobody dyskusji. Zakaz jest bronią ostateczną i wtórną, polemika bronią główną. Wolność słowa i myśli są dobrem, ich ograniczenie złem, chociaż czasem złem koniecznym. W obronie tej swobody Kuszko

— zapewne nieświadomie — posługuje się klasycznym argumentem Johna Stuarta Milla.

Broszura Kuszko nie jest pełnym wywodem tego, co jej tytuł obiecuje, lecz w debacie toczącej się w Polsce, w poszukiwaniach właściwego sensu zapomnianych lub zniekształconych pojęć, w próbach ich konfrontacji z rzeczywistością w kraju i poza jego granicami, odegra ona pożyteczną rolę.

Pierwsze pięć tomików biblioteczki „Po Prostu” jest z wyjątkiem jednej pozycji przedsięwzięciem ze wszech miar udanym.

Zbigniew JORDAN

Druga strona księżycy

W recenzji książki lub sztuki, reguły gry są stosunkowo proste. Wystarczy skrytykować autora i treść jego dzieła. Sprawa wikła się jednak gdy wypada omówić czasopismo, bo kto jest autorem czasopisma i co jest jego treścią? Zadanie jakie mi postawił redaktor „Kultury” — omówienie rocznika 1956 „Problemów” — ma jeszcze dodatkowe utrudnienie. Pisząc w Kanadzie, mam omówić pismo wydawane w Polsce. W Polsce, w której nie byłem od osiemnastu lat. W Polsce wielkich i tragicznych przeobrażeń, które znam tylko z drugiej ręki i przez mgłę uprzedzeń. Jestem jak astronom, który widząc tylko jedną stronę księżycy chce opisać — na podstawie swego ziemskiego doświadczenia — drugą stronę, wiecznie od ziemi odwróconą.

„Problemów” są miesięcznikiem „popularno-naukowym”. Ostatni numer jaki dostałem — z listopada 1956 — jest numerem 128, wychodzą więc od jedenastu lat, niemal od początku Polski, której nie znam. Ta ciągłość świadczy nie tylko o tym, że „Polska Ludowa” (jak „Problemów” nie wiadomo dlaczego nazywają Polskę) ma klimat sprzyjający scjentyfice, ale także o tym, że redakcja „Problemów” spoczywa w ręku ludzi giętkich, sprawnie reagujących na polityczne koziołki otoczenia. Znamienny jest, w tym sensie artykuł prof. dr. Wacława Gajewskiego pt. „Parę słów o sytuacji w naukach biologicznych. Istota sporu genetycznego”, w numerze październikowym. Artykuł omawia tragedię genetyki rosyjskiej, a jego znamienność leży głównie w dacie numeru „Problemów” w którym się ukazał. Rosja Sowiecka (Związek Radziecki, jak piszą „Problemów”) załatwiła się z towarzyszem Łysenko już od dawna, ale „Problemów” zauważyły dopiero w październiku 1956, że „upadek Łysenki to triumf wolności nauki, triumf prawdy nad niesłychaną

w historii nauki próbą narzucenia „oficjalnych” poglądów naukowych...” (Na marginesie: czy dr Gajewski nie słyszał o... Galileusz?). Dopiero w październiku 1956 dowiedziały się „Problemy”, że „Wawilow został aresztowany i wszelki ślad po nim ginie” i że „w roku 1942 zmarł na zesłaniu w Syberii”, i że „wielu innych genetyków współpracujących z Wawilowem przestało pracować naukowo i o losie niektórych z nich dotychczas nic nie wiadomo”, i że „w 1948 na słynnym sierpniowym posiedzeniu Akademii Nauk Rolniczych im. Lenina... genetykę tak zwaną formalną uznaje się za pseudonaukę reakcyjną, dla której nie ma miejsca w Z.S.S.R. Po takim argumentcie część przeciwników Łysenki „po nieprzespanej nocy” (cudzystów „Proble mów”) oświadczyła, iż zmienia swój pogląd i wycofuje się ze swych stanowisk” i „...że jest to oczywista bzdura może się przekonać każdy student na pierwszym roku botaniki”.

Rozwodzę się nad tym, nie z wyżyn mego „wiadomo, bolszewiki!”, i nie aby uragać, sztydzić lub napiętnować. To byłoby zbyt łatwe i niesprawiedliwe. Los ośzczędził mi „wędrowki do kresu nocy” i „ciemności w południe”, więc jak mógłbym pierwszy rzucić kamieniem. Piszę o tym, bo artykuł dr. Gajewskiego uchyla okno przez które nie tylko prąd świeżego powietrza dostaje się do wnętrza, ale które daje i nam bezpośredni wgląd na „drugą stronę księżyca”. „Nauczyciele w szkołach, przyzwyczajeni przez poprzedni okres do nauki „oficjalnej”, nie wiedzą co „wolno”, co „można” wyklądać a czego nie. Wszyscy wokoło pytają, jaka jest naprawdę sytuacja”. Prof. dr. Gajewski wyjaśnia! Zjemy temu i sobie (innymi słowy: Polsce, bez przymiotnika) aby nie musiał żałować tego wyjaśnienia.

Artykuł dr. Gajewskiego, choć charakterystyczny dla „odwilży”, nie jest typowy dla „Problemów”. „Problemy” popularyzują naukę, ale na ogół unikają szerokich i polemicznych uogólnień. Są techniczne raczej niż filozofujące. Jest to — przypuszczam — wynikiem filozofii politycznej jaką obrał (lub musiał obrać) rząd „Polski Ludowej” i jaką obrali (lub musieli obrać) redaktorzy „Problemów”. Ten „materializm” jednak nie razi. Publicystyka popularno-naukowa ma miejsce i na pragmatyzm i na teorię, a przewaga pragmatyzmu w „Problemach” jest zdrową odtrutką na tradycyjną polską tromtadrację. Choć szkoda, że nie było miejsca na więcej takich doskonałych uogólnień jak „Myślą czy nie myślą” Zdzisława Pawlaka (o cybernetyce), „O granicy między żywym i nie żywym” (dyskusja radiowa — ciekaw jestem czy bezpośrednia czy czytana — o zagadnieniu początków życia) lub „Plan pięcioletni i zadania nauk technicznych” Mieczysława Lesza (artykuł imponujący entuzjazmem, choć nieco mglisty jeśli chodzi o rzeczywiste dokonania i możliwości. Czy p. Lesz nie jest przypadkiem politykiem?!). Do tej samej kategorii „uogólnień” mógł należeć artykuł Eugeniusza Rvbki „Jak powstały słońce, gwiazdy i planety”, gdyby nie zakradła się doń *blagonadziejność*, przed którą ostrzegał prof. dr Gajewski.

Dla zobrazowania zainteresowań „Problemów” i ich czytelników przytaczam parę tytułów artykułów „praktycznych” które mnie osobiście także zainteresowały. „Wrażenia z podróży lotniczej Warszawa-Kanton” (z arcyciekawymi fotografiami), „Budownictwo w epoce energii jądrowej”, dwa artykuły o Beniaminie Franklinie, „O dzieciach ludzkich wychowywanych przez zwierzęta lub w izolacji”, reportaż z nowego „Muzeum Techniki” w Warszawie, „Jak drzewa dostosowują swą grubość w zbiorowiskach”, „Izotopy fotografują się same”, „Dla czego ryby wędrują”, „Bałtyk — morze niespokojne”, oraz artykuły o „roku geofizycznym”, które słusznie zajmują — obok energii jądrowej — bodajże najwięcej miejsca w roczniku 1956.

„Problemy” są redagowane żywo i aktualnie i poza artykułami przynoszą w każdym numerze sprawozdania z wydarzeń międzynarodowych i przedruki bardziej ciekawych prac zagranicznych. (Ciekaw jestem czy przedruki „z Zachodu” są autoryzowane?) Większość artykułów jest na zadawalającym poziomie a skala zainteresowań „Problemów” (i ...pewnie także ich czytelników) jest jak z powyższego zestawienia wynika, szeroka.

Dlatego zdziwiła mnie, zastanowiła i... ubawiła „wojna” polemiczna jaką „Problemy” prowadzą z „Domem Książki”. „Problemy” zapoczątkowały wydawnictwo „Biblioteki Problemów”, coś jak popularno-naukowa „Biblioteka Kultury”. W ogłoszeniu zapowiadającym nowe wydawnictwo znalazły się następujące zdania: (podkreślenia oryginalne) „*Z powodu trudności czynionych przez „Dom Książki” tomy „Biblioteki Problemów” będą się ukazywały w ograniczonym nakładzie...*” I dalej: „*„Dom Książki” który niestety decyduje o nakładzie książek, wykazując całkowity brak zrozumienia dla spraw literatury popularno-naukowej — zgodził się na przyjęcie do sprzedaży tylko... 3.000 egzemplarzy książki. Postanowiliśmy wydrukować dodatkowo — na własne „ryzyko” — jeszcze 2.000 egz.*”

Kto ma rację? Czy redakcja „Problemów” oceniająca potencjalnych czytelników na z górą 5.000, czy też ostrożny „Dom Książki”, który przezorniej widzi ich co najwyżej 3.000? Pytanie bardzo ważne dla opisu „wiecznie od ziemi odwróconej strony księżyca”. 3.000 egzemplarzy to bardzo duży nakład popularno-naukowej książki. Nie wiele książek cieszyło się takim nakładem w Polsce przed 1939. Z drugiej strony znamy jednak z własnego „strattonowego” doświadczenia losy wydawnictw za pieniądze rządowe i własne „ryzyko” — które nawet „Problemy” wypisały w cudzysłowie — jest raczej... zastanawiające. Jeśli książki „Biblioteki Problemów” rozejdą się w wolnej sprzedaży nawet tylko w 3.000 egzemplarzy, dużo to opowie o klimacie zainteresowań intelektualnych „Polski Ludowej”, ale *jak sprawdzić* czy „ryzyko” „Problemów” nie spotkało się z tym samym losem co „Marchewka” Hemara?

Listy z Bliskiego Wschodu

Czego tam nie ma w tej niedużej, lecz jakżeż urozmaiconej książeczce! Prawdziwy „kram rozlicznego gatunku”: studia archeologiczne; opisy dzielnic specjalnych; pułkownik obdarzony „czarującym uśmiechem”; „ulubieniec kobiet, kolegów i całego społeczeństwa” (podobizna załączona), ginący z rąk najemników kapitału; rozważania ekonomiczne i społeczne; piękna żona dyplomaty, przez miłość zdradzająca tajemnice męża; wywiady z ministrami i szefami partii komunistycznych; konspekt geografii krajów arabskich (z mapą) i, na zakończenie, list autora do generała Templera, szefa brytyjskiego Sztabu Generalnego.

Autor, współpracownik „Trybuny Ludu”, objechał na jesieni 1955 r. kilka krajów arabskich, bądź sam, bądź też towarzysząc warszawskim delegacjom, handlowej i technicznej. Ta ostatnia, demonstrująca rządowi krajów muzułmańskich pewnego inżyniera, Tataro polskiego, pobiła nawet we współzawodnictwie inne grupy, stojące do przetargu o przygotowanie projektu odbudowy kolei hedżaskiej. Cóż, kiedy „Amerykanie puścili w ruch wszystkie środki nacisku” i sprawa się nie udała. Zdaje się natomiast, iż udała się inna transakcja, do której autor, powraca raz po raz: sprzedaż broni. Na ten temat autor cytuje oświadczenie pewnego premiera lokalnego: „kupujemy żelazo, a nie idee”.

Autor ma predylekcję do pewnych krajów arabskich, których „sokół (na godłe państwowy) patrzy w lewo!”. Inne państwa są bardzo ostro potępiane, najwięcej dostaje przy tym mały Liban: Libańczycy „mają nadal opinię najlepszych kupców Bliskiego Wschodu choć nie najuczciwszych”. „Obowiązuje bowiem w tym kraju jeszcze jedna zasada odziedziczona po przodkach: pieniądze nie śmierdzą”. Dużo złości wylewa autor na „andersowców”, działających w Libanie „dzięki poparciu ‘inteligentnych’ angielskich protektorów”. Ci pogardzani „andersowcy”, kilkadziesiąt niedobitków drogi krzyżowej z tundr do pustyni arabskich, pokutują jeszcze ku zgorzzeniu autora, po sanatoriach i schroniskach gościnnego Libanu, gdyż nie wytrzymałoby dalszego transportu. Szkoda jednak, iż autor nie zapoznał się z literaturą tych zaprzedańców, chociażby z krótkim przewodnikiem, wydanym w swoim czasie. Uchroniłoby to go od błędów, takich na przykład jak obdarzanie hojną ręką Bejrutu i Aleppo aż półmilionową ludnością.

Przechadzając się po miastach Wschodu, autor ma swoich przewodników i ma własne zainteresowania: poświęca dużo uwagi „domom o niezbyt prywatnym charakterze” lub scenom rozpusty w „uliczce, niedaleko placu Taksim”. Nota bene, plac Taksim stanowi centrum najbardziej nowoczesnej dzielnicy stambulskiej o szerokich i równych ulicach. Bardzo ciekawy jest też opis miast arabskich w czwartek wieczorem, obraz mający przypomnieć angielską sobotę. Tymczasem w krajach arabskich (nawet w Aleppo, gdzie autor jakoby miał obserwować tę scenę) nie tylko w czwartek wieczorem, lecz nawet w piątek przez cały dzień, pracuje się i handluje nie gorzej niż każdego innego dnia; jedynie w czasie nabożeństwa w meczetach sklepy są zamykane na godzinę.

(*) Roman Szydłowski, *Listy z Bliskiego Wschodu*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1956.

Cała książeczka, pomyślana jako encyklopedia kieszonkowa wschodoznawstwa, jest właściwie, łącznie ze swoim językiem (soczystym, lecz nie zawsze poprawnym), najbardziej ordynarną i mało inteligentną (bez cudzy-słowo) agitką.

B. N.

Strzępy bezpośrednich kontaktów

Z dużą przyjemnością przeczytałem „Kontakt bezpośredni”, zbeletryzowany pamiętnik brytyjskiego brygadiera Claude H. Dewhursta (*), który od marca 1951 do marca 1953 był szefem Wojskowej Misji Brytyjskiej przy sowieckich wojskach okupacyjnych w Niemczech Wschodnich. Choć nie mogę się zgodzić z twierdzeniem przedmowy gen. W. Andersa, że książka ta ma wartość dokumentu politycznego i historycznego (bo sam autor zastrzega się starannie, że w swej relacji całkowicie pomija całą stronę merytoryczną swych funkcji), najchętniej przyznaję, że jest napisana z dużą swadą, z niezbyt częstym u wojskowych pamiętnikarzy poczuciem humoru, że jest skomponowana przejrzyście, ciekawie i z francuską prawie lekkością, jakiej nie można by się spodziewać po żadnym pułkowniku Blimpie. Bo też brygadier Dewhurst jest z pewnością człowiekiem inteligentnym, typem oficera nowoczesnego, umiejącego patrzeć i widzieć, a co ważniejsze — myśleć. W ramach dziesięciu rozdziałów autor daje przegląd takich spraw i zagadnień jak sowiecki system bezpieczeństwa wojskowego, stosunek Rosjan do prasy, autoreklama sowiecka, „humor” sowiecki i próbuje odpowiedzieć na pytanie, czy Rosja jest słaba, czy silna. Ponadto angielski pułkownik zajmuję się sprawą dezertersów sowieckich, omawia dziwną śmierć Józefa Stalina (która zdaniem jego nastąpiła znacznie wcześniej, niż ogłoszono oficjalnie) i wreszcie jeden rozdział (pierwszy w książce) poświęca swym obserwacjom poczynionym w Jugosławii w czasie oderwania się Tity od bloku sowieckiego. Ten właśnie rozdział jest najciekawszą i najbardziej dziś aktualną częścią książki, choć nie zawiera żadnych wyjątkowych rewelacji. Jest także parę poloniców ciekawych dla polskiego czytelnika.

Książka została wzorowo przełożona przez J.P. Herwartha i wydana w poprawnej szacie graficznej (dobra sztywna okładka, przyzwoity papier), jednak chyba bez rewizji drukarskiej, gdyż procent błędów literowych jest stanowczo zbyt wielki.

Gdyby na emigracji wychodziło dwieście książek rocznie, pamiętnik Dewhursta stanowiłby wśród nich wcale dobrą pozycję, jako lektura dla przeciętnego czytelnika, który lubi coś „poważniejszego” na zakąskę przed powieścią. Ponieważ jednak wydawanie książek polskich ciągle jeszcze jest sprawą trudną i godną bardzo starannego zastanowienia, gdy chodzi o wybór tytułów, mam pewne wątpliwości, czy i jaką istotną potrzebę zaspakaja właśnie ta książka. Bo chyba „Kontakt bezpośredni” nie jest przeznaczony dla

(*) Dewhurst Claude H., brygadier, *Kontakt bezpośredni*, przedmowa gen. W. Andersa, przekład z angielskiego J.P. Herwarth, str. 232. Wydawnictwo „Książka dla wszystkich”, Gryf Publications Ltd., Londyn 1956.

polских oficerów sztabowych, którzy, z nielicznymi wyjątkami, w żadnej wojnie (jeśli jakakolwiek w ogóle wybuchnie) nie wezmą już udziału z powodu przekroczenia granicy wieku. I chyba nie dla młodzieży, która, jeśli w ogóle interesuje się wojskowością, mogłaby ją przeczytać w oryginale. Także nie dla Kraju, bo ten zna lepiej bezpośrednie kontakty z bolszewikami i radzi sobie z nimi (przynajmniej jak dotychczas) znacznie lepiej od brygadiera Dewhursta. A zatem?

Jedno jest pewne. Że dzięki wydaniu pamiętnika brytyjskiego oficera poznaliśmy nowego bardzo dobrego tłumacza. Myślę, że mógłby się on pokusić o pracę znacznie wyższej klasy — choćby o przełożenie którejś z powieści Evelyn Waugh, pisarza bardzo ciekawego, bardzo angielskiego i dotychczas na polski prawie nie przekładanego. Wydanie przez „Książkę dla wszystkich” choćby takiej pozycji jak „Brideshead Revisited” byłoby może lepszym pociągnięciem wydawniczym, niż ciągle kręcenie się w zaczerpniętym kręgu spraw rosyjskich.

j. j.

Nadesłane nowości wydawnicze

KSIAŻKI EMIGRACYJNE I ZACHODNIE:

WESTFAL (Stanisław). *Rzecz o polszczyźnie*. Gawęda o języku polskim. Str. 195 (Nakł. Kat. Ośrodek Wyd. „Veritas”, Tom III Serii zielonej „Biblioteki Polskiej”, Londyn 1956, cena 15 sh.)

FELSZTYN (Tadeusz). *Świat w oczach współczesnej nauki* (Najnowsze odkrycia naukowe). Wydanie drugie przejrane i poszerzone. Str. 304. Okładkę projektował J. Faczyński (Nakł. Kat. Ośrodek Wyd. „Veritas”, Londyn, 1956, cena 15 sh.).

POLIAKOV (Léon) - WULF (Josef). *Das Dritte Reich und seine Diener. Dokumente*. Str. 540. (Nakł. Arami, Verlags-GMBH Berlin - Grunewald, 1956, cena DM. 39,50).

POBÓG-MALINOWSKI (Władysław). *Najnowsza historia polityczna Polski. 1864-1945*. Tom II., Cz. I-sza. Str. 665 (Nakład autora, Londyn 1956, cena 28 sh.).

Sacrum Poloniae Millennium. Tom III. Rozprawy, szkice, materiały historyczne. Str. 646 (Rzym 1956).

First population census of Sudan 1955/56. Supplement to interim reports. Str. 37. (Wyd. The Republic of Sudan, Ministry for Social Affairs, Population Census Office, Chartum, 1956).

First interim report. Str. 52 plus mapa (Wyd. The Republic of Sudan, Ministry for Social Affairs, Population Census Office).

WEISSBERG (Alex). *Die Geschichte von Joel Brand*. Str. 319 i 16 nłb. (Ed. Kippenheuer und Witsch, Koeln-Berlin, 1956).

MARCEL (Simone). *Histoire de la littérature polonaise*. Des origines au début du XIX siècle. Pp. 294 (Ed. La Colombe, Paris, 1957).

STAHL (Zdzisław). *Czy zadania emigracji uległy zmianie?* Str. 55 (Wyd. Gryf Publications Ltd., Londyn, 1957).

- DANILEWICZOWA (Maria). *Dom. Powieść*. Str. 218 (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, tom XXX Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej”, Londyn, 1956, cena 15 sh.).
- REYMONT (W. St.). *Die Bauern*. Tłum. Jean-Paul d'Ardeschah. Str. 1144 (Eugen Diederichs Verlag, Duesseldorf-Koeln, 1956. Cena DM 19.80).
- NANWASHVILI (Vano Jan). *The Strength and Weakness of U.S.-S.R. What every one in the free world should know about Russia*. Str. 342 (powielacz). (Boston, Mass., USA, 1956).
- DANILEWICZ (Maria L.). *Polish Studies*. Odbitka z XVII t. rocznika „The Year's Work in Modern Language Studies by a Number of Scholars, edited for the Modern Humanities Research Association of L.T. Topsfield, M.A., Ph. D., Fellow of St. Catharine's College, Cambridge”, 1956, str. 466-495.
- ROOS (Hans). *Polen und Europa. Studien zur polnischen Aussenpolitik 1931-1939*. (Nr 7 Tuebinger Studien zur Geschichte und Politik). Str. 421. (Wyd. J.C.B. Mohr (Paul Siebeck), Tuebingen, 1957, cena DM).
- KOSSAK (Zofia). *Dziedzictwo*. Juliusz i Zofia. (Tom pierwszy stanowiący odrębną całość 3-tomowej powieści). Powieść historyczno-obyczajowa. Ilustracje Juliusza Kossaka. Str. 240 (Wydawnictwo Polskie Tern (Rybitwa) Book, Londyn).
- PRZYŁUSKI (Bronisław). *Uprosiłem ciemności*. Wiersze 1949-1956. Str. 99 (Nakł. Drukarni Polskiej White Eagle Press, Ltd. Londyn, 1957).
- BUCK (Pearl S.). *Węzły krwi*. Powieść o współczesnych Chinach. Z upoważnienia autorki przełożyła Aga Corvin Mundell. Str. 404 + 6 nłb. (Wydawnictwo Polskie Tern (Rybitwa) Book, Londyn).
- WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ**
Warszawa :
- GEOFFRE (de François). *Normandie-Niemen*. Wspomnienia pilota. Tłum. z francuskiego J. Nowacki. Str. 247 (zł. 9).
- BRUN (Julian). *Narodziny armii narodowej*. Str. 148 (zł. 12,50).
- SAWICKI (Jerzy). *Od Norymbergi do układu paryskiego*. Str. 447 (zł. 18.40).
- SZYDŁOWSKI (Roman). *Listy z Bliskiego Wschodu*. Str. 224 + mapa (zł. 7.50).
- BRONIAREK (Zygmunt). *Od Mississipi do Hudsonu*. Str. 230. (zł. 9.50).
- CHABROL (Jean-Pierre). *Ostatni nabój*. Tłum. z franc. H. Szumańska-Grossowa). Str. 526 (zł. 16.50).
- SIMONOW (Konstanty). *Dnie i noce*. Tłum. z ros. Cz. Jastrzębiec-Kozłowski. Str. 373.
- KIRST (H.H.). 08/15. Tom I. Tłum. z niem. J. Frühling. Str. 347 (zł. 347).
- CZERNIK (Stanisław). *Wilcze doły*. Str. 240 (zł. 8).
- MACHEJEK (Władysław). *Rano przeszedł huragan*. Str. 303 (zł. 7).
- DODD (Maria). *Ci co sięgają wiatr*. Tłum. z ang. J. Brodzki. Str. 444 (zł. 16).
- RYMKIEWICZ (Władysław). *Noc Saska*. Str. 326. (zł. 19.50).
- NOWIKOW-PRIBOJ (Aleksiej). *Cusima*. Tłum. z ros. Wł. Broniewski. T. I str. 412. T. II str. 552 (zł. 44.50).
- WOJTKIEWICZ - STRUMPH (Stanisław). *Bitwa o Paryż*. Str. 324 + mapa (zł. 10.55).
- STANIUKOWICZ (K.M.). *No-wele morskie*. Tłum. z ros. J.B. Rychliński. Str. 737 (zł. 35).

Listy do Redakcji

Londyn, dnia 4 lutego 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z wypowiedziami w ostatnich numerach „Kultury” tyczącymi się październikowego walnego zebrania Związku Pisarzy z 20 i 21 października i jego uchwał, chciałbym zgłosić parę poprawek historycznych.

Jedną mniejszej wagi, osobistą. P. Juliusz Mieroszewski przypisuje mi oświadczenie że „trzeba być... cymbałem by nie dostrzegać istotnych zmian, które zaszły w Polsce”. Oklaskiwał rzekomo te słowa. Były to oklaski niezasłużone, bo tego nieparlamentarnego zwrotu jako żywo nie użyłem.

Natomiast odpowiedzialność za powziętą nazajutrz rano uchwałę przypisuje prez. Terleckiemu i red. Kisielewskiemu. Należała się wzmianka i mnie bo namęczyłem się nad tą uchwałą w ciągu bezsennej nocy z soboty na niedzielę, gdy nie wiedziało się z czym odlatują ci z Kremla i czy czołgi sowieckie zatrzymały się, czy idą dalej na Warszawę.

P. Juliusz Mieroszewski i niektórzy inni uczestnicy ankiety traktują naszą uchwałę z 21 października jakby była powzięta nie tylko po zwycięstwie Gomułki ale po tych dużych przemianach, które ono przyniosło. W rzeczywistości była powzięta gdy nic nie było wiadome i pewne poza wielkim zmaganiem się w Kraju pomiędzy narodem a obcą przemocą i jej sługami.

Czy w tej sytuacji mieliśmy milczeć? Trzeba było potwierdzić nasz stosunek do walki co tam się toczy i naszą służbę dla Kraju — przez to że jesteśmy wolnym głosem Polski. Nasz obowiązek by o niej i za nią mówić do świata. Wyśmiano zwrot o kołataniu do sumień wolnych narodów. Zapewne nie zmieni ono polityki rządów. Ale taki jest nasz obowiązek i nasza służba. Młodzi powstańcy w Poznaniu wołali: „powiedźcie wolnemu światu”, później węgierscy pisarze gdy czołgi sowieckie dławily powstanie, o to samo rozpaczliwie wołali. Gdyby pisarze emigracyjni tego wołania nie wysłuchali to byłoby właśnie zerwaniem solidarności z walczącym Krajem.

Co do ogłaszania lub nie ogłaszania prac pisarzy emigracyjnych w Polsce uchwała nie rzywała solidarności z pisarzami krajowymi którzy walczą tam o wyzwolenie myśli i słowa. Przeciwnie, podtrzymując postanowienia z 1947 by nie wchodzić w umowy z organami wydawniczymi monopolistycznego aparatu, wysuwała zarazem postulaty przywrócenia wolności słowa i druku (co oznacza oczywiście wyrzeczenie się monopolu partii komunistycznej) i dopuszczenia do Kraju polskich i obcych wydawnictw z wolnego świata — te same postulaty, które wkrótce potem postawili pisarze w Kraju w podobnym sformułowaniu. Ze wzruszeniem czytałem ich uchwałę. Z naszej nie wynikało wcale że na przemiany w Kraju zamykamy oczy,

ale że zmianę naszego stanowiska co do ogłaszania prac w Kraju uzależniamy od tego, co dla pisarza najistotniejsze jako warunek jego duchowej niezależności. Lepsze to chyba od tasiemcowych dysertacji na temat w jakiej walucie mają emigranci brać honoraria od „Czytelnika”. Ta dyskusja przyprowadza tylko o młodości.

Taki był sens naszej „dřetwej mowy”. By treść jej osądzić, trzeba ją — choćby się nie podobala przeczytać uważnie. Z niektórych głosów w ankiecie wynikałoby, że nie wszyscy pisarze — nawet znakomici — umieją czytać.

W tym, jak w innych sprawach, należałoby się w stosunku do ludzi o poglądach odmiennych nieco *fair play* — o ile „Kultura” ma reprezentować także polityczną kulturę. Czytam np. w ostatnim numerze (nr 111/112, str. 8-9) programowe wywody, z wyliczeniem warunków dalszego rozwoju sytuacji w Polsce w kierunku wyzwolenia: wycofanie wojsk sowieckich „z Europy Wschodniej” (czy aż za Ural ?), uznanie granicy Odry i Nissy przez mocarstwa zachodnie i udzielenie pomocy gospodarczej Polsce. Po czym sarkastyczna uwaga: „Byłoby naiwnością mniemać, że czterej „prezydenci” emigracyjni i skupieni wokół nich wczorajsi ludzie podejmą program naszkicowany wyżej”. Gdyby Londyńczyk czytał polską prasę londyńską to by wiedział, że nasza opinia polityczna jest co do tych zagadnień jednomyślna, że stanowisko Rady Trzech i Egzekutywy znalazło odpowiedni wyraz w słowie i druku, a p. Adam Ciołkosz o tych właśnie sprawach mówił w Departamencie Stanu. Był to zatem strzał zza płota — i kulą w płot.

Darujcie mi te uwagi, „wczorajszego” (a raczej przedwczorajszego) człowieka.

Łączę wyrazy poważania

M. KUKIEL

Londyn, 18 grudnia 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

Lektura odpowiedzi na ankietę „Kultury” na temat uchwały Związku Pisarzy Polskich na obczyźnie nastrocza dwie uwagi.

Przed wszystkim odnoszę wrażenie że ogromna większość uczestników ankiety nie wzięła pod uwagę okoliczności, w jakich została ona powzięta. Oceniają ją oni pod kątem wydarzeń październikowych w Polsce. Niewątpliwie dowiedzieli się o niej znacznie później, niż o tych wydarzeniach i to tłumaczy tę perspektywę.

Tymczasem zjazd obradował w sobotę 20 października i zakończył obrady w niedzielę rano. W sobotę jedna rzecz tylko była pewna, a mianowicie interwencja polityczna Moskwy: ranna prasa była przepełniona wiadomościami o „nalocie” przywódców sowieckich na Warszawę. Po południu nadchodziły wiadomości o wielkich ruchach wojsk sowieckich na granicy Polski i marszu kolumn sowieckich na Warszawę. Interwencja wojskowa Rosji groziła, jak się zdawało, lada chwila. Zwycięstwo Gomułki, usunięcie Rokossowskiego, pogodzenie się z tym Rosji — wszystko to nastąpiło już po zjeździe.

Niektórzy uczestnicy zjazdu, między innymi i niżej podpisany, uważali w sobotę że w takiej sytuacji, w której dalszy rozwój wydarzeń w Polsce jest nie do przewidzenia, byłoby lepiej poczekać nieco z formułowaniem

stanowiska w takiej zasadniczej sprawie. Większość zebranych, łącznie z przeciwnikami uchwały, nie przychyliła się do tego stanowiska. Sądzę, że gdyby sprawa była ponownie dyskutowana po upływie tygodnia czy dwóch — wynik mógłby być inny.

Drua uwaga: wielu uczestników ankiety nie wczytało się bodaj w pełni w jej treść, która bynajmniej nie stawia sprawy tak kategorycznie, jak to sobie wyobrażają. Dotyczy ona sytuacji w której Polska „pozostaje w politycznej niewoli i pod rosyjską przemocą”. Te określenia w pełni stosowały się do stanu rzeczy w dniu 20 października. Dziś, choć Polska nie jest na pewno wolna, a groźba przemocy sowieckiej nie jest zażegnana, sytuacja uległa już zmianie.

Uchwała nakazuje „powstrzymywać się od wszelkiej współpracy z instytucjami kontrolowanymi przez władze totalistyczne”. Ale bynajmniej nie zakazuje wydawania książek w firmach niezależnych od władz, jeśli takie powstały. A przecież nadchodzą już wiadomości o „reprivatyzacji” takich firm jak Gebethner i Wolff, czy Arct. Jeśliby zapowiedzi w pełni sprawdziły się powstałaby nowa sytuacja.

Tu tkwi także klucz do sprawy honorariów. Nie mogłem nigdy zrozumieć tezy że sprawę załatwi wypłacanie honorariów w kraju. Problem nie polega na tym czy pisarzowi na obczyźnie wypłaci się honorarium w Londynie, Nowym Yorku czy w Warszawie, ale — moim zdaniem — na tym *кто* płaci. Zupełnie co innego, gdy płaci firma wydawnicza z dochodów uzyskanych ze sprzedaży danej książki, a co innego gdy płaci placówka rządu totalnego i to z pieniędzy ściągniętych z obywateli podatkami czy wysokimi cenami. W pierwszym wypadku nie może być mowy o ukrytej subwencji od reżymu; w drugim — nie można tego na pewno wykluczyć.

Chyba każdy zgodzi się że jest wielka różnica między umową z Gebethnerem, a umową z Ministerstwem Obrony Narodowej i to w czasie gdy na jej czele stał Rokossowski!

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

A. BREGMAN

Richmond, 9. 2. 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

Chociaż sprawa, którą poruszam nie dotyczy bezpośrednio „Kultury”, mam nadzieję iż zechce Pan zamieścić niniejszy list ze względu na to, że opinia powinna być powiadomiona o praktykach stosowanych przez emigracyjnych „katonów”. Z osobistego punktu widzenia jestem winien wyjaśnienie czytelnikom pisma, z którego nazwisko moje znikło po dziewięciu niemal latach współpracy, a na którego łamach zrobić tego nie mogę.

Od roku 1948 byłem bliskim współpracownikiem londyńskiego „Życia”, w którym ogłaszałem artykuły literackie i ogólne, oraz utwory poetyckie. Między innymi przez trzy lata prowadziłem dział recenzji z teatru angielskiego, a od kwietnia ub. r. redagowałem niezależną kolumnę miesięczną „Młodzi Poeci Emigracji”.

W nrze z dnia 12. 8. ub. r. „Życie” włączyło się w szalejącą wówczas kampanię na temat druku w Kraju i kontaktów z pisarzami krajowymi. M. in. zaatakowano pisarzy emigracyjnych, którzy wzięli udział w obiedzie z pisarzami przybyłymi z Kraju na Kongres P.E.N.-klubów, rzekomo zorganizowanym przez ambasadę PRL w hotelu „Prince of Wales”, oraz młodych pisarzy, którym „agenci reżymu” mieli rzekomo proponować wydanie książek w Kraju. Obie te sprawy dotyczyły mnie, gdyż brałem udział

w owym obiedzie, oraz należałem do owych młodych pisarzy objętych plotką dotyczącą druku i agentów. Gdy zaoponowałem przeciw tej nagonce prywatnym listem, redaktor „Życia” p. J. Kisielewski udzielił mi w dniu 17.9. ub. r. audiencji, w trakcie której przyjął do wiadomości mój punkt widzenia na obie sprawy i dał mi do wyboru dwa sposoby załatwienia sprawy: 1. List do redakcji (z zastrzeżeniem, żeby za mocno redakcji nie „objędząć” za błędy zawarte w artykułach); 2. Pominiecie sprawy milczeniem, przy czym druk moich artykułów oraz utrzymanie kolumny poetyckiej miało oznaczać, że redakcja pisma „stoi za mną”. Wybrałem pierwszą alternatywę. Po wysłaniu listu do redakcji zawezwany zostałem w dniu 28.9. na drugą rozmowę z p. Kisielewskim, który oświadczył że nie może przyjąć listu krytycznego wobec Redakcji. Dał mi przy tym do zrozumienia, że powinienem był napisać nie, iż autorzy artykułów w „Życiu” w dobrej woli napisali rzeczy nieścisłe, ale iż ja w dobrej woli byłem na rzeczonym obiedzie itp. Złożenia samokrytyki odmówiłem. Odmowę tę potwierdziłem listownie i oświadczyłem, że przyjmuję drugą alternatywę proponowaną przez redakcję. Żadne materiały jednakże do druku nie poszły (ostatni mój artykuł ukazał się w lipcu, ostatnia kolumna poetycka 5. 8.), a więc jeszcze przed „wybuchem” sprawy „obiadu” na łamach „Życia”.

Dnia 22.10. odbyła się trzecia i ostatnia rozmowa z p. Kisielewskim. Okazało się, że nie sprawa „obiadu”, ale sprawa druku w Kraju jest główną bolączką. Oświadczyłem, że druk w Kraju przez pisarzy emigracyjnych uważam za rzecz pozytywną i wskazaną. Nie zanosi się jednak na to, żebym w dającej się przewidzieć przyszłości swój zbiór poezji w Kraju wydał. Gdyby tak się miało stać, zawiadomię redakcję „Życia”, która będzie miała wolną rękę w sprawie zrezygnowania z mojej współpracy. P. Kisielewski oświadczył, że zadowala go takie rozwiązanie i że kolumnę poetycką natychmiast przekaże do druku. Mimo to jednak kolumna poetycka nie ukazała się (a jedynym moim artykułem jaki ukazał się po lipcu był wywiad z Alec Guinnessem, złożony do druku w czerwcu, wydrukowany 25. 11.). Nie wiedząc, czym tłumaczyć sobie zarówno tę zwłokę (kolumna miała być miesięczna, a była już 3-4 miesiące opóźniona), jak i milczenie ze strony red. Kisielewskiego wysłałem na jego ręce cztery listy, datowane: 12.11., 21.11., 28.11., i 10.12. (Ostatnie dwa wysłane były jako polecone i otrzymałem z poczty potwierdzenie ich doręczenia). Na żaden list nie otrzymałem odpowiedzi. W ostatnim z tych listów zazaczyłem, że brak jakiegokolwiek odpowiedzi i wyjaśnień muszę uważać za zrezygnowanie z mojej współpracy, którą także ze swej strony wycofuję. Poprosiłem również o zwrot złożonych w redakcji i u p. Kisielewskiego materiałów. I ta prośba została pominięta milczeniem. Jedynym do tej pory znakiem życia ze strony p. Kisielewskiego był list, otrzymany przez mnie 21. 1. br., w którym wzywa mnie on na rozmowę *tego samego dnia*. O czterech poprzednich listach moich nie było żadnej wzmianki. Po takim traktowaniu rzecz jasna na rozmowę nie poszedłem, a w liście (piątym) napisałem, że rozmowy uważam za niecelowe, dopóki nie otrzymam potwierdzenia odbioru moich poprzednich listów, odpowiedzi na nie, oraz zwrotu złożonych w redakcji materiałów.

Przytoczonych faktów komentować nie potrzebuję, gdyż mówią one same za siebie.

Zechce Pan przyjąć, Redaktorze, wyrazy prawdziwego szacunku.

Bolesław TABORSKI

Londyn, luty 1957.

Szanowny Panie Redaktorze !

Jakkolwiek pismo Pańskie nie jest kartoteką historii choroby, chciałbym zamieścić w nim następujący przyczynek, który być może zainteresuje Pańskich czytelników, na pewno zaś psychopatologów i przyszłych historyków Emigracji.

W sierpniu 1955, ukazująca się w „Orle Białym” strona poetycka „Najprostszą Drogą”, pod redakcją Jerzego S. Sito i J. Jaksinińskiego, przestała istnieć.

Oto streszczenie zarzutów pod adresem Jerzego S. Sito, ze strony Redakcji „Orla Białego”:

- a) Podobno zaproponowano mu wydanie w Kraju tomiku poezji;
- b) Stwierdzono, iż był obecny na obiedzie, wydanym przez pisarzy Krajowych w hotelu „Prince of Wales”;
- c) „Dziennik Polski” zdekonspirował jednego z uczestników obiadu jako „redaktora poetyckiego” „Orla Białego”.

Jerzy S. Sito udzielił następujących odpowiedzi:

- a) Żałuje, lecz druku mu nie proponowano. Przed podpisaniem umowy wydawniczej nie omieszką złożyć rezygnacji ze stanowiska „redaktora poetyckiego”. Niestety, gwarancji dać nie może, traktuje sprawę jako „gentlemen's agreement”;
- b) Owszem, brał udział w obiedzie;
- c) Nie obchodzi go co pisuje „Dziennik Polski”, tym mniej zaś jego prywatne rozgrywki z „Orlem Białym”.

Wniosek redakcji „Orla Białego”: Jerzy S. Sito powinien złożyć publiczne oświadczenie, zaprzeczające pogłoskom, w zredagowaniu którego (stylistycznym? J.S.) Redakcja gotowa mu jest dopomóc. Tutaj historia się kończy.

Poruszam tę sprawę tak późno, gdyż w związku z pewnymi zmianami, które ostatnio w Kraju zaszły, liczyłem na rewizję stanowiska Redakcji „Orla Białego”. Niestety, okazuje się, że zmianom podlega wszystko prócz poglądów.

Zechce Pan przyjąć wyrazy poważania.

Jerzy S. SITO

Londyn, 24 stycznia 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jako stała czytelniczka „Kultury” pozwalam sobie wyrazić przykre zdziwienie jakiego doznałam po przeczytaniu notatki p. Mieroszewskiego pt. „Uchwała Terlecki-Kisielewski”, a będącej podsumowaniem Ankiety. Sama podzielałam poglądy tych, którzy się wypowiedzieli przeciwko uchwale Związku Pisarzy (uchwale która była tematem Ankiety), ale uważam że ani pisarze którzy tę uchwałę podpisali, czy ją redagowali, ani sama uchwała nie zasługują na ten typ napaści na jaką sobie pozwolił p. Mieroszewski. Wydaje mi się że dawanie ujścia emocjom które wychodzą poza razy poprawnej polemiki nie powinno mieć miejsce w wypowiedziach poważniejszych publicystów i na łamach poważnego i zasłużonego pisma.

Łączę wyrazy szacunku i poważania.

Wanda CZAPSKA

Montreal, 2.1.1957.

Wielce Szanowny Panie,

Niestety list Pański z ankietą otrzymałem, dzięki zmianie adresu, grubo po terminie. Dla porządku jednak, odpowiadam na ankietę w jak najkrótszej formie. Całkowicie solidaryzuję się ze stanowiskiem „Kultury”.

Uchwała Związku Literatów jest dla mnie całkowicie niezrozumiała, tym bardziej, że zapadła ona po przemianach jakie nastąpiły w kraju w ostatnich miesiącach. Te wieczne narzucanie w myśl urojonego prawa przewodnictwa ideowego, swych partykularnych poglądów, jakie jest praktykowane przez różne grupy i grupki w odniesieniu do polskiego społeczeństwa emigracyjnego, staje się wręcz nieznosne gdy wchodzi w zakres tak słowa jak i sumień ludzkich. Pisanie do kraju wydaje mi się dziś po prostu obowiązkiem.

Korzystając z okazji pozwalam sobie przesłać całemu zespołowi „Kultury” najlepsze życzenia owocnej pracy w roku nowym.

Andrzej MANTEUFFEL



Montview, Calif., 30.12.1956.

Do Redaktora „Kultury”.

Zmartwiła mnie odpowiedź p. Gombrowicza na ankietę „Kultury”: „Literatura emigracyjna a Kraj”. Pan Gombrowicz pisze, że nie weźmie udziału w ankiecie, gdyż nie chce „dewaloryzować” swego głosu. A priori podejrzewa on Redakcję „Kultury”, że rozesała ankietę do ludzi spoza klanu, w wyniku czego, w tłumie napływających zewsząd odpowiedzi, jego głos mógłby snadno zatracić indywidualny wydźwięk. Pan Gombrowicz twierdzi bowiem, że według jego „przybliżonych i raczej optymistycznych obliczeń”, ludzi pióra, których mógłby nazwać „pisarzami” („gdzie się zdobywa *rzeczywiste* istnienie duchowe zapewniające słowu *istotny* rezonans” — podkreśl. moje), jest na emigracji zaledwie pięciu lub sześciu. Z następującego tuż potem zdania („Co do mnie, nabiedziłem się niemało aby mój głos znaczył coś więcej niż ta jedna kreska, której przysporzyłbym w głosowaniu”) wynika, że on sam mieści się w tej grupie nieśmiertelnych.

Pozostaje przeraźliwa statystyka. Przepraszam, nie ma żadnej statystyki! Jakościowo polska literatura emigracyjna wyraża się jednocyfrową liczbą.

Już na długo przed listem p. Gombrowicza podejrywałem, że nasza emigracja nie da literaturze narodowej drugiego Mickiewicza, Norwida, Słowackiego i Krasińskiego. Niemniej pocieszałem się myślą, że uda nam się przesznułować do potomności literackiej jakie dwa tuziny poetów, prozaików, humanistów, krytyków i tłumaczy, czyli pisarzy — a tu okazuje się, że jest ich tylko pięciu, i p. Gombrowicz.

Cóż począć? Może Kraj nadrobi ten niedobór? A może to już taki gorzki nieurodzaj pokolenia zmęczonego trzema wojnami? A może... może listę „pisarzy” emigracyjnych z prawdziwego zdarzenia zestawii dopiero potomność?

Należy spodziewać się, że uwzględni ona także nazwisko utalentowanego prozaika Witolda Gombrowicza, który walkę z przerostami polskości, zacząć winien na podwórku własnej niesfornej osobowości, zamiast prowadzić ją w skali „transatlantycznej”.

Jan KOWALIK

Wydawnictwo Literackie,
Kraków, Rynek Główny 25.

Kraków, dnia 21.12.1956.

Do Redakcji „Kultury”

W związku z zamieszczonym w numerze 11 Waszego pisma artykułem Wiktora Weintrauba „O zaprzepaszczonego dorobek kulturalny”, pragniemy dodać od siebie parę wyjaśnień.

Choć artykuł Wiktora Weintrauba jest w zasadzie, niestety, słuszny — chcielibyśmy zauważyć, że nasze Wydawnictwo Literackie w Krakowie, istniejące od roku 1953, podjęło się na swoim odcinku naprawy niewątpliwych błędów naszej dotychczasowej polityki kulturalnej jeszcze przed ukazaniem się wspomnianego artykułu.

I tak wymieniona na wstępie artykułu praca Stanisława Pigonia „Władysław Orkan. Twórca i dzieło” wychodzi wkrótce naszym nakładem równoległe z podstawowym kanonem „Dzieł zebranych” Władysława Orkana pod redakcją również St. Pigonia. Podobnie rozpoczęliśmy już wstępne prace nad uruchomieniem zapowiadanej serii historyczno-literackiej, która w zmienionej nieco formie i pomyśle obejmie jednak zasadniczy zestaw projektowanych poprzednio autorów i tytułów. Wreszcie odnośnie listów Stanisława Wyspiańskiego zamierzamy je włączyć do pełnego, jubileuszowego wydania wszystkich dzieł, którego pierwsze tomy, pod redakcją Leona Płoszewskiego, ukazały się w 1957 roku, jako w 50-tą rocznicę zgonu poety.

Prosząc o przyjęcie do wiadomości i zamieszczenie niniejszego wyjaśnienia, pozostaję z prawdziwym poważaniem

Henryk VOGLER,
Redaktor Naczelny



Dnia 27 stycznia 1957.

Szanowny Panie Redaktorze !

Przeczytałam w numerze „Kultury” styczeń-luty 1957 omówienie wyników ankiety na temat antysemityzmu i ogarnęło mnie w pierwszej chwili bezbrzeżne zdumienie, a potem „litość i trwoga”.

Litość nad sobą, autorem wypowiedzi z Polski, oznaczonej literą „B”, a trwoga, gdy zdałam sobie sprawę, do jakich skutków doprowadzić może niezrozumienie czegoś, lub nieporozumienie w ogóle.

Z wielu przyczyn, z których najważniejsze chyba to odległość i nie-
możność występowania pod własnym nazwiskiem, nie należałoby wracać do tego zagadnienia, zostawiwszy w spokoju sprawę anonimowego listu „B” z komentarzami Redakcji „Kultury”. Postępuję jednak przeciwnie, a to dlatego, że po pierwsze, uważam omawiany problem za zbyt ważny, „aby przejść nad nim do porządku dziennego”, a po drugie, trzy pozostałe wypowiedzi, których treść jest mi znana, uważam za wypowiedzi rzeczywistych antysemitów i nie mam zamiaru się z nimi solidaryzować. (nb. nie są to wypowiedzi inteligencji o poglądach lewicowych). Jeżeli znajdują się w naszych wypowiedziach pewne określenia wspólne, to wypływa to jedynie z faktu, że „zarzutów” stawianych Żydom jest bardzo określona ilość. Nie mam zamiaru zresztą przeprowadzać tu ewentualnych pozomych analogii z tamtymi wypowiedziami. Ważny jest fakt, że redakcja opracowawszy materiał, umieściła moją wypowiedź w całości, zaznaczając że inne są jeszcze bardziej antysemickie. Efekt jest taki, że wszystkie wypowiedzi z Polski są głosami antysemitów. Tę pigułkę słodzi Pan komentarzem, umieszczono-

nym po zakończeniu cytowania listów Krajowych: „Nie chcemy bynajmniej wytwarzać wrażenia, że te cztery głosy z Kraju są „wyrazem polskiej opinii”. Artykuły w prasie krajowej i wypowiedzi wielu przyjezdnych z kraju są dla nas dowodem, że istnieje wielki odłam polskiej inteligencji, zdającej sobie sprawę z niebezpieczeństwa antysemityzmu i walczącej z nim na każdym kroku”. Bardzo to uprzejmie z Pana strony, ale muszą stwierdzić, że omylił się Pan w ocenie mojej wypowiedzi. Złożyło się na to kilka warunków, jest w tym także część mojej winy. Postaram się sprawę wyjaśnić.

Ogłoszenie mnie antysemitą, choćby tylko anonimowo, jest dla mnie tym boleśnieszę, że należę do grupy tych nieszczęśników (używam tego określenia bez ironii) którzy prowadzą czynną, nieustanną akcję przeciwko antysemityzmowi. Problem ten interesował mnie i gnębił od dawna. Przeprowadzałam i nadal przeprowadzam rozmowy z ludźmi w różnym wieku, z różnych środowisk i na różnych stanowiskach. Ilość tych rozmów, to nie dziesiątki, a setki. Nie życzę Panu zajmowania się czynnie tego rodzaju problemem w Polsce, jeżeli ożywia Pana chęć „naprawy Rzeczypospolitej”. Wiele osób przestało mnie znać, część kiwa nade mną z politowaniem głowami, a co najbardziej zagorzali antysemita pytają, „jak mój tata z domu” (z racji noszenia przeze mnie typowo polskiego nazwiska), co w ich mniemaniu musi być dla mnie największą obelgą. Są jednak i jasne strony mojej „pracy”, to znaczy albo całkowite „nawrócenie”, albo przynajmniej chęć zrewidowania dotychczasowego sposobu reagowania.

Bardzo mi przykro, że ze względu na „specyficzne warunki” nie mogę służyć Panu żadnym dowodem na poparcie tego co napisałam.

Nie jestem antysemitą, panie Redaktorze, ani nie hoduję w sobie żadnych innych rasistowskich roślinek.

Teraz sprawa najważniejsza, wyjaśnienie nieporozumienia: Te — kilka uwag o polskim antysemityzmie (zdaje się, że tak zatytułowane były moje wypowiedzi), *nie jest* odpowiedzią na ogłoszoną przez Pana ankietę, zatem nie odpowiada na żadne z postawionych przez Pana w tej ankiecie pytań. Uwagi te napisałam, przeczytawszy artykuł p. Jeleńskiego i list p. Hochberg-Mariańskiej. Troskę, jaka była z artykułu p. Jeleńskiego odczułam, zdaje się, należycie, omawiając ten artykuł z kilkoma osobami. Ale wydawało mi się, że byłoby korzystne naświetlenie sprawy od innej strony, aby na podstawie moich uwag dotyczących kwestii polsko-żydowskiej w latach okupacji, Redakcja mogła zorientować się, że sprawa nie jest ani prosta, ani jednoznaczna i aby, mając opinię bezpośrednią „z terenu”, tym lepiej zabrać się do trudnego zadania likwidowania wzajemnych zapiekłych urazów i nienawiści.

Jako materiał posłużyły mi przede wszystkim wypowiedzi najróżniejszych ludzi i na podstawie tych wypowiedzi ustaliłam stosunek Polaków do masywowych mordów, popełnianych na Żydach. Dodaje przy tym, że głównie interesował mnie stosunek do tej sprawy osób, będących blisko O.N.R.'u i „Falangi”. Ciekawi mnie, dlaczego podobne naświetlenie tej kwestii przez p. Uziembło nazywa Pan obiektywne, a mnie przykleja etykietę antysemity. Nie twierdzę bynajmniej, że to naświetlenie jest jedynie słuszne, ale twierdzę, że spojrzenie pod kątem innym, niż to zrobił p. Jeleński, może być tylko korzystne dla kogoś, kto stara się sprawę przedstawić obiektywnie.

Antysemityzm jest emocją i walka z nim przy pomocy argumentów rozumowych jest beznadziejną. Uwagi p. R. Malczewskiego, że na „pytanie jakie postawiła Redakcja, mogliby odpowiedzieć psycholog, psychiatra, psychoanalitycy, socjologowie itp.” są, przynajmniej dla mnie, całkowicie słuszne. Na podstawie moich doświadczeń stwierdzam, że ten, który odważy się zająć naprawdę opracowaniem tej kwestii, musi posiadać głęboką wiedzę.

dużą intuicję, mnóstwo dobrej woli i świętą cierpliwość, inaczej utonie w tym nieprawdopodobnym gąszczu. „Tak samo istnieje antypolski kompleks żydowski, wśród dużej grupy społeczeństwa żydowskiego”, pisze inny uczestnik ankiety, p. Mozes Parientes z Ameryki. Istnieje, i to w nie-małym stopniu, zetknęłam się z nimi i stykam nadal. Nie wolno uwagi p. Parientes lekceważyć, ani nie dostrzegać, co w sobie zawiera, zbyt wiele bowiem najróżniejszych spraw zajął się ze sobą w tej materii.

Zatem, jak napisałam, uwagi moje miały na celu dorzucenie Wam garści spostrzeżeń, opartych o autentyczne wypowiedzi w Kraju. W ten sam sposób potraktowałam i drugą część mych uwag, dotyczącą czasów wojennych. Jasno chyba z nich wynika, że największy antysemita świata, Rosja, stworzyła dogodne warunki dla obudzenia uczuć antysemitycznych w Polsce. Pan również podkreśla tę rolę Sowietów, omawiając wyniki ankiety i uważa Pan ją za nader ważną, jeśli nie decydującą, aż dziwne się więc wydaje, że nie zauważył Pan identycznego podejsścia do zagadnienia w mojej wypowiedzi.

Wnoszę, że najbardziej zdenerwowały Pana te ustępy moich uwag, gdzie mówię o obejmowaniu wysokich stanowisk przez obywateli pochodzenia żydowskiego. Być może, gdyby zechciał Pan uważnie moją wypowiedź przeczytać, nie napisałby Pan, że „tam istnieje widoczne zupełne pomieszanie pojęć”. Uwagi te, to tylko staranie się uwypuklenia jeszcze jednej strony zagadnienia, jakie omawiała p. Hochberg-Mariańska w swoim liście i służyć one miały Redakcji „Kultury” jako pomoc w oświeclaniu tego problemu, to jest zatrudnianie osób niefachowych żydowskiego pochodzenia i skutków takiej polityki, to jest wzrostu uczuć antysemitycznych w masach. Uwagi moje są skreślone również na podstawie licznych wypowiedzi ludzi żyjących i pracujących w Polsce.

Chyba nie jest tak trudno zauważyć, że podane przeze mnie przyczyny wzrostu antysemityzmu, to nie jest moje wyobrażenie „o Żydach w ogóle”, lecz uszeregowania tych przyczyn które, jak pisałam, ta część społeczeństwa, która nie lubi nadużywać mózgu, zużytkowała jako pożywkę do wyhodowania antysemityzmu. (Chyba nie sądzi Pan, że byłabym do tego stopnia wyprana z uczucia miłości własnej i chciała się zaliczyć dobrowolnie do tej grupy).

Nie jest trudno zauważyć również, że w mojej wypowiedzi naświetlałam tylko z jednej strony fakt zajmowania przez Żydów wysokich stanowisk, to jest mówię o osobnikach, którzy nie posiadali żadnych kwalifikacji fachowych i byli nędzni moralnie. O nich też myślę, pisząc że ci Żydzi z K.C. nolens-volens sprzymierzyli się z Gomulką. Dlatego też uwaga Pana, że „nawet naturalni antysemici polscy przyznają, że Żydzi w Komitecie Centralnym i w sferach kierowniczych partii przyczynili się do zwycięstwa Gomułki”, jest w odniesieniu do mojej wypowiedzi zupełnie nie na miejscu. Bowiem ja nie piszę o udziale Żydów w ogóle w „Polskim Październiku”. Druga uwaga pańska „kwestia, czy to są Żydzi, czy nie, powinna być całkiem nieistotna” jest tego samego rodzaju, to znaczy, mija się z celem, bo na Boga, nie o tym jest mowa w moim liście. Wyraźnie przecież piszę, że ci Żydzi, którzy jako ludzie i jako fachowcy, nie są elementem wartościowym, rozpoczną kampanię odwetową, wykorzystując walkę z antysemityzmem do swoich własnych celów, w razie zwalniania ich z zajmowanych dotychczas stanowisk. Nie jest to absolutnie inne naświetlenie zagadnienia od omawianego szeroko na łamach „Po prostu” z dnia 6. I. br. w artykule wstępnym pt. „Gdy budzą się upiory”. Jeszcze raz powtarzam, że nie było moim zamiarem wyliczanie zasług obywateli żydowskiego pochodzenia w wywalczaniu „października”, tylko ponieważ pani Hochberg naświetliła sprawę od jednej strony, to jest że Polacy w ogóle ustosunkowani są wrogo do zajmowania wysokich stanowisk przez Żydów, chciałam wykazać, że sprawa nie

przedstawia się tak jednostronnie jasno i trzeba brać pod uwagę jeszcze kilka innych czynników przy jej ocenie. Zatem, jeśli może być mowa o pomieszaniu pojęć, to naprawdę nie przeze mnie.

Wydaje mi się, że samo zakończenie mego listu świadczyć może, jaka była myśl przewodnia nagromadzenia tylu śmiesznych nieraz, ale niestety prawdziwych czynników, które przyczyniły się do wzrostu antysemityzmu.

Ja jestem w Polsce, panie Redaktorze, i codziennie spoglądam w oczy antysemityzmowi w różnych odmianach. Widzę również w różnych nasileniach urazy, czy „polakofobie” ze strony przeciwnej. Wydaje mi się, że chcąc walczyć z tą chorobą społeczną potrzeba nie tylko żarliwości, ale całkowitej trzeźwości w ocenie zjawisk i starania się o możliwie najlepszą bezstronność.

Moje osobiste spostrzeżenia, dotyczące genezy psychicznej polskiego antysemityzmu każą przyznać słuszność wypowiedzi, nazwanej przez Pana anegdotyczno-historyczną — autor p. Cass P. Nowak, dodając jeszcze, jeżeli chodzi o chłopów, że inna „wiara” Żydów utożsamiana często z pogaństwem, stworzyła w nich coś w rodzaju antychrysta i zabójcy Chrystusa. Nota bene niestety często te wyobrażenia podsycane były przez głupich proboszczów wiejskich. Antysemityzm „typu ekonomicznego” jak to nazwał p. Nowak jest równie silny jak chłopski i nie tylko jest typu zazdrościowego, ale również ma wiekowe tradycje „we wstręcie Polaków do parania się handlem”. Panujące przecież przekonanie nakazywało uważać, że wykonywanie tego zajęcia jest nierozdzielnie związane z oszustwem, matactwem, a nawet wręcz złodziejstwem. Ponieważ Żydzi trudnili się zamiast Polaków tym „wstrętnym zajęciem” stali się oni uosobieniem „wielbicieli przeklętej mamony” i oszustami.

Kończąc omawianie ankiety, wysuwa Pan propozycję zaradzenia złu, zatrzymania zarazy: „oczyszczając nasz Kraj od antysemitycznej spuścizny po Hitlerze i Stalinie, stworzymy jedną więcej więź z zachodnią Europą”. Słusznie, ale jak to zrobić? Na początku mego listu napisałam, że jest to bardzo, bardzo trudne. Głowi się już nad tym krajowa prasa i radio. Z waszej strony, tam na emigracji wydaje się, że wiele mogłyby tu zdziałać polskie programy radiowe z Londynu, Paryża, czy tak zwanej „Wolnej Europy”, znam bowiem wypadek, zrewidowania swego dotychczasowego stosunku do Żydów przez pewnego osobnika, po wysłuchaniu audycji, czy też kazania, nadanego przez „Wolną Europę”.

Te radiostacje właśnie będąc rozgłośniami, które nie muszą liczyć się z „polską racją stanu”, mogą likwidować nawet najgłupsze i najbardziej nonsensowne „zarzuty” stawiane Żydom. Uwypuklić przede wszystkim należy rolę, jaką odgrywała i odgrywa Rosja w walce z narodem żydowskim. Audycje winny zawierać informacje o dyskryminacji Żydów w Rosji i to nie tylko po rewolucji, ale i w okresie panowania carów. Poza tym, dużo miejsca należy poświęcić „czystkom” stalinowskim w środowisku intelektualistów żydowskich, cytować jak najwięcej antysemitycznych wypowiedzi dygnitarzy sowieckich. Tylko przy pomocy dobrej propagandy może rozwiązać się mit o „żydo-komunie”, a nie przez lekceważące wzruszanie ramionami nad jego nonsensowną głupotą. W podobny sposób można próbować rozprawić się z „argumentem o międzynarodowej mafii żydowskiej”, czy z innymi. Walkę prowadzić można i od innej strony, to jest przez systematyczne podkreślanie ogromnego wkładu Żydów w ogólne dobro ludzkości czy państwa polskiego i to od czasów historycznych, aż po dzień dzisiejszy. Należy podawać fakty, jak najwięcej wiele mówiących faktów.

Byłoby również z korzyścią omawianie stosunku „ludzi Zachodu” do antysemityzmu, oraz podkreślanie szkód, jakie przynosi Polakom ich antysemityzm.

Jeszcze jedna uwaga — moim zdaniem, nie można dzielić antysemityzmu na różne rodzaje tak, jak Pan to czyni, to jest na antysemityzm „świadomy”, „podświadomy”, „naturalny”. Antysemityzm jest jeden, tylko nasilenie jego jest różne, zależnie od stopnia wykształcenia, wpływów środowiska, zaangażowania religijnego itp. Zgadza się z Panem, że Kościół Katolicki może wiele zdziałać w tej walce lecz ten, tu w Polsce, musi przede wszystkim sam opanować antysemityzm, który szerzy się w jego własnych szeregach.

Kończę tę nieco za długie uwagi, mające nie tylko na celu wyjaśnienie Panu mego stanowiska przy pisaniu poprzedniego listu i proszę mi wierzyć, że na „swoim odcinku” walczę nadal z tym obrzydliwym zjawiskiem, któremu na imię antysemityzm.

Ponieważ umieścił Pan moją poprzednią wypowiedź w całości na łamach „Kultury”, zmuszona jestem prosić Pana o umieszczenie i tych uwag w jednym z najbliższych numerów.

Pozostaje z poważaniem i proszę przyjąć wyrazy prawdziwej sympatii dla „Kultury”.

Autor listu, oznaczonego literą „B”



Addis Abeba, 15. 12. 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

„Pod znakiem Gomułki” należy przyklasnąć rzeczowym ocenom sytuacji przez Londyńczyka i odważnej deklaracji p. Zdziechowskiego na Tymczasowej Radzie Jedności Narodowej (grudniowy Nr „Kultury”). W związku z nową sytuacją i w ślad za moimi listami w „Kulturze” Nr 80, 83, 85, 98 pragnąłbym znów zaznaczyć że *tylko* kontakt z Krajem w sferze ogólnopolskich interesów (przetrwanie fizyczne i spokój w Kraju, rozwój gospodarczy i kulturalny kraju, zachodnie granice kraju) dać mógłby naszej emigracji pewne minimum wpływu i wagi politycznej między innymi wobec Zachodu. W obecnej gomułkowskiej koniunkturze kontakt taki wydaje się mniej niedosiężny niż dawniej. Ale na to musiałaby emigracja *primo* prze-trawić tą koncepcję, *secundo* „zaistnieć” organizacyjnie, to jest wyłonić organa z wyboru. Czy jest to możliwe?

Na marginesie chciałbym rozważyć inny problem — nieaktualny ale rzutujący w przyszłość najdalszą — kwestię kresów wschodnich. Racjonalnie biorąc, Polacy i Niemcy nie mają nic do stracenia, a może kiedyś coś do zyskania rezygnując bez niedomówień z myśli o wschodnim rewizjonizmie na *własny* rachunek. Emigranci mogą śmiało wyrzec się rytualnej „obrony” kresów wschodnich i świątecznego „nie damy” Lwowa i Wilna, które „dać” krajowi mogłaby tylko narzucona katastrofa przymusowej wędrówki ludów *à rebours*!

Wszystkich przyjaciół *die-hard*ów za tyle herezji przepraszam.

Z prawdziwym poważaniem

Jerzy KRZECZUNOWICZ

Buenos Aires, 21. 1. 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

W prasie krajowej coraz częściej ukazują się fragmenty moich utworów. Naturalnie będę się przed tym bronił, a tu dla uniknięcia nieporozumień pragnę podać do wiadomości, że dzieje się to bez mojej zgody i że w stosunkach z wydawnictwami i prasą krajową kieruję się normami przyjętymi przez Zespół „Kultury”.

Z poważaniem

Witold GOMBROWICZ

Droży Czytelnicy z Warszawy,

W poprzednim moim liście do Was, ogłoszonym stosownie do Waszego życzenia na łamach „Kultury”, podziękowałem Wam za list z 4-go listopada 1956 i przesłane przy nim kilkadziesiąt fotografii miejsc, które grają rolę w moich obu książkach. Obecnie pragnę Was poinformować, że przy okazji opublikowania przez „New York Times” z dnia 20 stycznia 1957 oraz przez „Washington Post” z tejże daty recenzji o książce „W Imieniu Rzeczypospolitej” (angielski tytuł „Fighting Warsaw”) oba te pisma umieściły dwa z nadesłanych przez Was zdjęć: „New York Times” fotografię cmentarza AK w Warszawie (rząd białych, brzoźowych krzyży nad grobami), a „Washington Post” fotografię kamienicy przy ulicy Marszałkowskiej 1 (zwaną przez Was „żelazkiem”). W ten sposób oba te zdjęcia nie tylko obiegły Stany Zjednoczone, ale także te kraje, dokąd docierają zagraniczne wydania „New York Times’a” to jest Kanadę, zachodnią Europę i Japonię. Jak z tego widać, Wasza praca nie poszła na marne, o czym donoszę w przekonaniu, że da Wam to pewną satysfakcję. Przy tej okazji łączymy z Zosią najserdeczniejsze pozdrowienia.

Stefan KORBOŃSKI

2801 Quebec Str. N.W.

Apt. 622, Washington 8 D.C.

7. 1. 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wbrew istniejącym od lat i ogólnie przyjętym regułom łacińskiej transliteracji alfabetów cyrylicy, używanych w językach wschodnio-słowiańskich: rosyjskim, ukraińskim i białoruskim, „Kultura” nie dotrzymuje się ich, jak np. w Nrze 12/110, str. 153. Zmieszano tutaj transliterację rosyjską i ukraińską, oddając ukraińskie *h* rosyjskim *g*, ukraińskie *y* rosyjskim *i*. Zamiast „Do problemu” powinno być: „Do problemy”, zamiast „Materiali do... dialektologii” powinno być „Materialy do... dialektolohii”, zamiast „czastina — „czastyna” itd. Pomnieć należy, że ukraińskie „h” jest zawsze „h” (nie „g” jak w rosyjskim), a ukraińskie „y” jest zawsze „y” a nie „i” (jak w rosyjskim). Sprawa ta została już dawno ustalona, np. w takich

publikacjach jak „Język Polski”, „Rocznik Slawistyczny”, „Prace Filologiczne” i inne, należy więc i na emigracji przestrzegać ogólnie przyjętych prawideł.

Z wyrazami szacunku,

J.B. RUDNYCKYJ,
University of Manitoba.
Winnipeg, Canada.

Sutton Coldfield, 27. 1. 1957.

Szanowny Panie Redaktorze!

P. J. Hoffman („Kultura” nr 111/112) ma rację. Pomyliłem się. Wanda Wasilewska nie była prezesem Związku Nauczycielstwa Polskiego, lecz „jedynie” redaktorem pisma, wydawanego przez ten związek, a przeznaczonego dla młodzieży szkolnej, kolportowanego na terenie wszystkich szkół w Polsce. Ani jednak moja omyłka, ani też to, co na ten temat pisał p. Hoffman na łamach „Kultury” w 1951 roku, nie może zmienić faktów. A fakty mówią że:

1. Bezpośrednim powodem rozwiązania zarządu Związku Nauczycielstwa była — tolerowana przez ten zarząd — komunistyczna propaganda, jaką Wanda Wasilewska prowadziła na łamach owego pisma dla młodzieży.

2. Do propagandy tej Wanda Wasilewska — we wspomnianym przeze mnie w poprzednim liście artykule w sowieckim „Ogonioku” — nie tylko się przyznała, ale wręcz się nią chlubiła. Co więcej, podkreślała ona w tym artykule, że cała jej działalność na terenie Związku Nauczycielstwa miała na celu stwarzanie i pogłębianie rozdziewków między polskim nauczycielstwem a polskimi władzami państwowymi. Jako punkt kulminacyjny tej działalności uważała ona strajk nauczycieli, którego wywołanie przypisywała głównie sobie.

Dla osób, które już zapomniały, lub też nigdy nie wiedziały, kim jest Wanda Wasilewska, dodaję że w kilka tygodni po klęsce wrześniowej Wanda Wasilewska wybrała się w podróż do Sowieków i po jej zakończeniu ogłosiła na łamach prasy sowieckiej artykuł, w którym wyrażała swą gorącą radość z powodu upadku Polski. W niedługi czas potem została ona „deputattem do Wierchowowo Sowietu” i pułkownikiem sowieckim.

Rozumiem, że członkom ówczesnego zarządu Związku Nauczycielstwa jest mocno nie w smak że pozwolili tak wyraźnej wtyczce komunistycznej prowadzić agitację komunistyczną na łamach przez nich wydawanego pisma dla młodzieży szkolnej, ale nie może to zmienić faktów.

Muszę jednak podkreślić, że bynajmniej im nie zarzucam, jakoby dali się użyć świadomie za narzędzie propagandy bolszewickiej. Działali oni bez wątplenia w dobrej wierze, wierzyli oni bowiem wtedy wszyscy w uczciwość Wandy Wasilewskiej. I nie tylko oni. Pamiętam doskonale moją rozmowę w dniu strajku nauczycielstwa z śp. p. Malanowiczową, kierowniczką referatu kobiet Związku Strzeleckiego i dyrektorką gimnazjum, osobą niewątpliwie o mocnym nastawieniu przeciwkomunistycznym, światłą i rozumną. W rozmowie tej broniła ona mocno Wandę Wasilewską zaprzeczając stanowczo, jakoby miała ona cośkolwiek wspólnego z komunizmem.

Ponieważ jednak p. Malanowiczowa, jak już wspomniałem, była osobą rozumną, więc w jesieni 1941 roku, kiedy spotkaliśmy się w Buzuluksu, przypomniała mi sama tę rozmowę, przyznając, że pomyliła się całkowicie w swej ocenie Wandy Wasilewskiej.

To dopuszczenie do dywersji komunistycznej pod płaszczykiem tolerancji, nie jedyne zresztą w Polsce przedwojennej, było następstwem tej samej nieświadomości metod komunistycznych, jaką dziś jeszcze spotykamy np. u wielu trade-unionistów i wielu intelektualistów angielskich, i tego samego nastawienia, które każde wskazanie na wtyczki komunistyczne uważa za „polowanie na czarownice” (witch-hunting).

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

T. FELSZTYN

Heidelberg 30.12.56

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie wiem, czy laikowi, jakim jestem, wolno wtrącać się w toczący się na łamach „Kultury” spór o pochodzenie wyrazu MIŚ. Podejrzewam jednak, że nazwa nigdy słowiańskiego kraju MIŚNIA musi mieć z nim ścisły związek. Miśnia graniczyła z Turyngią, która swoją nazwę miała zawdzięczać wielkiej obfitości turów. Analogicznie Miśnia musiała wywieść swą nazwę od misia-niedźwiedzia. Ponieważ MIŚNIA jako nazwa kraju używana była już w X-tym stuleciu, więc i MIŚ musi być co najmniej tak stary.

Łączę wyrazy poważania.

W. KRUPIŃSKI

SPROSTOWANIE

Do wiersza „Studnia” Marii Orzeszkowskiej (nr 12/110 1956) wkradł się błąd, zamiast:

... „cofnąłem rękę,
która już miała ująć twój napiątek.
Bo może napotkałabyś pustkę...”

ma być:

Bo może napotkałaby pustkę...

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l’Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 1^{er} Trimestre 1957.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji :

91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15 th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, «Libreria Polaca», Serrano 2076, Buenos Aires	17 peso	102 peso	204 peso
AUSTRALIA : «Vistula» (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmują : Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; Hanna Lekszyska, r. Guira 139, vila Pompeia, Sao Paulo ..	40 cruz.	200 cruz.	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolkowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA : «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-4	180 fr.	800 fr.	1.800 fr.
HISZPANIA : Wl. Pajor, Paseo de los Olivos 93, Madrid		120 peset	240 peset
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA : Jaxa-Debicka, 220 Howard Park Ave, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W, Toronto Ont.; K. Krakowska, 3445 Marlove Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; St. L. Lemanski, 472 Aikins St., Winnipeg/Man.; H.R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel.: HY-0829; «Zwiazkowiec», 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Apartado Postal 294, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : «Ostatnie Wiadomosci», Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève. Tel.: 32-32-92. Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25,00 fr. s.
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kallskärgsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, «Gryf Publ.», 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, California; M.K. Dziewanowski, 51 Reservoir St, Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1471 Lakeland Ave., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 183 Chancellor Ave, Newark 8, N.Y.; A. Pleszczynski, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : «Gryf» Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh 9 d.	21 sh.	42 sh.
WŁOCHY : Ewa Wierusz-Kowska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Biblioteka "Kultury"

TOM XVIII

JEANNE HERSCH

POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ

Książka Jeanne Hersch posiada tę wyjątkową zaletę, że stawia jasno szereg głównych problemów politycznych i społecznych naszych czasów sięgając do ich źródła, to jest do postawy filozoficznej ludzi i ich uczuć.

Ten essay stara się wyjaśnić współczesną rzeczywistość polityczną i jest wkładem do podstawowego w chwili obecnej zagadnienia: to jest do koniecznej przebudowy doktryny socjalistycznej.

Cena 700 fr. (14 sh., 2.00 dol.)

Nowość

TOM XX - Biblioteki "Kultury"

JÓZEF MACKIEWICZ

KONTRA

Koniec jeźdźców stepowych. Dzieje naddońskiej rodziny na tle ostatniej kontrrewolucji, zgniecionej przez Hitlera, zdradzonej przez mocarstwa zachodnie. Autor odsłania mało znane kulisy drugiej wojny światowej na Wschodzie: Don-Kubań-Nowogródek-Mława-Bałkany-Dolomity. Od decyzji w głównej kwaterze Hitlera w roku 1943, do tragedii nad Drawą w roku 1945...

Cena 700 fr. (14 sh., 2.00 dol.)